Głowice Putina
Jacek Bartosiak o rosyjskim arsenale jądrowym

Ruski mir
Historia imperialnych podbojów Moskwy

Na ratunek Żydom
Heroizm piłsudczyków i zbrodnia Bieruta

NR 6(112)/2022 CZERWIEC 2022

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 295 031

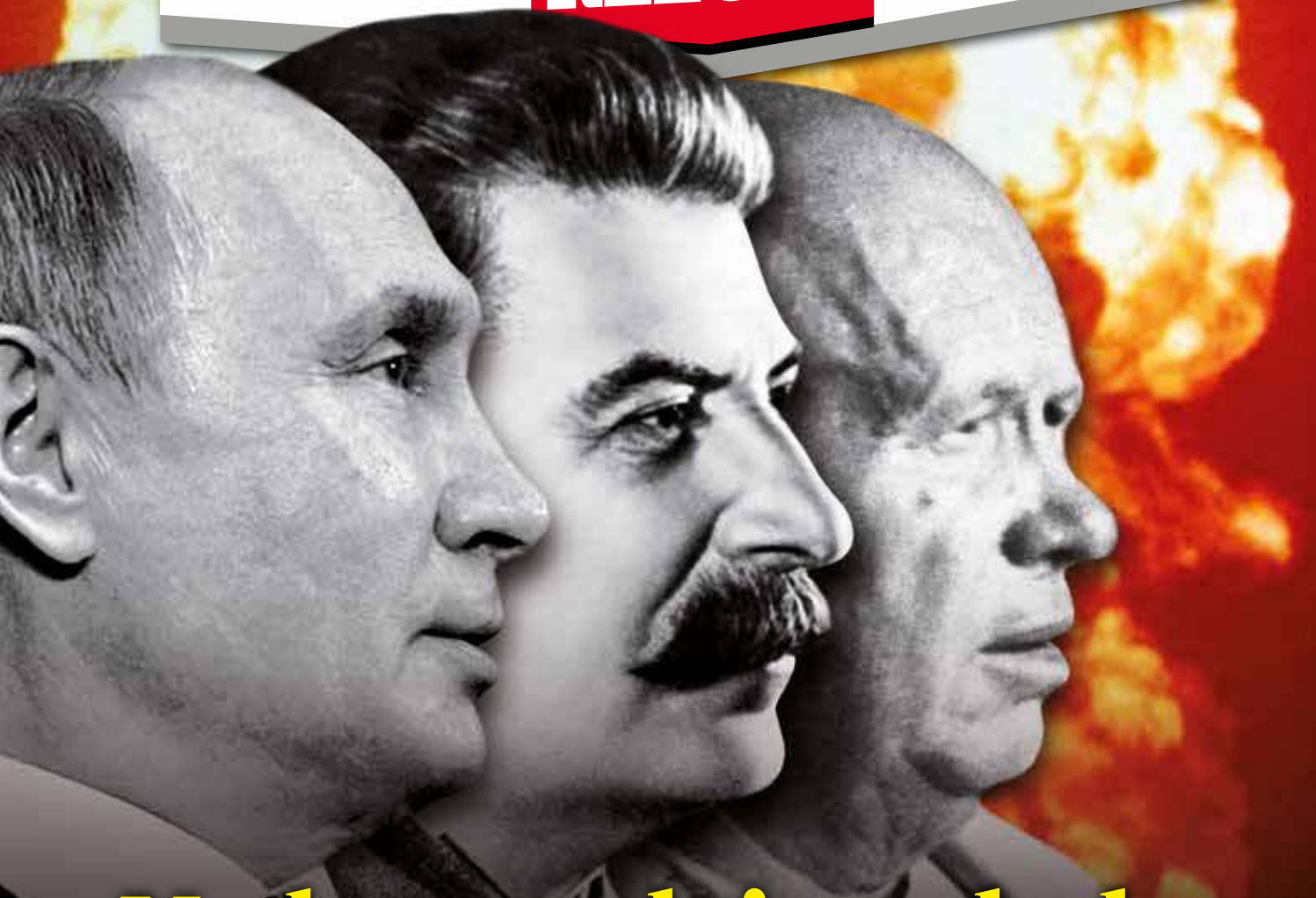

Na krawędzi zagłady

SOWIECKA BOMBA ATOMOWA

POWRÓT KOLEKCJI DYSKRETNEJ W RED IS BAD!

BLUZA FLAGA POLSKI HAFT

KOSZULKA FLAGA POLSKI HAFT

KOSZULKA MILITARNA ZIELONA
KOTWICA NASZYWKA

KOSZULKA MILITARNA CZARNA
ORZEŁ NASZYWKA

KOSZULKA MILITARNA ZIELONA
ORZEŁ NASZYWKA

RED IS BAD™ *Dyskretnie*

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

SKLEPY STACJONARNE
Warszawa
- **ul. Jagiellońska 88/24**
- **Plac Piotra Szembeka 4**

RED IS BAD™

eprasa.pl 016ae519f9

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".
REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **East News/Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło.**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Lwów, 10 marca 1936 r.

Mecz Pogoń Lwów – Sportowe Towarzystwo Ukraina we Lwowie

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Groźby Putina

Władimir Putin, Siergiej Ławrow i inni rosyjscy dygnitarze straszą wojną atomową. Sugerują, że rosyjskie głowice jądrowe mogą zostać użyte przeciwko Ukrainie. A także przeciw państwom Zachodu, które wysyłają dostawy broni dla Ukraińców.

Groźby te nie mogą sparaliżować i sterroryzować Zachodu. Bo o to przecież chodzi Putinowi. Żeby samo zmarszczenie brwi nuklearnego mocarstwa wywoływało drżenie łydek wśród liderów wolnego świata.

Jednakże nie można tych gróźb lekceważyć. Rosja posiada bowiem największy arsenał nuklearny na świecie. Według ekspertów może znajdować się w nim nawet 6 tys. głowic. Środki do ich przenoszenia znajdują się w wielu miejscach. Między innymi tuż za miedzą – w Kaliningradzie.

To wszystko napawa niepokojem. Ostatnie wydarzenia pokazały, że Rosja to kraj, który – realizując swoją politykę – nie waha się sięgać po najbardziej drastyczne środki. A życie ludzkie dla władców Kremla ma niewielkie znaczenie.

Pocieszające jest to, że w trakcie zimnej wojny wielu ekspertów również wieszczyło nuklearną zagładę. A żaden pocisk (na szczęście!) nie został odpalony w kierunku nieprzyjaciela. Oby tak było i tym razem.

Co się stanie – czas pokaże. My tymczasem poświęcamy ten numer „Historii Do Rzeczy" historii sowieckiej broni nuklearnej. Atomowemu wyścigowi zbrojeń między Stalinem a wolnym światem.

To pasjonująca historia totalitarnego reżimu, który – za pomocą brudnych metod – wszedł w posiadanie najbardziej śmiercionośnej broni w dziejach ludzkości. ©℗

eprasa.pl 016ae519f9

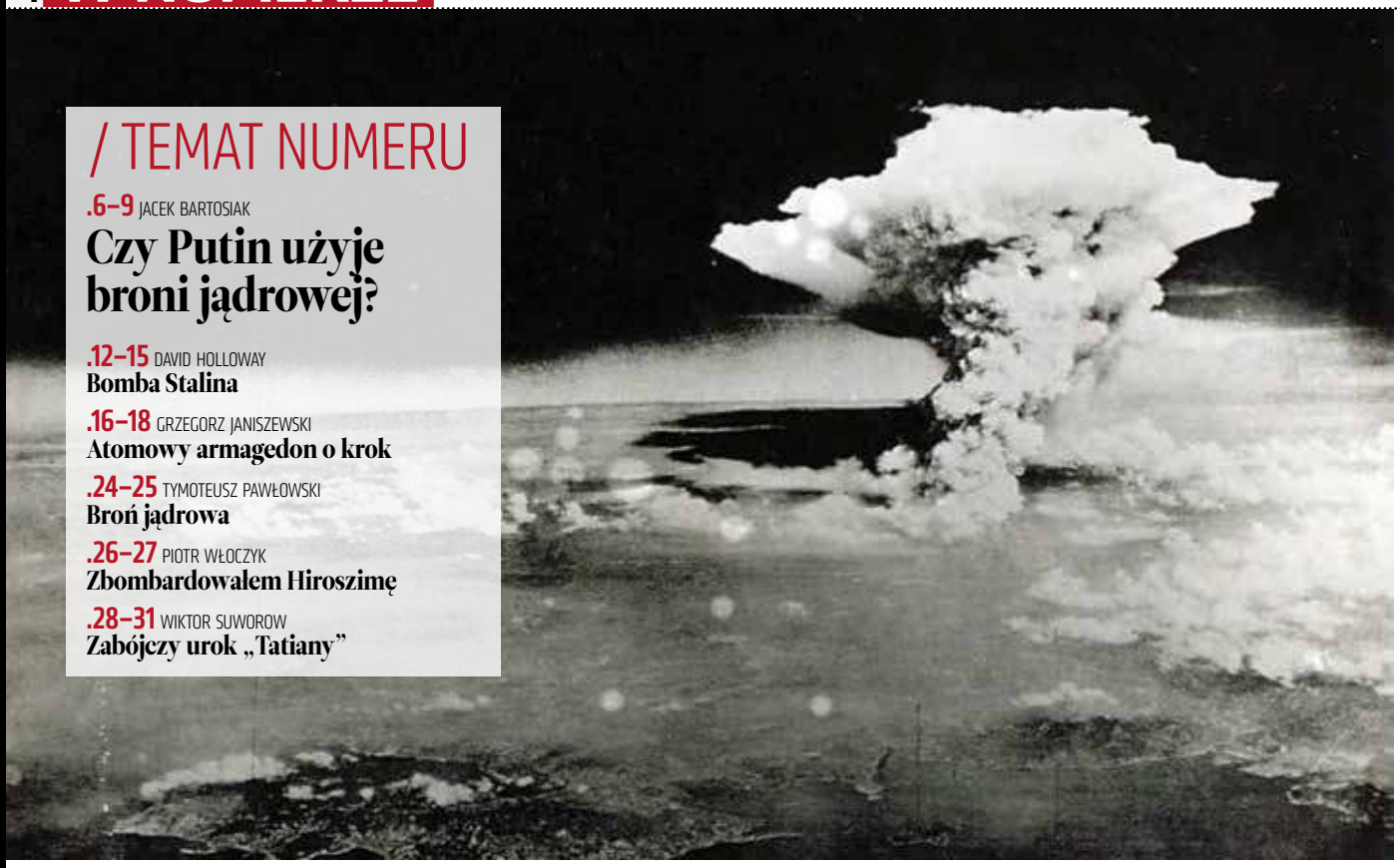

/ TEMAT NUMERU

.6–9 JACEK BARTOSIAK
Czy Putin użyje broni jądrowej?

.12–15 DAVID HOLLOWAY
Bomba Stalina

.16–18 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Atomowy armagedon o krok

.24–25 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Broń jądrowa

.26–27 PIOTR WŁOCZYK
Zbombardowałem Hiroszimę

.28–31 WIKTOR SUWOROW
Zabójczy urok „Tatiany"

/ CZASY I LUDZIE

.32–35 MIKOŁAJ IWANOW
Nowy czerwony Polak

.36–39 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Biały Rosjanin w brunatnej służbie

.40–42 PIOTR KOSMALA
Do serc i rozsądku Ukraińców

.44–46 SŁAWOMIR KOPER
Legenda estońskiego uniwersytetu

.47–49 PIOTR SEMKA
Proust – romans z Paryżem

.50–53 TOMASZ STAŃCZYK
Święta pomoc

.54–57 MAREK GAŁĘZOWSKI
Gotów do pomocy w potrzebie

.58–61 MACIEJ ROSALAK
Ruski mir

/ CO CZYTAĆ

.62–65 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Kacap recytuje Puszkina

/ FELIETONY

.74 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Taki mądry, a taki głupi

.75 PIOTR SEMKA
Dlaczego runął carat?

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
„Agentura"

/ KRESY

.70–73 TOMASZ STAŃCZYK
Kąpiele, ogrody, ziołowa nalewka

/ BATALIE I WODZOWIE

.76–79 MACIEJ ROSALAK
Imperium trafione zatopione

.68–69 MICHAŁ MACKIEWICZ
Technika wojskowa

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
„Operacja polska" NKWD 1937–1938

eprasa.pl 016ae519f9

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY | ORLEN

PARTNER GŁÓWNY | KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 016ae519f9

Wywiad / Z dr. Jackiem Bartosiakiem, szefem Strategy & Future

6 sierpnia 1945 r. – atomowy grzyb nad Hiroszimą FOT. WIKIPEDIA/US MILITARY

rozmawia Piotr Zychowicz

Czy Putin użyje broni jądrowej?

Rosjanie mają kilka tysięcy głowic nuklearnych. Czy sięgną po tę broń, by odwrócić koleje wojny na Ukrainie?

PIOTR ZYCHOWICZ: W trakcie zimnej wojny nie doszło do konfliktu nuklearnego. Czy może do niego dojść teraz?

DR JACEK BARTOSIAK: Rosjanie nas tym straszą od początku wojny na Ukrainie. Ale ryzyko takie rzeczywiście istnieje. Amerykanie piszą już o tym otwarcie w branżowej prasie. Mówi się o tym w Waszyngtonie. Mówi się o tym w Berlinie. Cała niemiecka debata na temat obecnych wydarzeń jest podszyta tą groźbą. Trzeba spojrzeć w oczy faktom: ryzyko wojny nuklearnej jest największe od trzech dekad. To nie ulega wątpliwości. I to ryzyko się zwiększa wraz z przegrywaniem przez Rosję wojny.

Dlaczego?

Część anglosaskich analityków uważa, że ta decyzja może zostać podjęta, gdy Ukraińcy będą „za bardzo" wygrywać wojnę i Rosja zacznie tracić status wielkiego mocarstwa wojskowego. Rosjanie będą chcieli wtedy przerwać tę kaskadę niepowodzeń przez zademonstrowanie, że jednak przegrać nie mogą. Mają bowiem broń jądrową i nie dadzą się pozbawić statusu mocarstwa. I tu Ukraina i Zachód – również Polska – muszą podjąć delikatną grę. Jak zniszczyć wojska Federacji Rosyjskiej i pokonać Moskwę, ale jednocześnie zrobić to tak, żeby Rosjanie nie sięgnęli po ten ostateczny „atomowy argument".

Ale jak to zrobić?

Tu wchodzimy w sferę zarządzania eskalacją nuklearną. Ukraińcy już to sygnalizują. Trudno – mówią – jeżeli Rosja dokona uderzenia nuklearnego, to świat czeka wielka katastrofa. Ale my nadal będziemy walczyć. Chodzi o postawienie lustra przed Putinem. Sprawdzenia jego blefu. Bo jeżeli jedno uderzenie atomowe nie powali Ukrainy na kolana, to co dalej? Drugie? Trzecie? Jest jeszcze jeden czynnik. Putin nie może być również pewien, jak na taki ruch zareagowaliby Ameryka-

eprasa.pl 016ae519f9

nie, Brytyjczycy, Francuzi czy Chińczycy. Jak zareagowaliby mniejsi gracze.

Ale po co bawić się w zgadywanie? Amerykanie mogliby wysłać Rosji jasny sygnał, co się stanie, jeżeli Putin użyje atomu wobec Ukrainy lub państw wschodniej flanki NATO.

Dlatego byłem niezadowolony z przemówienia prezydenta Joe Bidena wygłoszonego w Warszawie na Zamku Królewskim. Zabrakło tam stwierdzenia, że Stany Zjednoczone wchodzą do gry w walce o powstrzymanie Rosji w tej samej stawce ryzyka co Polska. Czyli zabrakło zapowiedzi wprowadzenia stałej, poważnej obecności wojskowej nad Wisłą.

Co by to dało?

To, że Amerykanie umieraliby razem z nami, gdyby Putinowi przyszło do głowy użyć broni atomowej przeciwko Polsce. Innymi słowy – że atak na Polskę byłby tym samym co atak na Amerykę. To by było odpowiednie zabezpieczenie dla naszego kraju w zamian za to, że wysyłamy czołgi T-72 i inny sprzęt wojskowy na Ukrainę. Biden tymczasem swoją wizytą nas wyeksponował, ale nie zabezpieczył. Nie zadeklarował objęcia Polski parasolem nuklearnym. W efekcie Rosjanom mogło przyjść do głowy, że warto uderzyć na Polskę. I tym samym powstrzymać nas od aktywnego wspierania Ukrainy. Rosjanie na szczęście tego nie zrobili. I tym samym wykazali się słabością woli.

Jaki jest tego skutek?

Taki, że dostawy broni poszły wielkim strumieniem. Na początku wszyscy bali się mówić o czołgach – teraz idą czołgi. Wszyscy bali się mówić o artylerii – teraz idzie artyleria. Za tym pewnie pójdą samoloty. A wraz z nimi ochotnicy, którzy będą je pilotować i walczyć dla Ukrainy. Jak Eskadra Kościuszkowska w wojnie 1920 r., w której służyli Amerykanie. Albo latający „Cyrk Skalskiego" RAF w Afryce Północnej podczas drugiej wojny światowej.

Ile Rosja ma głowic nuklearnych?

Tego nie wie nikt. Zwłaszcza jeżeli chodzi o taktyczną broń jądrową, która nie jest objęta międzynarodowymi regulacjami tak skrupulatnie jak strategiczna broń jądrowa. Czyli rakiety balistyczne, które mogą sięgnąć Stanów Zjednoczonych. Ostrożnie można więc powiedzieć, że Rosja ma kilka tysięcy głowic. Niektórzy eksperci mówią o 6 tys., inni o 4,5 tys. Liczba ma tu jednak mniejsze znaczenie. Oczywiście lepiej jest mieć kilka tysięcy niż 30. Ale ważne jest też to, że Rosjanie mają możliwości przenoszenia tej broni w różny sposób. Przy użyciu rakiet i artylerii. Z powietrza i z morza. Na średni i długi dystans. Amerykanie w Europie mają mniejsze możliwości. Zrezygnowali z nich po zakończeniu zimnej wojny. Dysproporcja jest więc gigantyczna.

Władimir Putin na ćwiczeniach „Zapad 2017"
FOT. MIKHAIL KLIMENTYEV/SPUTNIK/EPA/PAP

Ale niekoniecznie trzeba od razu używać wszystkiego, co się ma.

Oczywiście. Tu wchodzimy w psychologiczny aspekt użycia broni jądrowej. To jest tabu. Rosja odpala jeden lub dwa pociski i cały świat jest w szoku. O Matko Boska! Nie róbcie tego więcej! Zgadzamy się na wszystko! Musimy za wszelką cenę uniknąć atomowej zagłady ludzkości! Aby osiągnąć taki efekt, wystarczy użyć pocisku o mocy dwa razy większej od słynnej eksplozji w porcie w Bejrucie. Rosjanie pracują również nad bronią atomową czwartej generacji, która nie zostawia opadu radioaktywnego. Wojna na Ukrainie pokazała, że Moskwa – w porównaniu z czasami sowieckimi – ma słabe wojska konwencjonalne. A co za tym idzie, wpisuje użycie broni jądrowej na polu walki w strategię państwową.

Jak to sobie konkretnie Rosjanie wyobrażają?

Weźmy taki wariant. Rosjanie prowadzą szybką operację zaczepną. Błyskawicznie zdobywają Kijów lub przesmyk suwalski. A zaraz potem używają taktycznej broni nuklearnej, żeby zniechęcić NATO do próby kontrataku. Zmusić NATO do uznania faktów dokonanych. Tu nie chodzi nawet o to, żeby zabić nie wiadomo ile osób. To byłaby tylko demonstracja zdolności. W ostatnich latach w wojskowym piśmiennictwie rosyjskim pojawiły się wyraźne próby oswojenia czytelników z bronią jądrową.

To możliwe?

Chodzi o zerwanie z nuklearnym tabu, które istnieje od czasu Hiroszimy i Nagasaki. A potem umocniło się w trakcie zimnej wojny i panującej wówczas psychozy atomowej zagłady. Istnieje niepisany układ, że mocarstwa mają broń jądrową, ale jej nie używają, bo są państwami cywilizowanymi. Panuje przekonanie, że jeśli się odpali wszystkie głowice, to oceany wyparują, całe życie przestanie istnieć, planeta Ziemia eksploduje. I skończymy jak dinozaury. Tymczasem Rosjanie w swoim piśmiennictwie wojskowym zaczęli pisać, żeby nie przesadzać. Że planeta wcale nie zniknie. Że nawet jeżeli wystrzeli się wszystkie pociski, to zniszczony zostanie tylko obszar wielkości Francji. Zaczęli to relatywizować, jakby przygotowywali grunt…

Niepokojące sygnały.

Niestety, nie mam pojęcia, co siedzi w głowach Rosjan. I jednocześnie wściekłość mnie ogarnia, że mogłoby dojść do takiej sytuacji: Ukraińcy pokonują

eprasa.pl 016ae519f9

armię rosyjską na polach bitew. Kosztem olbrzymich ofiar i wyrzeczeń udaje im się pobić agresora. A na koniec dnia i tak Rosja wygra tę rozgrywkę, bo użyje (lub zagrozi użyciem) broni nuklearnej. Wtedy Rosja wyjdzie z tej wojny obronną ręką. Utrzyma swój status mocarstwa. To będzie oznaczało, że mocarstwa nuklearne będą mogły robić na świecie wszystko. Będą mogły składać takie żądania, jakie zechcą. I te żądania będą zawsze spełnianie. Nigdy nie będzie ich można pokonać. „Oddawaj Warszawę! Bo jak nie, to odpalimy rakiety z głowicami jądrowymi!".

Tak, jeżeli taki szantaż raz się uda – to istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że Rosjanie będą to powtarzać. Chciałbym jednak wrócić do rosyjskiego arsenału. Mówiłeś, że to mogą być widełki 4–6 tys. głowic. To wszystko jest sprawne?

Rzeczywiście głowice dzieli się na stare i nowe. Na aktywne i nieaktywne. Trzymanie takiej broni w gotowości sporo kosztuje. Tej broni może być więc mniej. A w przypadku Chin – jeszcze więcej. Bo przecież nie wszystko jest jawne. Amerykańskie źródła donosiły niedawno – na podstawie zdjęć satelitarnych silosów rakietowych – że Chińczycy mają znacznie większy arsenał jądrowy, niż deklarują.

Rakieta Topol-M FOT. GOODVINT/WIKIPEDIA

Czyli wojna nuklearna teoretycznie może wybuchnąć w dwóch punkach świata: w Europie i na Pacyfiku.

Chińczycy również chcieliby mieć możliwość dokonania uderzenia rozstrzygającego. Uderzenia, które wywoła tak kolosalne straty u przeciwnika, że uniemożliwi mu uderzenie odwetowe. Bo – jeżeli mówimy o totalnej wojnie jądrowej przy użyciu rakiet balistycznych – o to w gruncie rzeczy toczy się gra. Równowaga nuklearna nie polega na tym, że obie strony mają taką samą liczbę pocisków. Polega na tym, że obie zachowują szansę uderzenia odwetowego.

WIĘCEJ ROZMÓW ZYCHOWICZA Z BARTOSIAKIEM W KSIĄŻCE „NADCHODZI III WOJNA ŚWIATOWA"
REBIS

To w teorii powinno zapobiegać wojnie.

Przy okazji nakręca jednak wyścig zbrojeń. Pokusa uzyskania możliwości rozstrzygającego uderzenia jest olbrzymia. Efektem są kolosalne zbrojenia, bo druga strona stara się dotrzymać kroku i zabezpieczyć przed taką ewentualnością. Chińczycy bez wątpienia uznali, że nie ma równowagi między nimi i Stanami Zjednoczonymi. Dlatego starają się powiększyć swój atomowy arsenał. Do tego dochodzi problem rozwoju broni hipersonicznych i technologii kosmicznych. Czyli możliwości zestrzeliwania rakiet lecących w przestrzeni kosmicznej.

Wróćmy do Rosji. Gdzie Rosjanie mają te wyrzutnie? Nas oczywiście najbardziej niepokoi Kaliningrad.

Tak, niestety ta broń tam jest. A przynajmniej Rosjanie demonstrują, że ta broń tam jest. Tak naprawdę bowiem ciężko powiedzieć, gdzie znajdują się ich głowice. One są mobilne i Rosjanie cały czas mogą przemieszczać je po całym terenie swojego ogromnego kraju. Mają przecież również flotę okrętów podwodnych, z których mogą odpalać pociski. Mogą to też robić z samolotów. Wiele wyrzutni jest na kołach.

O Kaliningradzie mówi się w kontekście rakiet typu Iskander. Jaki one mają zasięg?

Rosjanie zgłaszali, że do 500 km. Chodziło o to, żeby nie łamać międzynarodowych traktatów. Są jednak podejrzenia, że iskandery mogą dolecieć znacznie dalej. To zależy też od tego, w jakim trybie lecą. Wyżej, niżej, bardziej stromotorowo. To nowoczesne rakiety. Po wojnie na Ukrainie zobaczymy, jak się sprawują w warunkach bojowych.

W jakich okolicznościach Putin mógłby sięgnąć po czarną walizkę i nacisnąć czerwony guzik? Mam na myśli rosyjską doktrynę. Z tego, co wiem, tam jest postawiony jeden warunek: musi wystąpić „egzystencjonalne zagrożenie" dla Rosji. Co to znaczy?

Tak, w dokumentach doktrynalnych rzeczywiście jest mowa o zagrożeniu istnienia państwa rosyjskiego. Problem w tym, że to jest klauzula generalna. Jeżeli czytają nas prawnicy, to wiedzą, że pod taką klauzulę można zmieścić bardzo wiele rzeczy. Weźmy taki przykład. Historia uczy nas, że państwo rosyjskie chyliło się ku upadkowi, gdy załamywała się władza na Kremlu albo w Petersburgu. A władza załamywała się w wyniku przegrywania wojny. Utraty dużych związków taktycznych, co powodowało fale dezercji, upadek morale. Tak było w trakcie pierwszej wojny światowej. Tak było w trakcie wojny rosyjsko-japońskiej. Car przecież omal nie został obalony w wyniku rewolucji 1905 r.

Hm... brzmi niepokojąco.

No właśnie. Możemy sobie wyobrazić taki scenariusz: Rosjanie przegrywają na Ukrainie. Ukraińcy przy użyciu NATO-wskiej broni robią im kocioł w Donbasie. Odzyskują Donieck i Ługańsk, idą na Rostów. Krym jest odbity. Baza Floty Czarnomorskiej w Sewastopolu wpada w ręce Ukraińców. Co się wtedy dzieje w Moskwie? Władza się trzęsie w posa-

eprasa.pl 016ae519f9

dach. Pamiętajmy, że Rosjanie ogołocili już Kaliningrad, Białoruś i inne miejsca z wojska. Na Ukrainę rzucili olbrzymią część swoich sił. A mimo to dalej im nie wychodzi. Gdyby teraz Rosja spektakularnie przegrała – mogłoby to doprowadzić do eksplozji niezadowolenia społecznego w Rosji. Moskwa mogłaby stanąć oko w oko z widmem upadku, rozpadu Federacji. Władza rosyjska jest zawsze bardzo krucha i – powtarzam – upada najczęściej w wyniku przegranych wojen. Używając języka chińskiego, „traci wówczas mandat niebios".

I co wtedy?

Wtedy panowie na Kremlu mogą uznać, że przegrana w Donbasie jest równoznaczna z owym „zagrożeniem istnienia państwa rosyjskiego". Byłbym więc bardzo ostrożny z podkreślaniem znaczenia doktrynalnych zapisów w dokumentach. One mają sygnalizować pewne sprawy światu zewnętrznemu. Ale przecież ostateczne decyzje podejmują Rosjanie w konkretnych okolicznościach.

Ukraińcy w Donbasie używają polskich czołgów i strzelają pociskami dostarczonymi przez Polskę. Czy myślisz, że Rosja w odwecie mogłaby użyć broni nuklearnej przeciwko naszemu państwu?

Myślę, że istnieje takie ryzyko. Bo Ukraina rzeczywiście bije się przeciwko Rosji tak długo i skutecznie dzięki Polsce. Rosja na pewno nie użyje natomiast broni przeciwko Niemcom, bo Niemcy są funkcjonalnym sojusznikiem Rosji w tej wojnie. Bomba może spaść również na węzeł kolejowy we Lwowie. Wtedy Polska odczuje to uderzenie. Nie tylko dlatego, że to blisko granicy, lecz także dlatego, że będzie opad radioaktywny. Poczujemy to my, ale również Amerykanie, którzy stacjonują na Podkarpaciu. Będziemy mogli powiedzieć: „O, kurczę. Było blisko". Rosja będzie miała nadzieję, że w ten sposób nas zastraszy.

Skoro mówisz, że Polsce grozi uderzenie nuklearne, a Niemcom nie, to może powinniśmy prowadzić taką politykę jak Niemcy? Bo w interesie narodowym Polski leży to, żeby na nas takie pociski nie spadły.

Być może… Ja uważam, że jest odwrotnie, ale twoja teza jest uprawniona. Nie można tego lekceważyć. Nasi decydenci też przecież stali przed tym dylematem. Dlatego jeszcze kilka tygodni temu bali się dostarczyć Ukrainie samolotów MiG-29, bali się mówić o czołgach. Chcieli dostać zabezpieczenie od Amerykanów, którego – o czym mówiliśmy – zabrakło w przemówieniu Bidena. W interesie Polski jest uzyskanie realnego zabezpieczenia od Ameryki. To powinna być nasza tarcza. W interesie Polski leży jednak również to, żeby Ukraińcy wygrali z Rosją. Pokonali siły lądowe Federacji Rosyjskiej i wyparli je ze swojego terytorium. Powstrzymali w ten sposób imperialny projekt Moskwy. Ale żeby mogli wygrać, potrzebują broni. I tę broń dostarcza Polska. Nawiasem mówiąc, te dostawy – mogę to powiedzieć, bo nie piastuję żadnej funkcji urzędowej – te dostawy broni powodują, że funkcjonalnie już jesteśmy w tej wojnie.

Start rosyjskiej rakiety Iskander na ćwiczeniach „Zapad 2017"

FOT. DEFENCE MINISTRY PRESS SERVICE/AP/EAST NEWS

To jest delikatna i niebezpieczna gra. Jak pomagać Ukrainie, ale w taki sposób, by jednocześnie nie narazić się na ryzyko rosyjskiego odwetu? To, że Ameryka nie chce jasno powiedzieć, iż obejmuje nas parasolem nuklearnym, sprawia, że to ryzyko wzrasta. Dlaczego Biden nie mógł z siebie tego wydusić?

Może jest taka percepcja, że Rosjanom tak źle idzie, że nie przyjdzie im do głowy uderzyć w państwo NATO-wskie. Ale moim zdaniem takie zapewnienie powinno paść. Do tego powinny dojść przeloty amerykańskich samolotów z bronią jądrową nad naszym terytorium. Najlepiej, żeby bazy tych samolotów znajdowały się na terenie Polski. Wtedy Rosjanie na pewno by na nas nie uderzyli.

To dlaczego Amerykanie nie chcą tego zrobić? Wydaje się, że to nic nie kosztuje. Takiego zobowiązania nie trzeba byłoby wypełniać, bo ono zadziałałoby odstraszająco. I zapobiegłoby atakowi.

Właśnie kosztuje! I to dużo. Bo można nagle znaleźć się w wojnie gdzieś na dalekich peryferiach świata. Daleko od rzeki Potomac. I to jeszcze z mocarstwem nuklearnym. Polacy są przyzwyczajeni, że są importerami bezpieczeństwa i z sojuszy wyciąga się tylko korzyści. Ale wyobraź sobie, że Polska miałaby sojusz z Ukrainą. I jest grudzień 2021 r., na granicy Ukrainy zbierają się wojska rosyjskie. Co robisz? Natychmiast kombinujesz, jak się wykręcić z takiego sojuszu. A już na pewno myślisz, czy on się opłaca. Co zrobić, by nie znaleźć się w tej wojnie. Tak samo myślą Amerykanie. Oni usiłują uzyskiwać wszystkie swoje cele polityczne jak najmniejszym kosztem własnym. Musimy sami wyjaśnić im poważnym, strategicznym językiem – a nie infantylno-emocjonalnym – dlaczego czujemy się zaniepokojeni. Czego od nich oczekujemy i co sami możemy zaoferować. Tu jest potrzebne podjęcie bardzo subtelnej gry z Amerykanami. To zresztą leży w ich interesie. Bo jeżeli okaże się, że Rosja – mimo porażki na Ukrainie – przy użyciu atomowego szantażu zmusi Ukrainę do ustępstw, to nastąpi masowa proliferacja broni jądrowej na świecie. Bo każdy będzie chciał mieć własną atomową polisę ubezpieczeniową.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Jacek Bartosiak
jest geopolitykiem. Autorem książek „Rzeczpospolita między morzem a lądem" i „Wojna w Kosmosie".

eprasa.pl 016ae519f9

PAŃSTWA POSIADAJĄCE BROŃ JĄDROWĄ

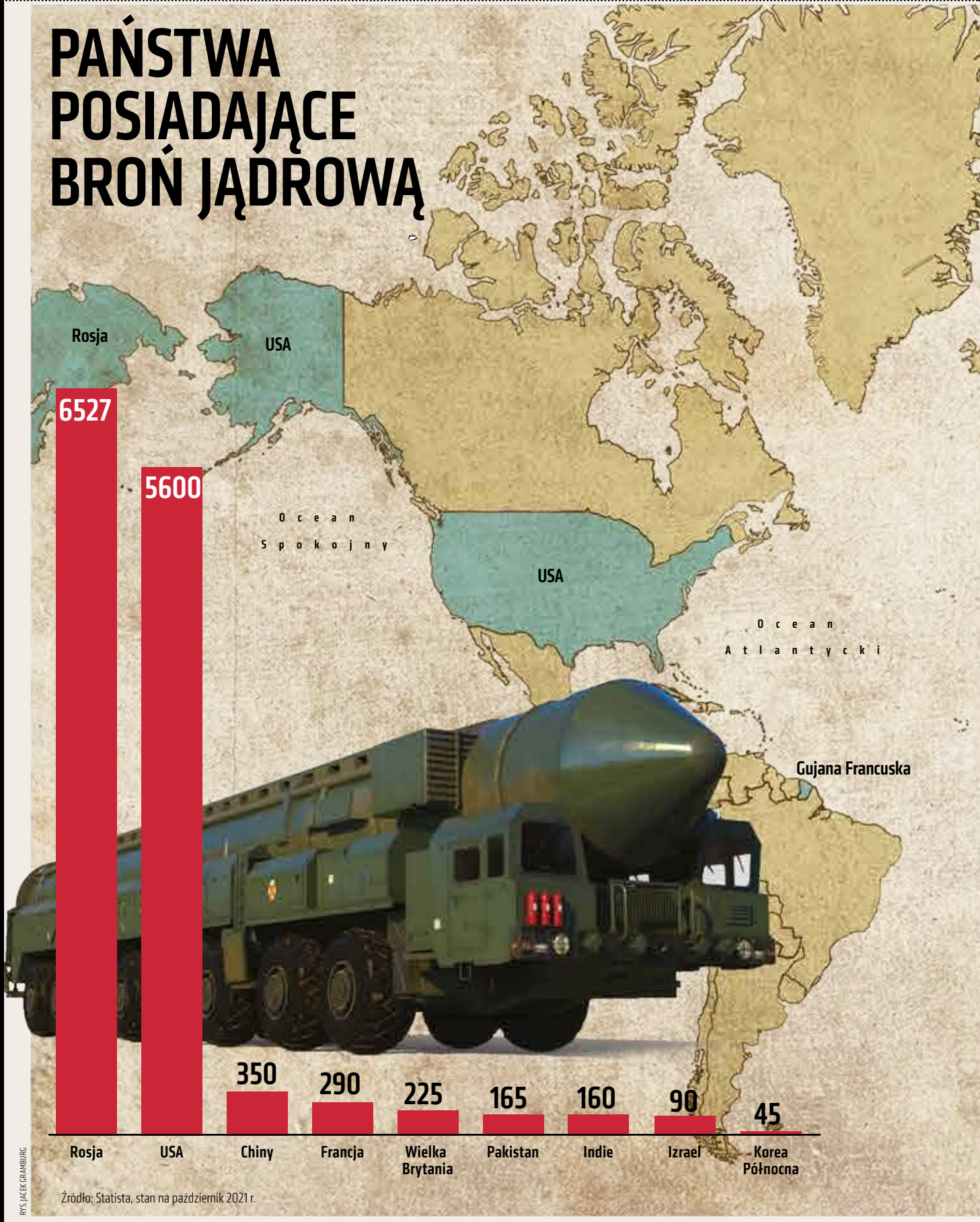

Źródło: Statista, stan na październik 2021 r.

RYS. JACEK GRAMBURG

eprasa.pl 016ae519f9

eprasa.pl 016ae519f9

Termonuklearny test na atolu Bikini, 1954 r.
FOT. WIKIPEDIA/U.S. DEPARTMENT OF ENERGY

Wywiad / Z prof. Davidem Hollowayem, amerykańskim sowietologiem, autorem książki „Stalin i bomba"

rozmawia Piotr Włoczyk

Bomba Stalina

– Udany test Sowietów był wstrząsem dla Zachodu, ponieważ nikt się tego nie spodziewał. Amerykanie uważali, że zrujnowany, zacofany Związek Sowiecki będzie potrzebował nawet 20 lat na skonstruowanie bomby atomowej – mówi prof. David Holloway

PIOTR WŁOCZYK: Czy Stalin przestraszył się wiadomości płynących z Hiroszimy?

PROF. DAVID HOLLOWAY: Na pewno był to dla niego szok. Na Kremlu doszło wówczas do trzydniowej narady. Dwa tygodnie po ataku na Hiroszimę Stalin podpisał dekret, który zmieniał mały sowiecki program atomowy w olbrzymi projekt, który stał się absolutnym priorytetem dla ZSRS. Stalin zdał sobie w końcu sprawę, że atom zmienia układ sił. Mimo że wywiad informował go o pracach w Los Alamos, to aż do bombardowania Hiroszimy i Nagasaki Stalin uważał, że pomiędzy Zachodem a Wschodem panuje względna równowaga, którą udało mu się uzyskać kosztem wielkich wyrzeczeń.

Dlaczego Kreml tak długo zwlekał z rozkręceniem własnego programu atomowego, skoro wiedział, co się dzieje w Los Alamos? Czyżby Stalin nie doceniał potęgi atomu?

Już w październiku 1941 r. sowieckie kierownictwo zostało powiadomione przez wywiad o potencjalnym nowym rodzaju broni. W 1942 r. Stalin podpisał dekret, który ustanawiał niewielką jednostkę badawczą mającą stwierdzić, czy faktycznie można stworzyć taką bombę. W tamtym okresie uważano jednak, że zbudowanie jej zajmie minimum trzy lata. Sowieckie kierownictwo uznało, że jest to zbyt daleka perspektywa. Priorytetem było konstruowanie broni konwencjonalnej, by powstrzymać Wehrmacht.

Sowiecki projekt atomowy aż do 1945 r. rozwijał się bardzo powoli. Stalin do lata 1945 r. raczej nie rozumiał, jak potężna jest broń atomowa i jak wielką rolę strategiczną odegra. Wywiad dostarczał mu informacji, z których wynikało, że amerykańska bomba będzie miała moc ok. 5 tys. ton trotylu. W związku z tym Kreml uznał, że nie jest to aż tak wielki przełom. Tymczasem bomba zrzucona nad Hiroszimą miała 13 kt, a ta zdetonowana nad Nagasaki aż 20 kt.

Mimo wszystko trudno zrozumieć, że aż do Hiroszimy Stalin nie doceniał atomu.

Sowiecki dyktator uważał, że to po prostu kolejny nowy wynalazek jak radar, rakieta czy napęd odrzutowy. Na Zachodzie wojna opierała się na wysokich technologiach, tymczasem ZSRS walczył bardzo tradycyjnie, stawiając na rzucanie mas żołnierzy i sprzętu.

Jak duży był sowiecki program atomowy latem 1945 r.?

W sumie mówimy o mniej niż tysiącu osób, wliczając w to personel pomocniczy. To się jednak dość szybko zmieniło.

eprasa.pl 016ae519f9

Sześć lat później, w 1951 r., przy projekcie tym pracowało już 600 tys. osób…

Do grudnia 1944 r. na czele programu atomowego stał Wiaczesław Mołotow. To nie był najlepszy menedżer. „Pałeczkę" po nim przejął Beria, który sam się upominał o objęcie kierownictwa nad budową bomby. Trzeba przyznać, że Beria potrafił zarządzać i wymuszać pożądany efekt. Do dyspozycji miał własny ogromny rezerwuar siły roboczej zamkniętej w Gułagu. Mógł użyć tych niewolników do prac w kopalniach oraz do prowadzenia olbrzymich projektów budowlanych niezbędnych dla prowadzenia programu atomowego.

Co ciekawe, Beria bardzo dobrze traktował naukowców pracujących przy bombie. Nie mógł przy nich rządzić po swojemu, musiał ich wysłuchiwać i obchodzić się z nimi jak z jajkiem. To musiało być dla niego coś nowego. Przy projekcie atomowym pracowało wielu naukowców pochodzenia żydowskiego. Beria oczywiście chronił ich przed skutkami „kampanii antykosmopolitycznej" z końca lat 40. Lew Landau, sowiecki fizyk teoretyczny, żartował, że pierwszym przykładem skuteczności odstraszania nuklearnego było właśnie ocalenie żydowskich fizyków pracujących w ZSRS…

Sowieci potrzebowali mnóstwa uranu do swojego programu atomowego. Amerykanie nie mieli problemu z dostępem do tego pierwiastka. A jak to wyglądało w przypadku ZSRS?

Amerykanie zabezpieczyli sobie olbrzymią ilość uranu z belgijskiego Konga. Sowieci mieli z kolei ogromny problem z dostępem do tego pierwiastka. Widzieli, że Amerykanie starają się maksymalnie utrudnić innym państwom dotarcie do takich złóż. Moskwę uratowały ogromne złoża uranu zlokalizowane na terenie przyszłej NRD. Sporo uranu wydobywali również w Czechosłowacji. W sowieckiej strefie okupacyjnej w Niemczech w kopalniach przy wydobyciu uranu pracowało 200 tys. osób, w większości byli to Niemcy.

Z sowieckim programem atomowym najbardziej kojarzony jest Igor Kurczatow, który bywa nazywany „ojcem" bomby atomowej Stalina, ale rzeczywistość była inna. Kto był sowieckim Oppenheimerem?

Kurczatow zajmował się głównie budową reaktorów. Człowiekiem, który nadzorował prace nad bombą atomową,

Józef Stalin

FOT. DOMENA PUBLICZNA

był Julij Chariton. To on stworzył sowiecki odpowiednik Los Alamos, który powstał w Sarowie – mieście zamkniętym.

Podobnie jak Oppenheimer, Chariton kształcił się w latach 20. w Cambridge. Nawiasem mówiąc, nie brakuje między nimi innych podobieństw: obaj byli pochodzenia żydowskiego i urodzili się w odstępie zaledwie kilku tygodni od siebie. Różnica polegała na tym, że Oppenheimer zrezygnował z kierowania Los Alamos w październiku 1945 r., żałując, że podjął się tej pracy, gdy tymczasem Chariton pozostał na swoim stanowisku aż do 1992 r. Miał wówczas 88 lat. Zresztą niedługo później miałem okazję spotkać się z nim.

W jakich okolicznościach poznał pan „ojca" sowieckiej bomby atomowej?

W latach 80. starałem się znaleźć jakieś strzępy informacji na temat sowieckiego programu atomowego. Pod koniec tamtej dekady, gdy w ZSRS zaczęło dochodzić do przemian, napisałem do Charitona list. Poinformowałem go, że jadę do Moskwy na konferencję naukową, i zapytałem, czy zechciałby się ze mną spotkać i porozmawiać o tamtych czasach. To był zwykły papierowy list, na który nie dostałem odpowiedzi. Kiedy jednak pojawiłem się na konferencji, ktoś podszedł do mnie i przekazał mi, że Chariton może się ze mną spotkać, ale nie w Moskwie. To było dla mnie niesamowite, bo przecież mógł mnie najzwyczajniej w świecie zignorować. A jednak z jakiegoś powodu Chariton chciał mi trochę poopowiadać o swojej roli w procesie budowy „bomby Stalina"…

Ten dziarski staruszek dwukrotnie zaprosił mnie do ośrodka w Sarowie. Najbardziej wryła mi się w pamięć podróż z Sarowa do Moskwy w „prywatnym" pociągu Charitona. Jechaliśmy w saloniku, zajadaliśmy z nim i jego wnuczkiem kanapki, a ja patrzyłem przez okno na piękny czerwcowy krajobraz i myślałem sobie, że to wszystko się nie dzieje… (śmiech).

Na ile kluczowa okazała się w tym procesie praca sowieckiego wywiadu?

Sowieci mieli bardzo dobrych fizyków, ale informacje wywiadowcze wykradzione z Los Alamos były absolutnie kluczowe dla tak szybkiego tempa prac. Już pod koniec 1941 r. zaczęły docierać do sowieckich fizyków informacje o postępach Amerykanów i Brytyjczyków w badaniach nad bombą atomową. Słynny fizyk Klaus Fuchs, który pracował wówczas w Wielkiej Brytanii, wybrał się do ambasady Sowietów w Londynie i poinformował ich o wszystkim. Fuchs

Replika pierwszej sowieckiej bomby atomowej

FOT. RIA NOVOSTI ARCHIVE/ALEXANDER POLYAKOV /CC-BY-SA 3.0/WIKIPEDIA

eprasa.pl 016ae519f9

znalazł się następnie w składzie brytyjskiej delegacji pracującej przy Projekcie Manhattan. Będąc w USA, przekazywał Sowietom kluczowe informacje na temat budowy bomby plutonowej.

Warto tu chyba podkreślić, że słynne małżeństwo Ethel i Juliusa Rosenbergów było w tej wielkiej grze jedynie kurierami.

Tak. To Fuchs był tu najważniejszym źródłem informacji. Chariton opowiadał mi, że po wszystkim chciał załatwić Fuchsowi jakieś ważne sowieckie odznaczenie, ale odpowiedź „góry" była negatywna. W tamtym okresie Moskwa nie chciała bowiem przyznawać, że sowiecka bomba atomowa była pracą niesamodzielną.

Jak długo Sowieci trzymali się swojej oficjalnej wersji?

Skończyłem pisać książkę w 1993 r. Tuż przed zakończeniem prac Rosjanie upublicznili duży pakiet dokumentów, w których znalazły się m.in. opinie Kurczatowa na temat danych wywiadowczych z USA. Efektem tego była niecodzienna sytuacja – swego rodzaju awantura między fizykami a KGB. Ludzie służb ogłosili bowiem wówczas, że to oni są prawdziwymi autorami atomowego sukcesu Związku Sowieckiego, a nie fizycy! I to im należały się te wszystkie odznaczenia, dacze i pobiedy, które dostali fizycy! Putin już w 1999 r. docenił pracę „swoich" ludzi ze służb i odznaczył orderami najważniejszych szpiegów, którzy wspomagali sowiecki program atomowy.

Czy ktokolwiek w Waszyngtonie na serio wysuwał po 1945 r. argument, że trzeba wykorzystać przewagę atomową i powstrzymać ZSRS przed zbudowaniem własnego arsenału nuklearnego?

W amerykańskim wojsku słychać było głosy, że to okno możliwości w końcu się zamknie i jeżeli Ameryka miałaby walczyć z Sowietami, to właśnie teraz jest najlepszy ku temu czas. Jednak w Białym Domu nie było to brane na poważnie. Pamiętajmy, że nawet w czasie wojny koreańskiej Truman był przeciwny używaniu bomb atomowych, mimo że Sowieci mieli ich wówczas bardzo niewiele – nie mogli się równać na tym polu z USA – i nie byli w stanie realnie zagrozić Ameryce.

W 1949 r. powstał amerykański raport, który stwierdzał, że same bomby atomowe nie będą w stanie wygrać wojny z ZSRS. Amerykanie liczyli się z tym, że ZSRS mimo uderzeń nuklearnych mógłby wyprzeć wojska USA z Europy swoimi gigantycznymi siłami konwencjonalnymi. To byłaby powtórka z drugiej wojny światowej, ale tym razem powrót na kontynent byłby jeszcze trudniejszy.

A jak Sowieci zapatrywali się na taką ewentualność?

Sowieci pod koniec lat 40. szacowali, że naloty strategiczne na Niemcy były równe detonacji ok. 300 bomb atomowych z Hiroszimy. Kierownictwo kremlowskie wychodziło z założenia, że będzie w stanie przetrwać takie uderzenie.

Po upadku ZSRS natknąłem się na opracowanie raportu powstałego w ośrodku w Sarowie, które stwierdzało, że o ile w 1953 r. USA miały ok. tysiąca bomb, o tyle nawet taka liczba ładunków nuklearnych nie byłaby w stanie zupełnie wyeliminować ZSRS z gry. Jednak już w 1957 r. Ameryka posiadała bomby wodorowe, co zupełnie zmieniało sytuację. Sowieci rozumieli, że nowy rodzaj bomby mógłby zamienić ich kraj w pustynię atomową. W tamtym okresie ZSRS posiadał zaledwie ok. 10 proc. amerykańskiego arsenału atomowego. Widać tu, jak ogromny skok wykonali w tej dziedzinie Amerykanie w bardzo krótkim czasie.

29 sierpnia 1949 r. Sowieci dokonali eksplozji swojej pierwszej bomby, która w zasadzie była kopią bomby zrzuconej nad Nagasaki.

Sowieci pracowali zarówno nad bombą uranową, jak i plutonową. Uranowy ładunek sprawiał im jednak więcej problemów i dlatego skupili się przede wszystkim na bombie plutonowej. Rozmawiałem na ten temat z Charitonem. Powiedział mi, że informacje od Fuchsa były tak kompletne, że postanowili po prostu z Kurczatowem powielić amerykańską konstrukcję, co zaoszczędziło im mnóstwo czasu.

Julij Chariton, sowiecki fizyk jądrowy, na znaczku pocztowym z okazji setnej rocznicy jego urodzin FOT. WIKIPEDIA

Zachód był zdziwiony, że ZSRS tak prędko zbudował swoją bombę atomową, ale Moskwa była zawiedziona, że projekt mocno się opóźnił. Początkowo bowiem deadline wyznaczony był na 1947 r. Stalin bardzo niecierpliwie czekał na własną bombę.

Beria wybrał się na pierwszy test. Na miejscu byli też Kurczatow i Chariton. Wszyscy trzej byli w bunkrze jakieś 10 km od miejsca wybuchu. Gdy doszło do eksplozji, Beria ucałował obu naukowców... To musiała być niezapomniana scena. Całus od demonicznego szefa sowieckiej tajnej policji musiał być dla nich obu wyjątkowym przeżyciem. Po chwili jednak Beria spytał innego fizyka, który był w składzie sowieckiej delegacji zaproszonej przez USA w pobliże atolu Bikini, gdzie Amerykanie przeprowadzali jeden z testów, czy ten wybuch był podobny do tego, który widział trzy lata wcześniej. To pokazuje, że do samego końca Beria nie wierzył własnym naukowcom.

eprasa.pl 016ae519f9

Eksplozja atomowa widziana z samolotu
FOT. U.S. ARMY SIGNAL CORPS

Stalin musiał być piekielnie dumny.

Z pewnością, ale – co ciekawe – Kreml nie pochwalił się tym sukcesem. Trzy tygodnie później informację tę ujawnił Waszyngton. Reakcja Sowietów była przedziwna. W komunikacie agencji TASS, który na pewno został zaakceptowany przez Stalina, napisano, że być może Amerykanie uznali za wybuch atomowy jakiś ogromny wybuch konwencjonalny, do którego doszło podczas prac budowlanych.

Rozmawiałem o tym z asystentem Kurczatowa. Podobno jego szef był bardzo zawiedziony tym komunikatem. Od osób pracujących nad sowiecką bombą atomową usłyszałem też ciekawą historię o odznaczeniach za pierwszy udany test. Ponoć Beria wyciągnął z szuflady listę osób przeznaczonych do rozstrzelania, gdyby test okazał się porażką, i po prostu kazał ich odznaczyć (śmiech). Ludzie pracujący nad bombą dla Stalina na pewno od samego początku rozumieli, że ich bezpieczeństwo nierozerwalnie związane jest z powodzeniem projektu.

Jak wyglądały nastroje w Waszyngtonie?

Udany test Sowietów był szokiem dla Zachodu, ponieważ nikt się tego nie spodziewał. Amerykanie uważali, że zrujnowany, zacofany Związek Sowiecki będzie potrzebował nawet 20 lat na skonstruowanie bomby atomowej. Po sowieckim teście Biały Dom postanowił zintensyfikować prace nad bombą wodorową. Dwa dni później, gdy Beria dowiedział się o decyzji Amerykanów, wysłał pismo do Stalina, w którym wzywał do podobnego kroku, żeby nie odstawać za bardzo od Ameryki.

Czy Stalin dążył do szybkiego stworzenia wielkiego arsenału atomowego? Chciał go wykorzystać w wojnie z kapitalistami?

Wydaje się, że Stalin do samego końca uważał, że mimo wszystko to broń konwencjonalna będzie decydowała o zwycięstwie lub porażce w starciu Wschód–Zachód. W 1948 r. Stalin miał pod bronią 2,7 mln żołnierzy, ale w 1953 r. jego armia została zwiększona do 5 mln. W międzyczasie Sowieci opracowali nowe typy bombowców i intensyfikowali prace nad rakietami międzykontynentalnymi. Jednak aż do pojawienia się bomb wodorowych sowieckie kierownictwo uważało atom jedynie za broń pomocniczą. Zresztą podobnie patrzyli na to Amerykanie.

W 1954 r. marszałek Gieorgij Żukow zorganizował ćwiczenia na poligonie Tockoje, podczas których zdetonowano bombę atomową. Żukow kazał następnie wpędzić w radioaktywną chmurę 45 tys. żołnierzy, by przećwiczyć wojnę z Zachodem. Takich testów Amerykanie chyba nie przeprowadzali?

Podobno Żukow żartował wówczas, że ci biedni żołnierze nie mają się co bać, że przecież takie „ćwiczenia" to nic w porównaniu ze zdobywaniem Berlina... Amerykanie nie przeprowadzali takich ćwiczeń, ale jednak zdarzały się testy, na które przywożono masę wojska. Chodziło o to, by sprawdzić, jaki efekt psychologiczny wywiera na żołnierzach widok grzyba atomowego. Niektórzy z nich zgłaszali potem problemy zdrowotne, które mogły wskazywać na napromieniowanie.

Dwanaście lat po swoim pierwszym atomowym teście Sowieci zdetonowali najpotężniejszą bombę wodorową w historii – 50-megatonową „Car-bombę" (ok. 3 tys. razy silniejszą od „Little Boya"). Podobno początkowo Sowieci chcieli, żeby miała ona siłę 100 Mt, ale ostatecznie przestraszyli się, że taki kolos może spowodować zbyt duże straty, i dwukrotnie zmniejszyli ładunek.

Ten potwór miał być przede wszystkim sygnałem politycznym. Sowieci zdetonowali „Car-bombę" 30 października 1961 r., w szczycie kryzysu berlińskiego. Chruszczow chciał w ten sposób pokazać Amerykanom, że z ZSRS nie ma żartów. W ten właśnie sposób atomowe mocarstwa „rozmawiały" ze sobą w czasie zimnej wojny...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor David Holloway jest amerykańskim sowietologiem i historykiem, emerytowanym wykładowcą Stanford University, autorem książki „Stalin i bomba" odsłaniającej kulisy sowieckiego programu atomowego.

eprasa.pl 016ae519f9

Od XX w. do dziś / Incydenty „broken arrow”

Atomowy armagedon o krok

Grzegorz Janiszewski

W trakcie zimnej wojny świat kilkukrotnie stanął na krawędzi nuklearnej zagłady

Świat kilka razy stawał na krawędzi atomowej zagłady. Załogi samolotów gubiły nuklearne ładunki. Tonęły okręty podwodne wyładowane atomowymi rakietami i torpedami. Pozbawieni łączności z dowództwem żołnierze musieli podejmować decyzje o jądrowym odwecie. Co najmniej dwa razy od celowego wywołania armagedonu świat ocalili trzeźwo myślący ludzie.

Związek Sowiecki skonstruował swoją bombę w 1949 r. Od tego czasu atomowe mocarstwa zaczęły nawzajem szachować się nuklearnym orężem. Uzbrojone w nie samoloty nieustannie patrolowały niebo, w morze wychodziły okręty podwodne. Od lat 50. cyklicznie dochodziło do incydentów nazywanych przez Amerykanów „broken arrow”. Ich skutki mogły być opłakane, chociaż zgubione albo zaginione bomby nie groziły bezpośrednio wybuchem wojny.

Boeing B-52 Stratofortress

FOT. WIKIWAND

Dowódco, zgubiliśmy bombę

W 1950 r. trzy silniki amerykańskiego samolotu Convair B-36B Peacemaker lecącego z Alaski do Teksasu uległy awarii. Załoga zrzuciła bombę do Oceanu Spokojnego. Na szczęście ładunek nie wybuchł, ale bomby nie odnaleziono do dzisiaj. W 1958 r. B-47 z ważącą prawie 3,5 tony bombą zderzył się z myśliwcem F-86. Bombę zrzucono do ujścia rzeki Savannah w Georgii i do dzisiaj jej nie odnaleziono pod warstwami mułu. W 1961 r. nad Goldsboro w Karolinie Północnej w samolocie Boeing B-52 Stratofortress doszło do wycieku paliwa ze skrzydła. Dwie bomby o sile czterech megaton oddzieliły się od samolotu, rozpoczynając proces uzbrajania. Tylko cudem nie eksplodowały.

W 1966 r. u wybrzeży Hiszpanii B-52G zderzył się z latającą cysterną KC-135. Samolot przenosił cztery bomby termojądrowe. Trzy z nich spadły niedaleko wioski Palomares. Doszło do skażenia ok. 2 km kw. terenu, który latami był rekultywowany. Amerykanie dopiero w latach 90. przyznali się do 32 podobnych przypadków.

Sowieci nigdy się do nich nie przyznawali, co nie oznacza, że ich nie było. Wypadki lotnicze na terenie ZSRS były skrzętnie ukrywane. Ich samoloty rzadziej latały nad oceanami, a bomb atomowych było mniej. Prawdopodobnie w 1976 r. u wybrzeży Sachalinu spadł do oceanu bombowiec Tu-95 przenoszący dwie bomby nuklearne.

Serię atomowych porażek zaliczyła natomiast sowiecka flota podwodna. Wiosną 1968 r. po zderzeniu z amerykańskim okrętem podwodnym zatonął K-129 z rakietami R-21 i torpedami z głowicami atomowymi na pokładzie. W 1970 r. w Zatoce Biskajskiej wskutek

eprasa.pl 016ae519f9

pożaru zatonął okręt K-9 z sześcioma torpedami jądrowymi. W 1986 r. na Bermudach w wyniku dekompresji wyrzutni i pożaru zatonął K-219 z 16 rakietami z głowicami jądrowymi. Trzy lata później na dno Morza Norweskiego poszedł K-278 z dwiema atomowymi torpedami.

Nuklearne siłowanie

„Atomowa luka" między amerykańskim a sowieckim potencjałem w latach 50. nieustannie się powiększała. Amerykanie mieli ok. 6 tys. ładunków, przenoszonych przez 300 międzykontynentalnych rakiet. Rosjanie zaledwie 800, z 80 rakietami.

Chruszczow chwalił się, że Związek Sowiecki produkuje rakiety „jak parówki", ale dotyczyło to raczej pocisków krótkiego i średniego zasięgu. Wystarczyło, żeby dosięgnąć cele w Europie i na Alasce, ale nie amerykańskie miasta. Od 1959 r. USA rozmieszczały swoje pociski „Jupiter" w Wielkiej Brytanii, Turcji i we Włoszech. Chruszczow, czując się osaczony, postanowił zagrać w niebezpieczną grę. Wydawało się, że może wygrać z „chłopcem w krótkich spodenkach", jak sowiecki ambasador określał wybranego na prezydenta Johna Kennedy'ego.

Stary wyjadacz chciał do tego wykorzystać skłaniającego się do socjalizmu w wydaniu sowieckim Fidela Castro. Po inwazji w Zatoce Świń w 1961 r. zaczął on otwarcie optować za sojuszem z ZSRS. W maju 1962 r. Chruszczow uzgodnił z nim plany operacji „Anadyr". Na Kubie miały zostać rozmieszczone m.in. cztery sowieckie pułki zmechanizowane, jednostki rakietowe wyposażone w pociski balistyczne R-12 i Łuna, 40 samolotów myśliwskich, bombowce Ił-28 i okręty podwodne. W końcu września na wyspie było już 30 tys. żołnierzy Armii Radzieckiej.

Amerykanie nie zasypiali gruszek w popiele. W sierpniu wywiad informował o dostarczaniu sowieckiego sprzętu na wyspę. We wrześniu analitycy CIA dostrzegli na zdjęciach z samolotu rozpoznawczego U-2 kształty rakiet. W połowie października widać już było ich gotowe stanowiska. Według oceny amerykańskich specjalistów mogły one

Bomby atomowe, które zostały zgubione nad Palomares FOT. PLUMBOB78/WIKIPEDIA

razić prawie całe terytorium USA, aż do Wyoming i Montany, zagrażając 80 mln Amerykanów.

Kennedy zwołał specjalny komitet wykonawczy Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Generał Curtis LeMay, który podczas drugiej wojny światowej dowodził dywanowymi nalotami na Japonię, a potem przełamaniem sowieckiej blokady Berlina, chciał od razu bombardować wyspę, zanim rakiety będą gotowe do użycia. „To jest prawie tak samo złe jak polityka ustępstw w Monachium" – rzucił do zwlekającego z decyzją Kennedy'ego.

Amerykański prezydent polecił rozpocząć przygotowania do ataku i postawił siły nuklearne w stan gotowości. 22 października wygłosił orędzie, w którym zapowiedział, że wystrzelenie chociaż jednej rakiety z Kuby spowoduje nuklearną odpowiedź. Żąda też demontażu sowieckich instalacji militarnych na Kubie. Chruszczow następnego dnia odgrażał się, że w razie zatrzymania statków płynących na wyspę „będzie zmuszony przedsięwziąć środki, które uważamy za niezbędne i odpowiednie dla ochrony naszych praw". Sowieckie siły zbrojne zostają postawione w stan podwyższonej gotowości. Nie powstrzymuje to Kennedy'ego, który ogłasza blokadę wyspy. Nazywa to za radą prawników „kwarantanną", aby uniknąć militarnych konotacji.

Dwa dni później szef amerykańskiego Dowództwa Lotnictwa Strategicznego Thomas Power podniósł gotowość bojową do stopnia DEFCON 2. Kolejny stopień to już nuklearna wojna. Wiadomość do podległych jednostek przesłał otwartym tekstem. W ZSRS jednostki rakiet strategicznych otrzymały zalakowane koperty z kodami do ich odpalenia. Bombowce strategiczne zajęły pozycje do ataku. Amerykańskie grupy abordażowe zaczęły przeszukiwać płynące na Kubę frachtowce.

Świat zastygł przy odbiornikach radiowych i telewizorach, spodziewając się wybuchu trzeciej wojny światowej. Jednak nuklearne zapasy zakończyły się kompromisem. Odpowiadając na amerykańską propozycję, 28 października sowieckie kierownictwo podjęło decyzję. Rakiety i bombowce zostały usunięte z Kuby. W zamian Amerykanie wywieźli jupitery z Turcji.

W siłowaniu na rękę Kennedy'ego z Chruszczowem – jak kryzys kubański był przedstawiany na ówczesnych karykaturach – był remis, z nieznacznym wskazaniem na tego drugiego. Jednak atomowa wojna była wówczas o włos z powodu decyzji na zupełnie innym szczeblu.

Atom z głębin

Do ochrony dostaw uzbrojenia na Kubę Sowieci wysłali m.in. cztery okręty podwodne typu 641, wyposażone w torpedy z atomową głowicą. Dowódcy byli upoważnieni do ich użycia w razie

Amerykański P2V Neptune śledzi sowiecki statek podczas kryzysu kubańskiego FOT. U.S. NAVY/WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 016ae519f9

Sowiecki okręt podwodny K-219 FOT. WIKIPEDIA

bezpośredniego zagrożenia. 1 października grupa wyruszyła z macierzystej jednostki – 69. Brygady Okrętów Podwodnych na Półwyspie Kolskim – i skierowała się na Karaiby. Napędzane silnikami Diesla okręty niezbyt nadawały się do takiej misji. Zostały wykryte zaraz po przejściu na północny Atlantyk, dzięki systemowi sonarów SOSUS, o którym Sowieci nie mieli pojęcia. Amerykanie wysłali na ich spotkanie trzy grupy lotniskowców.

Sowiecki zespół po przemierzeniu kilku tysięcy mil morskich zamiast uzupełnić zapasy, naładować akumulatory i dać odpocząć załogom, musiał ukrywać się przed tropiącymi go Amerykanami. W kadłubach okrętów przystosowanych do zimnych wód północy panowała temperatura sięgająca 60 st. C, przy 90-procentowej wilgotności. Część miejsca w ciasnej przestrzeni zajmowali specjaliści z wywiadu, odpowiedzialni za nasłuch radiowy.

Amerykanie zaczęli obrzucać wykryte okręty ćwiczebnymi bombami głębinowymi, żeby zmusić je do wynurzenia. B-130 wypłynął pośrodku amerykańskiej grupy bojowej, B-36 wynurzył się zagrożony staranowaniem przez amerykański niszczyciel. B-59 dowodzony przez kapitana drugiej rangi Witalija Sawickiego został wykryty 27 października. Sawicki pod wodą nie miał kontaktu z dowództwem i nie wiedział, czy na powierzchni nie rozpętała się już atomowa wojna. Po kolejnym ataku, kiedy ćwiczebna bomba eksplodowała wprost na kadłubie okrętu, jego dowódca był przekonany, że to ładunek bojowy.

Kazał uzbroić torpedę z nuklearną głowicą i wycelować w amerykański lotniskowiec USS „Randolph". Sawicki miał wtedy stracić panowanie nad sobą, krzycząc do załogi: „Zdmuchniemy ich teraz! Umrzemy, ale zatopimy ich wszystkich. Nie przyniesiemy wstydu naszej marynarce!". Żeby użyć broni „A", oprócz kapitana jednostki, który miał decydujący głos, potrzebna była zgoda jeszcze dwóch oficerów. Stanowczo sprzeciwił się temu szef sztabu 69. Brygady, kapitan drugiej rangi Wasilij Archipow. Przekonał też oficera politycznego, że Amerykanie chcą ich tylko zmusić do wynurzenia na powierzchnię. Torpeda pozostała w wyrzutni.

Zostało 40 minut

Kolejny raz na krawędzi nuklearnej zagłady świat stanął na początku lat 80. Nieugięcie antykomunistyczny Ronald Reagan otwarcie nazywał ZSRS „imperium zła". Sowiecka prasa nie była mu dłużna. W Europie Zachodniej zaczęto rozmieszczać pociski średniego zasięgu Pershing. 1 września 1983 r. nad Sachalinem Sowieci strącili koreański Boeing 747 z 269 pasażerami na pokładzie, który przypadkowo naruszył sowiecką przestrzeń powietrzną.

W nocy z 25 na 26 września w Centrum Wczesnego Ostrzegania Sił Powietrznych „Sierpuchow-15" pod Moskwą służbę pełnił ppłk Stanisław Pietrow. Piętnaście minut po północy rozległ się głośny sygnał alarmowego brzęczyka, a na analogowej tablicy pojawił się krwistoczerwony napis „START". Na ekranie wyświetlającym kontury granic USA na zachodnim wybrzeżu pojawił się punkcik, ciągnący za sobą świetlisty ogon. Potem drugi i trzeci. Mogło to oznaczać tylko jedno. Ameryka właśnie rozpoczęła atomową wojnę, odpalając w kierunku ZSRS międzykontynentalne pociski Minuteman. Lecąc nad biegunem północnym, dosięgłyby celów za ok. 40 minut. Zgodnie z doktryną gwarantowanego zniszczenia teraz trzeba było odpalić własne pociski, żeby rozpocząć nuklearny armagedon.

Nie decydował o tym Pietrow. Sygnał o ataku został przekazany automatycznie do punktu dowodzenia. Start rakiet zależał od decyzji posiadających „atomowe walizki" I sekretarza KPZR, ministra obrony i szefa sztabu generalnego. Jednak to Pietrow, który widział całą sytuację na ekranach, musiał jednoznacznie zidentyfikować sytuację jako atak. Decyzję trzeba było jeszcze przekazać do wojsk rakietowych, wybrać odpowiedni wariant ataku, otworzyć sejfy z kartami perforowanymi, którymi programowano komputery wyrzutni. Każda minuta zwłoki mogła udaremnić sowiecki odwet. Pietrow zwlekał z potwierdzeniem.

Mimo że sercem systemu był potężny i ponoć niezawodny komputer M-10, oficerowi coś nie pasowało. Rakiety zostały wystrzelone tylko z jednej bazy. Nie wyglądało to na początek trzeciej wojny światowej. Żołnierze zajmujący się obserwacją wizualną obrazów przekazywanych przez satelitę „Oko" nie potwierdzali startu. Pietrow potraktował to jako błąd systemu.

Jak się później okazało, alarm spowodowało odbicie słońca od powierzchni chmur. System był dopiero testowany, a oficerowie nie mieli doświadczenia w jego obsłudze. Mimo tego kozłem ofiarnym został Pietrow. Obwiniony o sfałszowanie dokumentacji dyżuru wkrótce potem został zwolniony z wojska, a incydent utajniono.

Głos w eterze

Ostatni incydent „broken arrow" miał się wydarzyć podczas zatopienia rosyjskiego krążownika „Moskwa" w kwietniu 2022 r. Na dno razem z nim poszły ponoć dwie rakiety P-1000 „Wułkan" z głowicami jądrowymi. Rosjanie wysłali do ich wydobycia pamiętający jeszcze Mikołaja II okręt ratowniczy „Komuna", ale nie wiadomo, czy misja zakończyła się sukcesem. Nie wiadomo też, czy dzisiaj w rosyjskiej armii – zindoktrynowanej podobnie jak za sowieckich czasów – znaleźliby się równie trzeźwo myślący żołnierze, którzy zapobiegliby atomowej zagładzie, którą ciągle grożą Putin i jego propagandyści.

Między innymi na wypadek, gdyby obecne rosyjskie kierownictwo zostało zlikwidowane przez wrogich – dziś np. ukraińskich – komandosów, od lat 80. ma działać system Perimetr. W razie odebrania sygnału o atomowym ataku i braku łączności z dowodzącymi uruchomi on rakiety Topol, które – lecąc nad Rosją – prześlą sygnały do pocisków balistycznych z głowicami atomowymi, a te automatycznie wystartują w kierunku zaprogramowanych celów. Częścią systemu mają być zagadkowe radiostacje numeryczne, których transmisje czasem można usłyszeć w eterze. Mechaniczny, zwykle kobiecy głos monotonnie czyta szeregi cyfr, zwiastując nuklearny armagedon, szykowany już nie przez omylnego człowieka, lecz przez niezawodny automat.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 016ae519f9

Już 27 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 016ae519f9

XX w. / Nuklearna rywalizacja USA i ZSRS

Wyścig zbrojeń

Artystyczna wizja startu rosyjskiej rakiety balistycznej R-29RM

FOT. WIKIPEDIA/DEFENSE INTELLIGENCE AGENCY

Jakub Ostromęcki

W latach zimnej wojny najpoważniejsi gracze rozgrywali nuklearny wyścig zbrojeń na zasadzie trójboju

W literaturze fachowej określa się to nuklearną triadą. Przeciwnika można było zatem razić z bombowców strategicznych dalekiego zasięgu, międzykontynentalnymi pociskami ziemia-ziemia (ICBM) oraz za pomocą pocisków wystrzeliwanych z okrętów podwodnych (SLBM). Każdy z elementów triady daje posiadaczowi broni nuklearnej wiele możliwości, ale obarczony jest też ryzykiem. Lotnictwo strategiczne jest najstarszą z nuklearnych dyscyplin, do drugiej połowy lat 50. było wręcz jedyną i wraz z okrętami podwodnymi wyposażonymi w SLBM wymagało od konstruktorów wielkiego kunsztu. W czasach zimnej wojny część amerykańskich bombowców znajdowała się cały czas w powietrzu, gotowa wejść natychmiast w bój, inne stały na końcu pasa startowego zatankowane, z bombami na pokładzie. Sowieci, być może nie wierząc w poziom kultury technicznej obsługi naziemnej, nie ćwiczyli lotów z bombami nuklearnymi.

Lotnictwo strategiczne mogło zaskoczyć przeciwnika, nadlatując z niespodziewanego kierunku. Bombowce jako jedyne z całej triady mogły być odwołane, jeśli okazało się na przykład, że błędnie zinterpretowano intencje przeciwnika. Ciężki, poddźwiękowy i mało zwrotny bombowiec z pierwszego okresu zimnej wojny w przeciwieństwie do rakiety nie mógł jednak działać sam. Trzeba mu było ułatwić dostęp do celów. Najpierw zatem do boju ruszyć miały myśliwce bombardujące dalekiego zasięgu niosące po jednej niedużej bombie, które miały zniszczyć system obrony powietrznej przeciwnika.

Lot bombowcem wprost w system sowieckiej lub amerykańskiej obrony przeciwlotniczej był misją samobójczą. W armii sowieckiej nie była to praktyka nowa, ale i w USA nie spotykano jej często. Zdawały sobie z tego doskonale sprawę załogi B-52. Pilot Clyde Ketcham wspominał: „Nawet gdyby nas nie zestrzelili, to w wyniku powrotu przez chmury radioaktywne nie pożylibyśmy długo. [...] Miałem tylko nadzieję, że Bóg na to wszystko nie pozwoli".

Pocisk wystrzeliwany z ziemi jest bronią najtańszą. Operatorzy takiego pocisku zareagowaliby też najszybciej na rozkaz wydany przez genseka lub prezydenta. Mała była jednak jego moc odstraszająca. Uwięziona w silosach broń łatwa była bowiem do zlokalizowania dla wywiadu, satelitów czy samolotów szpiegowskich. Nawet gdy pociski takie zamontowano na platformach kolejowych lub ciężarówkach, to poruszano się wciąż w granicach swojego kraju. Trudno w ten sposób zaskoczyć przeciwnika niejako „ante portas".

Okręty podwodne z SLBM to broń koszmarnie droga. Równie bowiem jak rakieta ważny był tu sam nosiciel, który ma być cichy, pozostawać w zanurzaniu całymi miesiącami i wystrzeliwać pociski prosto z głębin morskich. Służyła na nim elita marynarki. Okręt podwodny trudny jest do zlokalizowania i – co najważniejsze – może kontratakować nawet w sytuacji, gdy kraj, pod którego banderą służy, obrócony już został w radioaktywną pustynię. O ile jednak rozkazy ataku dochodziły do obsług rakiet ziemia-ziemia czy do samolotów natychmiastowo, o tyle dowódca okrętu podwodnego odbierał taką informację z pewnym opóźnieniem. Istniało też ryzyko, że zacznie on samodzielnie interpretować sygnały czy szczątkowe informacje i samopas tudzież wraz oficerami podejmie decyzję o odpaleniu swoich pocisków, co mogłoby mieć katastrofalne skutki dla całego świata.

eprasa.pl 016ae519f9

Sowieci i Amerykanie podchodzili do opisanej triady odmiennie. USA były bardziej wszechstronne, Sowieci woleli polegać na pociskach ICBM. Wynikało to tyleż z możliwości technologicznych, ile z geopolityki. USA posiadały zamorskie bazy w pobliżu granic z ZSRS, w Turcji, Korei Południowej czy w Japonii, wprost wymarzone dla bombowców i okrętów podwodnych. Sowieci przez cały czas zimnej wojny nie byli w stanie zainstalować takich baz w pobliżu USA.

Nuklearny trójbój dotyczył oczywiście broni strategicznych – czyli takich, którymi wygrywa się wojny. Istnieje też bowiem nuklearna broń taktyczna służąca jedynie do wygrywania bitew bez potrzeby narażania całej ludzkości na nuklearną zimę, o dużo mniejszej mocy, za pomocą której można niszczyć np. czołgi stłoczone w rejonie ześrodkowania czy też dywizję desantującą się na plażach. Ładunki takie może odpalać artyleria, mogą je też zrzucać samoloty szturmowe czy myśliwsko-bombowe.

Od plagi do apokalipsy

Pierwsze bomby atomowe lat 40. i początku 50. nie były w stanie zniszczyć życia na Ziemi. Miały bowiem zbyt małą moc. Mogła to jednak uczynić bomba termojądrowa zwana też wodorową. Mówiąc potocznie, jest to bomba w bombie. W jednej komorze głowicy w ułamkach sekund dochodzi do rozszczepienia jąder atomów, co inicjuje drugi proces w sąsiedniej komorze – syntezę jądrową, czyli gwałtowne łączenie się jąder atomowych. Wyzwolona w ten sposób energia jest dużo większa od tej w „klasycznych" bombach atomowych, które zrzucono na Hiroszimę czy Nagasaki.

Detonacja sowieckiej „Car-bomby", ważącego 27 ton monstrum, widoczna była z ok. 900 km, spowodowała falę sejsmiczną, która obiegła ziemię kilka razy, wyparowanie kilku wysepek na Morzu Arktycznym i groźbę strasznych oparzeń u każdego pozbawionego należytej ochrony człowieka w promieniu 100 km od epicentrum wybuchu. „Car-bomba" mogłaby zmienić całą aglomerację paryską w szklaną równinę. Mogłaby, gdyby nie to, że jej głowica była zbyt nieporęczna dla sowieckich samolotów i rakiet. Nie zmienia to jednak faktu, że to właśnie broń termojądrowa zesłałaby na Ziemię prawdziwy ragnarök. Amerykanie zdetonowali ładunek termojądrowy w 1952 r., rok przed Sowietami. Jednak to Sowieci pierwsi zrzucili taką próbną bombę z samolotu w 1955 r.

Podczas zimnej wojny do roku 1949 Amerykanie byli monopolistami. Nie oznaczało to jednak, że mogliby bezkarnie przemierzać niebo nad całymi Sowietami z bronią atomową na pokładzie. Ich superfortece B-29 nie miały na to wystarczającego zasięgu. Od 1948 r. mogły to robić bombowce B-36 Peacemaker, ale początkowo tylko cztery z nich były przystosowane do przenoszenia bomby atomowej. Amerykańska bomba miała więc bardziej wywierać presję na Sowiety, niż wyrządzić im autentyczną krzywdę. Sowiecka bomba atomowa niewiele zmieniła w scenariuszu ewentualnego konfliktu – pierwsze powojenne tupolewy nie mogły zagrozić terytorium USA, choć w Pentagonie panowało przekonanie zgoła odwrotne – stąd zawrotne tempo rozwoju amerykańskich bombowców. Pierwszymi sowieckimi bombowcami mogącymi od połowy lat 50. dolecieć do USA i wrócić były Tu-96. Było ich jednak znacznie mniej niż maszyn amerykańskich.

USA przez większość lat 50. miały nad Sowietami gigantyczną przewagę w liczbie głowic i środkach przenoszenia. Mimo to nie zagroziły, z wyjątkiem sugestii kilku generałów, użyciem arsenału ani podczas kryzysu berlińskiego w 1948 r., ani wojny koreańskiej, mającej wszak w pewnym momencie dość nieciekawy dla USA przebieg. Nie zagrożono jej użyciem również wtedy, gdy próbowano ratować Francuzów sromotnie osaczonych w Điện Biên Phủ w 1954 r.

W 1957 r. USA ogarnęła panika. Sowieci wystrzelili Sputnika na orbitę. Oznaczało to, że rychło w rakiecie R7 będącej nosicielem owego satelity umieszczą głowicę atomową. Skoro rakieta mogła wlecieć na orbitę okołoziemską, to mogła też dosięgnąć Nowy Jork czy Los Angeles. W 1959 r. Amerykanie dorobili się własnego pocisku Atlas. Obie rakiety miały tę samą wadę. Do ich wystrzelenia potrzebna była instalacja średniej wielkości zakładu przemysłowego. Była łatwa zatem do lokalizacji dla wywiadu. Czas silosów i platform kołowych i kolejowych miał dopiero nadejść, więc w latach 50. zastanowiono się, jak odpalać pociski międzykontynentalne skrycie.

Najlepszą opcją okazał się wówczas okręt podwodny. Sowieci rzucili rękawice jako pierwsi, odpalając swój SLBM w 1955 r. Ich okręt nie miał jednak napędu atomowego, toteż musiał oddawać salwy w wynurzeniu. W 1960 r. Amerykanie odpalili swój pocisk prosto z głębin morskich. Kilka miesięcy potem zrobili to również Sowieci, jednak przez wiele lat ich okręty ustępowały jakościowo zachodnim.

Gdy tylko po obu stronach Atlantyku zaczęto montować ICBM oraz wyposażać okręty podwodne w SLBM, w głowach polityków i wojskowych zapaliło się ostrzegawcze światełko z napisem „MAD". Owa Gwarancja Obustronnego Zniszczenia (ang. Mutual Assured Destruction) mówi, że nawet jeśli jedna strona jako pierwsza odpali swój nuklearny arsenał i zniszczy większość silosów z wrogimi rakietami, to po stronie przeciwnika pozostanie wystarczająco dużo głowic w bombowcach czy na łodziach podwodnych, aby zabić dziesiątki milionów obywateli państwa napastnika. To jeszcze nic. Sowieckie i amerykańskie radary miały tak wielki

Rosyjski bombowiec Tu-22M i amerykański myśliwiec F-16 Fighting Falcon

FOT. WIKIPEDIA/DEFENCEIMAGERY.MIL

eprasa.pl 016ae519f9

Michaił Gorbaczow i Ronald Reagan podpisują układ o ograniczeniu zbrojeń atomowych, 1987 r. FOT. WHITE HOUSE PHOTOGRAPHIC OFFICE/WIKIPEDIA

zasięg, że potrafiły wykryć start rakiet przeciwnika. To powodowałoby odpalenie rakiet państwa zaatakowanego. W takiej sytuacji państwo zadające pierwszy cios było zwycięzcą przez ok. 10 minut.

Sowieccy kacykowie obejmujący czerwony tron po śmierci Stalina mogli utopić Węgry we krwi, wysyłać dysydentów do łagrów i psychuszek, słać czołgi na głodnych robotników, łupić i bombardować afgańskich pastuchów, ale nie byli psychopatami. Zdawali sobie sprawę z ryzyka i potwornych skutków wojny nuklearnej tak samo jak Amerykanie. Nikołaj Ogarkow, szef sztabu ZSRS, pytany o to, czy wierzy we własne plany ataku na Zachód, odpowiedział skrycie w rozmowie z Olegiem Griniewskim, doradcą kolejnych genseków: „Osobiście nie wierzę. Ale muszę się do nich przygotować bez względu na to, jaką formę przybiorą". Publicznie mówił w 1985 r., że „tylko ktoś całkowicie pozbawiony zdrowego rozsądku mógłby starać się przedstawić argumenty i wskazywać cele mające usprawiedliwić rozpętanie wojny światowej i tym samym ryzykowanie całkowitego unicestwienia rodzaju ludzkiego". I w Moskwie, i w Waszyngtonie wiedziano, że wojna nuklearna nie wybuchnie z powodu krwawego kaprysu którejś ze stron, ale z powodu błędnego odczytania intencji i działań przeciwnika czy też błędu własnego systemu ostrzegania.

Wyścig trwa dalej

W 1960 r. Sowieci wylali kubeł zimnej wody na amerykańskie siły powietrzne, zestrzeliwując samolot U-2 głęboko nad swoim terytorium. Szpiegowska maszyna nie nadawała się co prawda do szybkich manewrów, a do jej zestrzelenia trzeba było aż kilkunastu rakiet, ale wśród załóg bombowców B-52, które miały latać wszak podobną trasą co U-2, zapanowały grobowe nastroje. Sytuację poprawiło nieco wprowadzenie rakiet odpalanych z bombowców (AGM). Nie trzeba było już nadlatywać bezpośrednio nad wrogą wyrzutnię rakiet czy miasto, można je było niszczyć z kilkudziesięciu, potem z kilkuset kilometrów, co dawało załodze bombowca nieco większe szanse na przeżycie. Znów rok przed Sowietami opracowali ów wynalazek Amerykanie i przez wiele lat ich pociski górowały nad sowieckimi pod względem precyzji systemów naprowadzania na cel.

Lata 60. upłynęły z kolei pod znakiem ulepszania rakiet międzykontynentalnych. MRV to pocisk wielogłowicowy przypominający w działaniu bombę kasetową, czyli ładunek, który na określonej wysokości dzieli się na serię mniejszych. Rozwinięciem tego pomysłu był MIRV, czyli rakieta, której głowice – a może być ich nawet kilkanaście – po opuszczeniu pocisku matki same naprowadzają się na odrębne cele. Odpowiednio wykonane zdjęcie wchodzących w atmosferę głowic wygląda iście apokaliptycznie. Nieboskłon pokrywa się wówczas olbrzymią ilością sunących ku ziemi promieni. Zarówno w przypadku MRV, jak i MIRV prekursorami byli Amerykanie, którzy wyprzedzili Sowietów o ok. pięć lat.

To właśnie między innymi niszcząca moc owych pocisków będących już w latach 70. na wyposażeniu Sowietów spowodowała, że Amerykanie zrezygnowali ze swojego programu nuklearnych pocisków przeciwrakietowych. „Albo system będzie perfekcyjny, albo nie będzie go wcale" – mawiano w Pentagonie. Sowieci zbudowali jednak swój system wokół Moskwy. Na więcej nie pozwalał im układ o redukcji broni antyrakietowej – pozwalał on USA i ZSRS na ochronę tylko części swojego terytorium, paradoksalnie właśnie w imię utrzymania wzajemnego odstraszania. Rok 1978 był prawdziwym triumfem Sowietów – mieli teraz więcej głowic niż Amerykanie. Zachód mogła ratować teraz jedynie przewaga technologiczna.

Ronald Reagan był odnowicielem idei broni antyrakietowej. Jego Inicjatywa Obrony Strategicznej, która przeszła do historii jako gwiezdne wojny i polegała na niszczeniu sowieckich rakiet jeszcze na orbicie okołoziemskiej za pomocą satelitów, była krytykowana przez samych Amerykanów jako niemożliwa do zbudowania i dziurawa. Nie na tym jednak polegał jej cel. Samo napomknienie o amerykańskich pracach nad SDI zmuszało Sowietów do wyjścia ze strefy komfortu. Im bardziej zatem ZSRS starał się dorównać USA, tym potworniejszy kanibalizm stosował na własnej gospodarce i zasobach. I o to właśnie chodziło Reaganowi.

W czasie zimnej wojny USA i ZSRS postawiły swoje siły nuklearne w stan gotowości kilka razy. W roku 1961 – podczas kryzysu berlińskiego, w 1962 r. – podczas kryzysu kubańskiego, w czasie wojny Jom Kippur w 1973 r. i podczas NATO-wskich ćwiczeń „Able Archer" w 1983 r. Najpoważniejszy był drugi kryzys, spowodowany instalacją sowieckich rakiet na Kubie. 27 października w głębinach Morza Sargassowego doszło do niebezpiecznego zwarcia. Sowieci wysłali na Kubę cztery okręty podwodne z torpedami atomowymi. Natknęły się one oczywiście na amerykańską blokadę. Były to maszyny na ropę i do tego marnej jakości, tak więc dwa z nich zmuszono do wynurzenia się, jeden umknął, ale kapitan czwartego okrętu, osaczony pod wodą przez Amerykanów, rzekł: „Może wojna już się tam zaczęła, a my tutaj robimy nasze fikołki. Zaraz ich wysadzimy! Zginiemy, ale wszystkich ich zatopimy – nie przyniesiemy wstydu naszej flocie".

Na szczęście na pokładzie znajdował się szef sztabu 69. Brygady Okrętów Podwodnych, który powstrzymał rozgorączkowanego kapitana. Gorąco było również w USA. Szef lotnictwa strategicznego gen. Thomas Power, ogłaszając zgodnie ze swoimi kompetencjami stopień alarmowy DEFCON-2, zrobił to w dość nietypowy sposób – drogą radiową bez szyfrowania wiadomości, chcąc przestraszyć Sowietów. W tym czasie B-52 były już w powietrzu. Pilot Buck Shuler wspominał: „Pamiętam dokładnie, że nasz pierwszy cel, na który mieliśmy zrzucić bombę, znajdował się w południowo-zachodnim rogu Kremla [Rada Najwyższa ZSRS – przyp. red.]".

25 października na ogrodzenie jednej z baz sił powietrznych wspiął się niedźwiedź. Strażnik wziął go za sabotażystę, strzelił do niego i pomylił procedury alarmowe, podrywając cały dywizjon myśliwców przechwytujących uzbrojonych w broń atomową. W ostatniej chwili maszyny zostały zatrzymane na pasie startowym. Wkrótce Chruszczow ogłosił wycofanie swoich rakiet z Kuby i świat odetchnął z ulgą.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 016ae519f9

Już 13 czerwca w „Do Rzeczy" dodatek

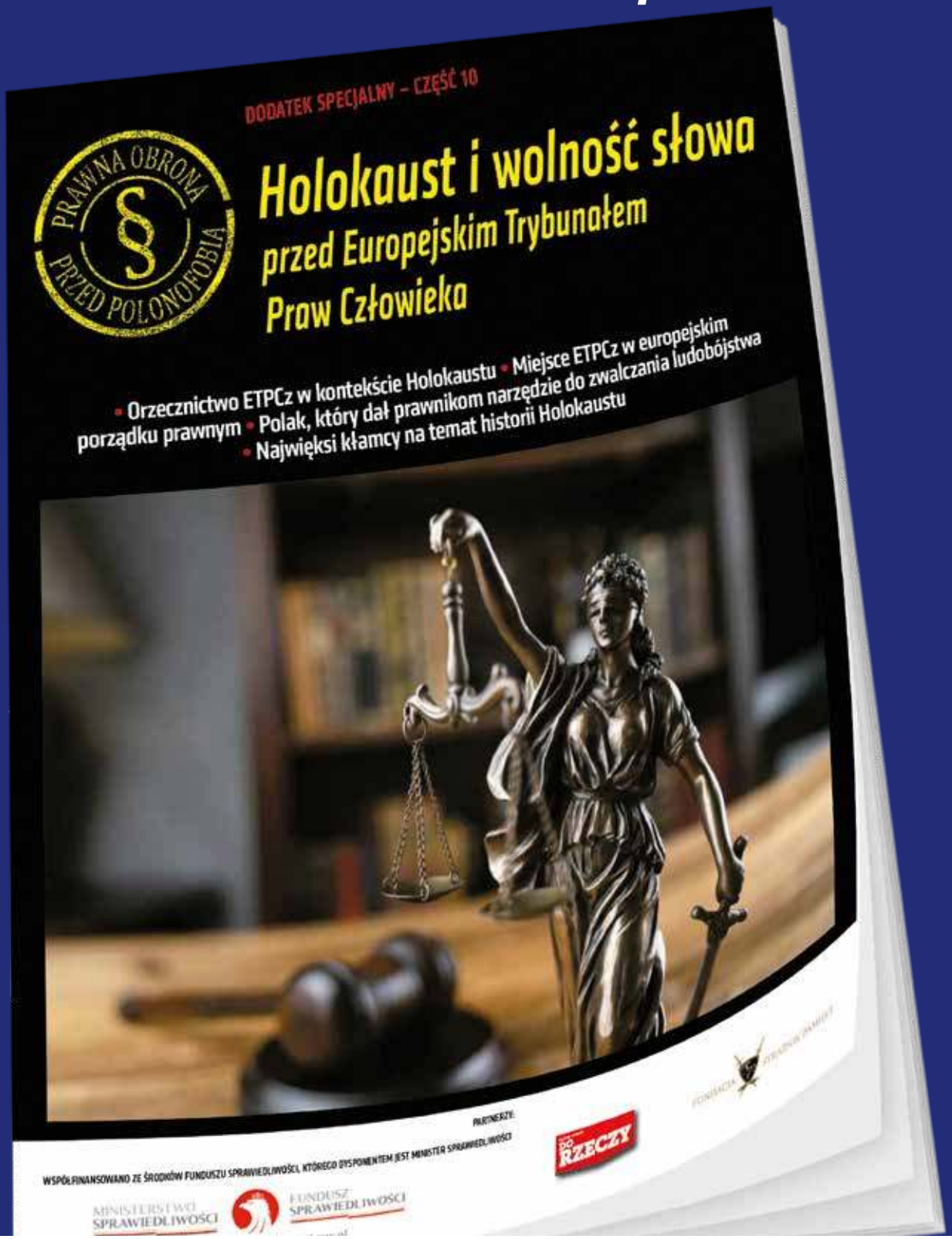

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 016ae519f9

Od roku 1945... / Pierwsze wybuchy i wyścig zbrojeń

Broń atomowa

FOT. ADOBESTOCK

Tymoteusz Pawłowski

Broń atomowa to nie tylko głowice jądrowe i termojądrowe, lecz także środki ich przenoszenia, infrastruktura umożliwiająca rozpoznanie, a później wykorzystanie sukcesu

Radioaktywność odkrył w 1896 r. Henri Becquerel i wraz ze swoimi asystentami – Marią Skłodowską oraz Piotrem Curie – w 1903 r. dostał za swoje badania Nagrodę Nobla. Musiało minąć jeszcze kilkadziesiąt lat, zanim odkryto prawdziwą naturę tego zjawiska. I tak neutron – dość istotny element atomu – został odkryty dopiero w 1932 r.

Otóż atomy składają się z jądra mającego ładunek dodatni, wokół którego krążą elektrony mające ładunek ujemny. W jądrze są również neutrony – niemające żadnego ładunku. Atomy tego samego pierwiastka mogą różnić się liczbą neutronów. Czasem taki neutron „wybierze wolność" i odleci w siną dal – to właśnie jest promieniowanie. Nawet zwykły wodór ma trzy naturalne formy, zwane izotopami: prot ma jeden proton i nie ma neutronów, deuter ma jeden proton i jeden neutron; a tryt ma jeden proton i dwa neutrony. Prot i deuter są stabilne, a tryt jest nietrwały i lubi promieniować. Izotopy powstają dlatego, że od czasu do czasu przelatujący obok atomu neutron – na przykład z kosmosu – dostarczy tyle energii, że wybije z jądra kolejny neutron.

Neutrony niosą ze sobą energię. Jeśli zgromadzimy nieco nietrwałego izotopu uranu, to energia promieniowania wystarczy do podgrzania wody i zamiany jej w parę. Para napędza generator prądotwórczy i tak działa elektrownia atomowa. Jeśli natomiast zgromadzimy bardzo dużo niestabilnego materiału – czyli osiągniemy masę krytyczną – to nastąpi reakcja łańcuchowa: neutrony będą rozszczepiały kolejne atomy, których neutrony będą rozszczepiały kolejne atomy... Tak działa bomba atomowa, a masę krytyczną można otrzymać, na przykład wstrzeliwując w siebie dwie bryły plutonu.

„Zwykła" bomba atomowa wykorzystuje energię rozszczepienia jąder ciężkich atomów, z reguły plutonu lub uranu. Po rozszczepieniu powstają z nich jądra nowych pierwiastków – z reguły baru i kryptonu – i wydziela się duża energia. Jeszcze więcej energii można otrzymać, dokonując fuzji atomów, czyli połączenia jąder lekkich atomów, z reguły różnych izotopów wodoru. W wyniku takiej fuzji powstają jądra nowego, nieco cięższego pierwiastka – helu – i wydziela się olbrzymia energia. Taka reakcja przebiega wewnątrz Słońca i innych gwiazd, ale obecnie nie da się jej kontrolować i elektrownie działające na zasadzie „zimnej fuzji" nie istnieją. „Gorącą" fuzję można wykorzystać jako broń – bombę termojądrową, której zapalnikiem jest „zwykła" bomba jądrowa, a dokładniej: promieniowanie Roentgena powstałe podczas jej wybuchu.

Środki przenoszenia

Broń atomową uzyskali Amerykanie w 1945 r. i natychmiast wykorzystali ją przeciwko Japonii, zrzucając dwie bomby z samolotów na Hiroszimę i Nagasaki. W ten sposób zmusili Japonię do kapitulacji, unikając konieczności desantu i strat liczonych w setkach tysięcy

eprasa.pl 016ae519f9

Amerykanów i w milionach Japończyków (pod koniec wojny straty japońskie były kilkanaście razy większe niż amerykańskie).

Już w 1946 r. Amerykanie zastosowali szantaż nuklearny wobec Związku Sowieckiego, domagając się wycofania z Iranu. Sowieci wycofali się po 24 godzinach i przyspieszyli prace nad własną bombą. Zbudowali ją w 1949 r. – z dużą pomocą swojego wywiadu. Amerykanie odpowiedzieli w 1952 r. skonstruowaniem bomby termojądrowej, którą Sowieci zbudowali w roku następnym. Problem nie leżał jednak w mocy bomby, lecz w jej dostarczeniu do celu.

Wczesne bomby atomowe były bardzo ciężkie i do ich przenoszenia nadawały się tylko najcięższe bombowce (a i to dopiero po specjalnym przygotowaniu). Amerykanie mieli taki bombowiec – B-29 Superfortress – a Sowieci nie mieli. Postanowili więc skopiować B-29 i stworzyli Tu-4. Mogli zagrozić Europie, ale nie Ameryce – Tu-4 miały za mały zasięg.

Rozwiązaniem były rakiety. Początkowo zarówno Rosjanie, jak i Amerykanie wykorzystywali niemieckie technologie związane z V-2, ale takie pociski również miały za mały zasięg. Amerykanie niezbyt się tym przejmowali – mieli bowiem coraz lepsze bombowce. Sowieci starali się bardziej i w maju 1957 r. wystartowała rakieta R-7. Była wspaniała: miała olbrzymi zasięg, pozwalający nie tylko na zaatakowanie Ameryki, lecz także na eksplorację kosmosu. To właśnie rakieta R-7 – pod cywilną nazwą Sojuz – wyniosła w Kosmos pierwszego sztucznego satelitę, pierwszego człowieka, a jeszcze w bieżącym roku służyła do zaopatrywania Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

R-7 była wspaniała, ale nie nadawała się do wojny. Była niecelna i tak olbrzymia, że do startu potrzebowała całego kosmodromu. Dyskwalifikowało ją jednak to, że przygotowanie do wystrzelenia – przede wszystkim zatankowanie paliwa i utleniacza – zajmowało blisko 30 godzin. Przez ten czas Amerykanie nie tylko zdołaliby zniszczyć wszystkie R-7, lecz także wygrać wojnę ze Związkiem Sowieckim.

Skuteczne użycie

Amerykanie poszli inną drogą – zamontowali swoje rakiety na okrętach podwodnych, pływających nieopodal arktycznego wybrzeża Rosji. Były one gotowe do natychmiastowego wystrzelenia, bo nie trzeba było ich tankować: nie były napędzane ciekłymi, a stałymi materiałami pędnymi. Zniszczenie Moskwy mogło nastąpić w 10 minut od wydania rozkazu do ataku. Sowieci również próbowali korzystać z okrętów podwodnych, ale działającą rakietę na stały materiał pędny udało im się wyprodukować dopiero na przełomie lat 70. i 80.

W tym czasie Amerykanie dysponowali już zupełnie inną technologią. Mieli lekkie i celne pociski Pershing umieszczone w Europie i gotowe do akcji w każdej chwili, dzięki czemu nie potrzebowali nawet okrętów podwodnych. Mieli nawet „niewidzialne" samoloty, które mogłyby nieoczekiwanie zniszczyć sowieckie wyrzutnie rakiet. Przede wszystkim jednak przodowali w badaniach Kosmosu.

Prezydent Ronald Reagan ogłosił rozpoczęcie programu „gwiezdnych wojen": w kosmosie miały się znaleźć maszyny zdolne do wykrywania sowieckich rakiet i ich niszczenia – na przykład laserem. Cały nuklearny arsenał rakietowy ZSRS mógł stać się bezwartościowy. W Moskwie podjęto decyzję o stanięciu do nowego, komicznego wyścigu zbrojeń. Okazał się on jednak tak kosztowny, że Związek Sowiecki zbankrutował i przegrał zimną wojnę, kończąc swoje istnienie w grudniu 1991 r.

Później dopiero się okazało, że amerykański program „gwiezdnych wojen" był blefem. Rozwijano tylko praktyczne technologie, uznając, że kosztowne kosmiczne laserowe systemy antyrakietowe są zbyt drogie. Rosyjski wywiad stracił wiele ze swojej skuteczności i nie odkrył machiawelicznego planu prezydenta Reagana. Broń atomowa – a jeszcze bardziej termojądrowa – jest bowiem bronią ostateczną. Jej współczesne użycie oznacza przyznanie się, że przegrało się wojnę. Trzeba więc ją stosować wraz z innymi środkami nacisku: konwencjonalnymi siłami zbrojnymi, naciskiem ekonomicznym i kulturowym.

Warto pamiętać, że broń atomowa i środki jej przenoszenia to bardzo kosztowna zabawka. Jeśli współczesna Rosja – państwo mające dochody porównywalne z dochodami Hiszpanii – utrzymuje arsenał nuklearny, to znaczy, że musi oszczędzać na konwencjonalnych siłach zbrojnych.

Boeing B-29 Superfortress, nosiciel bomb atomowych FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Pierwszy sowiecki pocisk balistyczny R-7 o zasięgu międzykontynentalnym FOT. SPACE.AIF.RU

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 016ae519f9

Boeing B-29 „Enola Gay", ilustracja Marka Stevensona

FOT. ALAMY LIMITED/BEGW

Świadek / Mówi Theodore Van Kirk – nawigator bombowca „Enola Gay"

Zrzuciłem bombę atomową

Piotr Włoczyk

Gdy bombardier zobaczył w celowniku charakterystyczny most Aioi, pociągnął za spust i krzyknął: „Bomb away!"

Theodore Van Kirk był nawigatorem bombowca „Enola Gay", który zrzucił nad Hiroszimą bombę atomową. Do końca życia był dumny ze swego udziału w tej misji, przekonując, że uratował w ten sposób mnóstwo ludzi. Liczył zaledwie 23 lata, gdy w listopadzie 1944 r. usłyszał od Paula Tibbetsa, swojego byłego dowódcy, że ma szansę wziąć udział w misji, która przejdzie do historii.

– Paul powiedział mi, że zrobimy coś, co albo skończy wojnę od razu, albo znacznie ją skróci – powiedział w rozmowie z „Historią Do Rzeczy" Van Kirk. – Wtedy jeszcze uważałem, że to czcza gadanina. W tamtym okresie ze wszystkich stron można było usłyszeć o przeróżnych cudownych planach, które miały rzekomo przyczynić się do szybszego zakończenia tej wojny.

Van Kirk od lata 1942 r. brał udział w misjach amerykańskiego lotnictwa bombowego nad Niemcami. Szybko awansował do ekstraklasy amerykańskich lotników wojskowych, czego dowodem były loty z VIP-ami na pokładach. W listopadzie 1942 r. Van Kirk znalazł się w załodze „latającej fortecy", która zabrała gen. Dwighta D. Eisenhowera z Anglii na Gibraltar, skąd miał on dowodzić operacją „Torch".

Van Kirk wrócił do USA w czerwcu 1943 r., mając na koncie 58 misji bojowych. Po telefonie od byłego dowódcy Van Kirk przeniósł się do bazy lotniczej Wendover Field w stanie Utah, gdzie Paul Tibbets tworzył grupę starannie wyselekcjonowanych lotników, którzy mieli dokonać atomowego nalotu na Japonię.

– Wiele osób mogłoby podejrzewać, że pracowaliśmy w ramach jakichś niezwykłych procedur. Ale prawda jest taka, że to szkolenie w zasadzie nie wyróżniało się niczym szczególnym. Jedyną istotną różnicą było położenie dużego nacisku na manewr ucieczki ze strefy zagrożenia. W czasie ćwiczeń lataliśmy na rozebranych prawie do naga bombowcach B-29. Musiały być one maksymalnie lekkie, żebyśmy mogli jak najszybciej uciec – wspominał mój rozmówca. – Wybebeszyliśmy samolot ze wszystkiego, co nie było absolutnie niezbędne do przeprowadzenia tej misji. Wyjęliśmy np. mnóstwo sprzętu radiowego. Pozbyliśmy się też dużej części uzbrojenia, bo w zasadzie nie było ono potrzebne nad Japonią pod koniec wojny. Dzięki temu zabiegowi nasz B-29 był o niemal trzy tony lżejszy od normalnej maszyny tego typu. Ta różnica masy miała się przełożyć na lepsze osiągi i miała pozwolić na spokojne osiągnięcie zakładanego dla misji pułapu.

Pod koniec atomowego szkolenia załoga „Enoli Gay" przeniosła się na wyspę Tinian w archipelagu Marianów Północnych. Była to największa baza lotnicza, jaka powstała w czasie drugiej wojny światowej. Tuż przed misją dowództwo misji zdecydowało się uzbroić bombę w powietrzu, a nie na ziemi, ponieważ cztery B-29 rozbiły się w bazie podczas próby startu.

– W tamtym okresie to była prawdziwa plaga. Mnóstwo superfortec roztrzaskiwało się podczas nieudanych prób startu, bo zabrakło im mocy, żeby się bezpiecznie wznieść. To było bodaj największe niebezpieczeństwo, jakie czyhało wtedy na załogi B-29. Jestem w stanie zaryzykować stwierdzenie, że więcej samolotów straciliśmy na końcu pasa startowego bazy

eprasa.pl 016ae519f9

Tinian niż podczas bombardowania Japonii. Nietrudno chyba sobie wyobrazić, że efekty wypadku z uzbrojoną bombą atomową mogłyby być katastrofalne dla całej bazy lotniczej – mówił Theodore Van Kirk.

5 sierpnia 1945 r. załoga „Enoli Gay" dowiedziała się, że następnego dnia zrzuci „Little Boya".

– Po odprawie kazano nam się iść przespać. Ale kto mógł spać kilka godzin przed startem pierwszej misji z bombą atomową? Zamiast spać, graliśmy więc w karty w oczekiwaniu na start. Musieliśmy wylecieć o godz. 2.45 w nocy, żeby znaleźć się nad celem równo o 8.15 czasu japońskiego. Ta misja była strasznie długa. Lecieliśmy w sumie 12,5 godziny. W czasie lotu nie miałem właściwie zbyt dużo czasu na myślenie o tym wszystkim, bo – w przeciwieństwie do innych członków załogi – nawigator nie może sobie pozwolić na odpoczynek. Naprowadzenie samolotu nad Hiroszimę nie było trudne, choć była to dla mnie pierwsza misja nad Japonię. Generalnie wszystko poszło dokładnie tak, jak zostało to wcześniej zaplanowane. Nad celem pojawiliśmy się jedynie z 15-sekundowym opóźnieniem – opowiadał w rozmowie ze mną nawigator „Enoli Gay".

Gdy bombardier zobaczył w celowniku charakterystyczny most Aioi (układał się w literę „T"), pociągnął spust i krzyknął: „Bomb away!". Na 250-tysięczne miasto spadła bomba atomowa o sile rażenia równej 15 tys. ton trotylu.

– Zaraz po zrzuceniu bomby samolot gwałtownie odbił w górę, ponieważ w jednej chwili straciliśmy ponad cztery tony ciężaru. Jednocześnie kapitan wykonał ciasny skręt, który tyle razy ćwiczył. Po zrzuceniu bomby każdy odliczał te czterdzieści kilka sekund do wybuchu. Eksplozja nastąpiła 600 m nad miastem. W tym momencie błysk wypełnił wnętrze samolotu, jakby ktoś robił w środku zdjęcie przy użyciu potężnej lampy błyskowej. Na szczęście mieliśmy na oczach okulary ochronne. Fala uderzyła w nasz samolot z siłą co najmniej tak wielką, jak tego oczekiwaliśmy. Mieliśmy szczęście, że nas nie rozerwało – opowiadał Van Kirk. – Samolot wydawał z siebie dźwięki, jakby poszycie miało pęknąć. Uderzenie takiej siły w bombowiec lecący na wysokości 10 km jest wyjątkowo paskudnym przeżyciem. Na dole widać było totalne zniszczenie. Wszystko przykryte było jeszcze dymem i pyłem. Ten straszny widok przypominał gotującą się smołę. Po tym, co przed momentem zobaczyliśmy na ziemi, mieliśmy wrażenie, że wojna może się skończyć, jeszcze zanim wylądujemy.

THEODORE VAN KIRK FOT. COMMONS.WIKIMEDIA

Theodore Van Kirk do końca życia (zmarł w 2014 r.) przekonywał, że zrzucenie bomby atomowej nad Hiroszimą, co kosztowało życie ponad 100 tys. osób, było koniecznością. Opowiadając o tych wydarzeniach, zawsze wiernie trzymał się oficjalnej linii rządu USA – gdyby nie „Little Boy" i „Fat Man", Amerykanie musieliby dokonać inwazji na wyspy, co oznaczałoby hekatombę dla ludności cywilnej Japonii oraz ogromne straty wśród samych amerykańskich żołnierzy. Więcej – według Van Kirka atomowe naloty były wręcz zbawienne.

– To nie był jedyny sposób, żeby skończyć wojnę, lecz było to najmniej „kosztowne" rozwiązanie, jeżeli chodzi o liczbę ofiar. Oprócz zrzucenia bomby mogliśmy jeszcze opasać Wyspy Japońskie blokadą. Byłaby ona jednak nieskuteczna. Japończycy i bez blokady żyli na tysiącu kalorii dziennie, a i tak chcieli walczyć dalej – przekonywał nawigator samolotu „Enola Gay". – Żałuję, że musieliśmy zabić tyle tysięcy osób, aby zakończyć wojnę. Poza tym w ogóle żałuję, że musieliśmy zabijać ludzi podczas drugiej wojny światowej. Ale to było konieczne. Inwazja pociągnęłaby prawdopodobnie milion zabitych po obu stronach. Dlatego właśnie użycie bomb atomowych uratowało mnóstwo ludzi.

Krytycy tej „waszyngtońskiej linii" przekonują jednak, że tak potworne bombardowania nie były konieczne do rzucenia Japonii na kolana – wystarczyło poczekać na włączenie się do wojny ZSRS. Według nich obie bomby miały być przede wszystkim manifestacją potęgi Ameryki, która chciała pod sam koniec wojny pokazać wszystkim, że posiadła niezrównaną broń. Miało to być również ostrzeżenie wobec rosnącej potęgi ZSRS: na świecie jest tylko jedno atomowe mocarstwo.

W dyskusjach na temat zasadności użycia bomb atomowych zbyt często umyka jednak sedno problemu: Czy w ogóle dopuszczalne jest w czasie wojny masowe niszczenie miast? Czy to w sposób konwencjonalny, czy też atomowy. Pamiętajmy bowiem, że ataki bombowe z 6 i 9 sierpnia 1945 r. wcale nie były najbardziej zabójczymi nalotami na Japonię. Pół roku wcześniej w „tradycyjnym" ataku lotniczym 300 amerykańskich bombowców wypaliło doszczętnie 40 km kw. Tokio, zabijając grubo ponad 100 tys. osób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 016ae519f9

Wiktor Suworow FOT. PIOTR WYGODA/EAST NEWS

Rozmowa / Z Wiktorem Suworowem

rozmawia Piotr Zychowicz

Zabójczy urok „Tatiany”

Sowieci podczas ćwiczeń zrzucili bombę atomową. A następnie w strefę skażenia wpędzili tysiące własnych żołnierzy

PIOTR ZYCHOWICZ: Jedna z pańskich ostatnich książek nosi tytuł „Tatiana”. Czyżby zmienił pan branżę i zaczął pisać o kobietach?

WIKTOR SUWOROW: W pewnym sensie tak. Po rosyjsku, zresztą również po polsku, słowo „bomba” jest rodzaju żeńskiego. A moja książka jest właśnie o bombie. O pocisku nuklearnym RDS-4 „Tatiana” o mocy 38 kiloton. Czyli mniej więcej tylu, ile miały bomby zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki razem wzięte.

Kiedy ta bomba została zrzucona?

14 września 1954 r. Stało się to w ramach ćwiczeń o kryptonimie Snieżok, zorganizowanych przez marszałka Gieorgija Żukowa, tego samego, który 10 lat wcześniej zdobył Berlin.

eprasa.pl 016ae519f9

Makieta bomby „Tatiana"

FOT. DMITRY KASHKANOV/MYOLDTOWN.RU

Co to były za ćwiczenia?

Symulacja przełamania frontu. Doświadczenia drugiej wojny światowej pokazały bowiem, że sprowadza się ona właściwie tylko do jednego: trzeba uderzyć na przeciwnika, przerwać jego linię i wedrzeć się w głąb jego terytorium. Należy w to jednak włożyć olbrzymi wysiłek. Na odcinek przełamania trzeba było sprowadzić po 300–350 dział na kilometr (w sumie 7–8 tys.) i zalać nieprzyjaciela lawiną ognia. Po godzinie, dwóch do akcji wkraczały czołgi i tyraliery piechoty poprzedzane potężnym przygotowaniem artyleryjskim. Wszystko to wymagało milionów pocisków, olbrzymich nakładów. Bomba atomowa miała rozwiązać ten problem.

Jak?

Jedna eksplozja i po sprawie. Sowieci rozumowali tak: zrzucamy bombę atomową na wrogie pozycje, obrona przeciwnika przestaje istnieć i przed naszą armią otwiera się prosta droga do wrogiej stolicy. Nikt nie będzie Armii Czerwonej przeszkadzał podczas „wyzwoleńczego marszu". Właśnie taki wariant wydarzeń miał zostać przećwiczony na manewrach „Snieżok".

Gdzie je przeprowadzono?

Na poligonie Tockoje nad rzeką Samarą na żyznym południu Rosji.

Na odludziu?

Gdzieżby tam! Na terenie gęsto zaludnionym. W odległości 5 km od epicentrum eksplozji znajdowały się wsie Machowka, Orłowka, Iwanowka i Jełszanka, 6,5 km od epicentrum stała szkoła podstawowa. We wszystkich tych miejscowościach były otwarte studnie. Mnóstwo trzody chlewnej, uprawy. Ludzie...

Jak to się odbyło?

Przed godz. 6 rano z lotniska we Władimirowce wystartował bombowiec Tu-4 dowodzony przez mjr. Wasyla Kutyrczewa. Na osobisty rozkaz Żukowa, który miał kontakt radiowy z majorem, o godz. 9.33 „Tatiana" została wypuszczona z luku bombowego. Po 48 sekundach, na wysokości 350 m, nastąpiła eksplozja. Był potworny błysk, zatrzęsła się ziemia, rozległ się huk, od którego pękały bębenki w uszach. A następnie po ziemi przeszła potworna fala uderzeniowa, stapiając i paląc wszystko, co napotkała na swojej drodze. Apokalipsa!

Nad czym eksplodowała „Tatiana"?

Nad okopami „zachodnich". Czyli nad rzekomą linią obrony przeciwnika. Ustawiono tam czołgi, transportery opancerzone, zbudowano zasieki. Do środka zamiast żołnierzy wsadzono żywe zwierzęta. Z tego wszystkiego oczywiście nie zostało nic. Wszystko się stopiło. Krajobraz księżycowy.

Co dalej?

Następnie do akcji weszli „wschodni", czyli CXXVIII Korpus Strzelecki Armii Czerwonej. Wkroczył on na teren uderzenia atomowego, aby dokonać przełamania.

Rozumiem, że to było symulowane przełamanie? Zrobiono to na mapie?

Skądże! 45 tys. prawdziwych żołnierzy Armii Czerwonej otrzymało rozkaz wejścia w chmurę radioaktywnego pyłu! W samo epicentrum potężnej nuklearnej eksplozji. Pierwsi żołnierze znaleźli się tam pół godziny po wybuchu. Ludzi tych nie uprzedzono, w czym mają wziąć udział. Uderzenie atomowe miało być symulowane. Tymczasem było prawdziwe…

Co zobaczyli?

Oto cytat ze wspomnień jednego z nich: „Po gęstym lesie dębowym pozostały tylko czarne zgliszcza. Zwęglone kikuty. Sprzęt bojowy – nasz i naszych umownych nieprzyjaciół – stopiony i zgnieciony. Zniknęły okopy i schrony – górna warstwa ziemi jakby się przemieściła. Teren się wyrównał. Widok był upiorny".

Jak zabezpieczono żołnierzy przed skutkami promieniowania?

Nie zabezpieczono ich w ogóle. Jeden drobny przykład. Wojsko powinno pójść na taką akcję w starych mundurach, które zaraz potem powinny zostać spalone. Tymczasem im wydano nowiutkie mundury w przededniu ćwiczeń... Te nowiutkie mundury zostały napromieniowane i w tych nowiutkich mundurach żołnierze wrócili do koszar oraz dokończyli w nich służbę. Często trwało to kilka lat. To samo z włosami. Żołnierzy powinno się ogolić do gołej skóry po ćwiczeniach, ich zaś ogolono przed ćwiczeniami. Nie odkażono ich, nie umyto. Mało tego, trzymano ich jeszcze przez kilka miesięcy w obozie w pobliżu miejsca eksplozji. Jednym słowem – zgroza!

Jakie były tego skutki?

Straszliwe. Ci ludzie mieli zrujnowane zdrowie. Zaraz po ćwiczeniach niemal wszyscy dostali krwawej biegunki. Potem padli ofiarą chorób popromiennych, straszliwych nowotworów. Wielu zostało wysterylizowanych. Pamiętam, jak już po upadku komunizmu pojechałem na Łotwę i spotkałem się z grupą weteranów, którzy brali udział w operacji „Snieżok". Oni byli akurat zdrowi, ale ich dzieci urodziły się zdeformowane, poważnie chore.

Czy Związek Sowiecki zapewnił tym ludziom specjalistyczną opiekę medyczną?

Związek Sowiecki się na tych ludzi wypiął. Każdy z nich musiał podpisać zobowiązanie, że przez 25 lat od ćwiczeń nie piśnie o całej sprawie ani słowa. Konsekwencje złamania tego zobowiązania byłyby straszne. Takim śmiałkiem zająłby się KGB. Ludzie ci zgłaszali się więc do lekarzy, a ci byli bezradni. Pacjenci nie mogli im bowiem powiedzieć, jakie są przyczyny tych chorób.

A po 25 latach? W roku 1980?

Po 25 latach wielu już nie żyło. A reszcie po prostu nie uwierzono. Okazało się bowiem, że do dokumentów żołnierzy powpisywano fikcyjne miejsca zakwaterowania. W szpitalach toczyły się więc takie rozmowy:

– Skąd macie tę chorobę?

– We wrześniu 1954 r. zostałem napromieniowany na poligonie Tockoje podczas eksplozji nuklearnej.

– Kłamiecie! W waszych papierach jest wyraźnie napisane, że we wrześniu 1954 r. byliście w koszarach na Syberii.

eprasa.pl 016ae519f9

Sowiecki bombowiec Tu-4 skopiowany z amerykańskiego B-29
FOT. WIKIPEDIA/MAARTEN DIRKSE

Proszę stąd natychmiast wyjść! Dla tych ludzi był to dramat. Po prostu im nie wierzono. Zostali potraktowani jak króliki doświadczalne.

Czy oni byli jedynymi ofiarami operacji „Snieżok"?

Nie. Do 45 tys. żołnierzy CXXVIII Korpusu Strzeleckiego należy dodać jeszcze kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy innych formacji. Lotników, saperów, wojsk, które znajdowały się w pobliżu. Oni również zostali napromieniowani, choć oczywiście nie tak mocno. Najbardziej ucierpieli jednak cywile. Skażone zostały bowiem studnie i ziemia. A ci ludzie musieli tam nadal żyć. Pić tę wodę, jeść warzywa i hodować zwierzęta. Wśród nich również szalały rozmaite potworne choroby, oni również rodzili chore dzieci. I oni również przez państwo sowieckie zostali pozostawieni samym sobie...

Cały komunizm...

A przecież na tym nie koniec. Nie pomyślano, że może się zmienić kierunek wiatru. W efekcie radioaktywna chmura spłynęła na pobliskie miasto Czkałow! Bóg raczy wiedzieć, ilu ludzi zostało tam skażonych. Dzisiaj obrońcy Żukowa twierdzą, że ludziom wypłacono odszkodowania, że ich domy odbudowano, że kogoś tam przesiedlono w nowe miejsce. To wszystko nieprawda. Bolszewicy zawsze wykazywali niebywałą pogardę dla ludzkiego życia. Własnych obywateli traktowali jak śmiecie. Historia „Tatiany" to tylko jedna z wielu podobnych spraw.

Jak by pan nazwał to, co się stało?

Była to zbrodnia. Zbrodnia z zimną krwią przeciwko własnemu narodowi.

Po co właściwie Żukow przeprowadził te manewry?

Wszystko zaczęło się po śmierci Stalina, w roku 1953. W sowieckim kierownictwie zadano sobie wówczas pytanie: Co dalej? I w trakcie dyskusji doszło do poważnego rozdźwięku. Z jednej strony Beria i Malenkow, z drugiej Chruszczow i partyjny beton.

Na czym polegała ta różnica zdań?

Beria doszedł do wniosku, że komunizm to system skrajnie niewydolny gospodarczo, który nie ma szans w konkurencji z kapitalizmem. Że jeżeli sowieckie kierownictwo będzie się go dalej trzymało, to doprowadzi kraj do katastrofy. Zaproponował więc, by odrzucić komunistyczne dogmaty ekonomiczne. Zachować partię, czerwone sztandary i wszystkie zewnętrzne oznaki komunistycznego systemu, ale zliberalizować gospodarkę.

Czyli model, który zrealizowali ostatnio komuniści chińscy?

Właśnie. Efekty widać gołym okiem. Chiny jeszcze w latach 80. były skrajnie zacofanym, chylącym się ku upadkowi molochem. Dzisiaj, choć formalnie wciąż są krajem komunistycznym, to dzięki uwolnieniu gospodarki stały się globalnym supermocarstwem. Rozglądam się po pokoju, w którym siedzę, i niemal wszystko, co tu widzę, zostało wyprodukowane w Chinach. A nic w Ameryce.

Marszałek Gieorgij Żukow FOT. GALERIA TRIETIAKOWSKA

A więc znamy pogląd Berii. Jak sytuację oceniał Chruszczow?

Uważał, że zamiast gonić świat kapitalistyczny, lepiej go sprowadzić do takiego stanu, w jakim znajduje się Związek Sowiecki. Czyli podbić go, narzucić mu komunizm i tym samym zepchnąć w otchłań nędzy. A Żukow utwierdził go w przekonaniu, że to jest możliwe. To właśnie jego głos zadecydował o tym, która koncepcja zwycięży. Beria został aresztowany – to nie przypadek, że aresztowania dokonał właśnie Żukow – wywieziony do aresztu wojskowego i zgładzony. A niemal dokładnie rok po objęciu władzy przez Chruszczowa samolot Tu-4 z „Tatianą" w luku bombowym wystartował nad poligon Tockoje.

Ćwiczenia te miały być dowodem na to, że Armia Czerwona może opanować Europę?

Tak. Nieprzypadkowo wybrano akurat Tockoje, które znajduje się w części Rosji najbardziej przypominającej Europę Zachodnią, a konkretnie RFN. To miała być symulacja ataku na Stary Kontynent.

„Marszu wyzwoleńczego" Armii Czerwonej z Berlina Wschodniego do Lizbony.

A może to była symulacja obronna? Może Żukow się bał, że to Europa Zachodnia zaatakuje Związek Sowiecki?

Nie, to by było nielogiczne. Jeżeli broń nuklearna ma być użyta jako środek odstraszania, to robi się to zupełnie inaczej. Wyobraźmy sobie, że w latach 50.

eprasa.pl 016ae519f9

Związek Sowiecki zostałby rzeczywiście zaatakowany przez zjednoczone siły Wielkiej Brytanii, Niemiec Zachodnich i Francji. Wtedy – nic prostszego – bolszewicy zrzuciliby bomby atomowe na Londyn, Berlin i Paryż. Do tego na węzły kolejowe i zakłady zbrojeniowe na zapleczu. I byłoby po wojnie. Agresorzy by uciekli.

Czyli sam Związek Sowiecki miał być agresorem.

Bez wątpienia. Uderzenie bombą atomową we front wroga, aby go przełamać i wedrzeć się na jego terytorium, ma sens tylko wtedy, jeżeli to terytorium się chce podbić. Ćwiczenia „Snieżok" posłużyły więc Żukowowi do przekonania Chruszczowa i innych aparatczyków partyjnych, że reformowanie kraju oraz uwolnienie gospodarki jest niepotrzebne. Komunizm co prawda rzeczywiście nie może współistnieć z kapitalizmem, ale nie ma się co tym przejmować. Wkrótce bowiem zaatakujemy oraz podbijemy Zachód i żadnego kapitalizmu nie będzie. Wszędzie wprowadzimy nasze dziadostwo.

Tak się jednak nie stało. Dlaczego?

Bo to od początku był blef. Chruszczow uwierzył w przedstawienie, które pokazał mu na poligonie Tockoje marszałek Żukow. Jednak zrealizowanie takiej operacji było możliwe tylko na ćwiczeniach. W prawdziwej wojnie przełamanie frontu za pomocą sowieckiej broni nuklearnej byłoby nie do zrealizowania.

Jak to?

Po pierwsze, bombowiec Tu-4, którym dysponowała Armia Czerwona, był maszyną skrajnie przestarzałą. Po jednym z bombardowań Japonii podczas drugiej wojny światowej amerykański samolot B-29 musiał awaryjnie lądować na terytorium Sowietów. Towarzysz Stalin oczywiście swoim amerykańskim sojusznikom go nie oddał. Kazał natomiast rozebrać go do ostatniej śrubki i skopiować. Tak powstał Tu-4. W roku 1954 był to już latający grat. I w prawdziwej sytuacji bojowej nie miałby najmniejszych szans nadlecieć nad wrogie pozycje. Zostałby błyskawicznie zestrzelony przez znacznie szybsze, nowocześniejsze maszyny nieprzyjaciela.

A gdyby jednak mu się udało?

To wtedy nie trafiłby w cel! W Tockoje, w miejscu, gdzie miał spaść pocisk, rozłożono wielkie białe koło o średnicy 150 m. Na środku był zaś gruby, stumetrowy czarny krzyż. Do tego reflektory, które oświetlały cel. A mimo to Tu-4 chybił prawie o 300 metrów! I to za drugim podejściem, bo za pierwszym bomby zrzucić mu się nie udało. Stało się tak, mimo że załoga wielokrotnie przećwiczyła ten lot w tym samym miejscu na „sucho". Zrzucano wówczas atrapę „Tatiany" o takiej samej co ona wadze.

WIKTOR SUWOROW
TATIANA – TAJNA BROŃ
REBIS

W prawdziwej wojnie takich udogodnień rzeczywiście by nie było.

To była wielka pokazówka. W prawdziwej wojnie załoga bombowca widziałaby w dole ciągnące się, zamaskowane okopy. Nie wiedziałaby, gdzie są swoi, a gdzie wróg. Wszystko szare i zielone, żadnych biało-czarnych krzyży. Zresztą – tak jak mówię – wróg by nie pozwolił, aby stary bombowiec z czasów drugiej wojny światowej krążył nad jego pozycjami choćby przez minutę.

No cóż, to dość typowe dla Związku Sowieckiego.

Niestety, był to kraj, w którym wszystko tak działało, a raczej nie działało. Czyli pokazówka, za którą kryły się degrengolada i skrajna niekompetencja. Rok 1954 był dla Związku Sowieckiego przełomowy. Związek Sowiecki stanął na rozstaju dróg. Mógł albo się zreformować, albo wejść na drogę prowadzącą do klęski. Za sprawą Chruszczowa i Żukowa wybrano klęskę. Eksplozja „Tatiany" była początkiem końca Związku Sowieckiego.

Dlaczego?

Bo przywróciła komunistycznym aparatczykom wiarę w światową rewolucję, którą miała przynieść na swoich bagnetach Armia Czerwona. Wiara w tę iluzję spowodowała, że wszystkie sowieckie nakłady w kolejnych dekadach poszły na zbrojenia. Bolszewicy zaczęli produkować tysiące czołgów i samolotów, wspierać milionami dolarów rewolucjonistów na całym świecie. Tyle że socjalistyczny system – tak jak przewidział Beria – nie mógł udźwignąć takiego obciążenia. Efekt – spektakularny upadek bloku wschodniego na przełomie lat 80. i 90. To i tak cud, że trwało to tak długo. Związek Sowiecki został zmiażdżony przez tony broni, którą wyprodukował.

To się tak musiało skończyć.

Musiało. Niedawno była 96. rocznica rewolucji październikowej. Niedługo będzie setna. To skłania do refleksji, jak wielka to była tragedia. Bolszewicki pucz roku 1917 był jednym z najczarniejszych dni w dziejach świata. Ten straszliwy eksperyment pochłonął miliony ofiar, sprowadził straszliwe cierpienia na mój kraj. A także na pański kraj i wiele, wiele innych państw na całym świecie. A wszystko to w imię iluzji, najbardziej niedorzecznego absurdu w historii ludzkości.

Co ma pan na myśli?

Podstawowym założeniem komunizmu było stworzenie systemu, który zapewni „każdemu wszystko według jego potrzeb" i w ten sposób zaprowadzi na świecie powszechną szczęśliwość. Problem polegał na tym, że „potrzeby" ludzkie są nieograniczone. Każdy marzy o milionach na koncie, nicnierobieniu, pięknych kobietach i szybkich samochodach. Każdy chce być królem, a nikt nie chce być czyścicielem klozetów. Ponieważ stworzenie systemu, w którym każdy to król, jest niemożliwe, komuniści stworzyli system, w którym sprowadzili wszystkich obywateli do poziomu czyścicieli klozetów.

Poza czerwoną nomenklaturą.

Rzeczywiście, im samym żyło się dobrze. Dlatego są tylko dwie możliwości: każdy przywódca komunistyczny mógł być albo zbrodniarzem, albo idiotą. Idiotą – jeśli wierzył w te wszystkie niedorzeczne hasła. A zbrodniarzem – jeżeli w nie nie wierzył, lecz wprowadzał je w życie. Idiotą był bez wątpienia Chruszczow, a zbrodniarzem Stalin.

Trzeciej możliwości nie było?

Była. Komunista mógł być również zbrodniczym idiotą. I takich było zatrzęsienie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wiktor Suworow
jest byłym oficerem GRU, który wybrał wolność i uciekł na Zachód. Napisał m.in. „Lodołamacza", „Akwarium" i „Alfabet Suworowa". Mieszka w Wielkiej Brytanii.

eprasa.pl 016ae519f9

Mikołaj Iwanow

W Mińsku działała grupa polskich pisarzy komunistycznych. Padli oni ofiarą wielkiego terroru

Dzisiejszy prawie dwumilionowy Mińsk, stolica niepodległej Białorusi, od blisko 30 lat niemogącej zrzucić z siebie okrutnego, totalitarnego reżimu Alaksandra Łukaszenki, nie przypomina niegdysiejszego Mińska Litewskiego, słynnego polskiego miasta kresowego, w którym na ulicach dominował język polski. Polski język był również „lingua franca" dla przeważającej większości mieszkańców. Rewolucja bolszewicka i „haniebny pokój ryski" (jak nazywali go niektórzy przeciwnicy narodowej demokracji) zmieniły ten obraz miasta, ale tylko częściowo.

„Pierwsza repatriacja" do odrodzonej Rzeczypospolitej objęła jedynie elity polityczne, finansowe i intelektualne polskiej społeczności Mińska. W proklamowanej przez bolszewików stolicy miniaturowej Białoruskiej Sowieckiej Republiki Socjalistycznej pozostały tysiące zwykłych Polaków: przedstawicieli klasy średniej, robotników, chałupników i część tzw. dołów społecznych. Mińsk mimo swego statusu stołecznego pozostawał miastem przeważnie polskim z liczną społecznością żydowską.

Wbrew oczekiwaniom Polacy mińscy przeżyli w swej historii bardzo ciekawy i kontrowersyjny okres. Był taki czas w historii dzisiejszej stolicy Białorusi, kiedy Polacy w tym mieście stanowili swoistą grupę uprzywilejowaną. Było to w latach 20. i na początku lat 30. minionego stulecia. Bolszewikom wyraźnie chodziło o destabilizowanie II Rzeczypospolitej, o zademonstrowanie władzom odrodzonej Polski, że polskość w Związku Sowieckim wcale nie jest prześladowana, a Polakom żyje się w państwie „robotników i chłopów" znacznie lepiej niż we wskrzeszonym państwie polskim.

Tę pozornie sprzyjającą Polakom politykę przeprowadzano w ramach

Lata 20., lata 30. / Sowiecka „kultura proletariacka" po polsku

Nowy czerwony Polak

eprasa.pl 016ae519f9

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Ulica Leninowska (dawniej: Franciszkańska) w Mińsku, 1935 r.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

tzw. korienizacji. Oznaczała ona wysuwanie na odpowiedzialne stanowiska w administracji państwowej i partyjnej na terenach z przeważającą ludnością nierosyjską przedstawicieli mniejszości narodowych. Wiązały się z tym:

– przestawienie pracy wszystkich instytucji państwowych w regionach nierosyjskich na języki narodowe;

– wszechstronny rozwój oświaty i kultury narodowej;

– wprowadzenie autonomii terytorialnej wszędzie tam, gdzie przeważają mniejszości.

Przywódcy bolszewików widzieli w polityce „korienizacji" przede wszystkim skuteczny środek indoktrynacji mniejszości narodowych, zdolny zrobić z nich posłusznych zwolenników nowego ustroju. Wielowiekowy ucisk ze strony caratu miał im ułatwić to zadanie.

Przypomnijmy, że na tzw. odcinku polskim pierwszym i najważniejszym krokiem w realizacji tej polityki było utworzenie w roku 1925 polskiego rejonu autonomicznego imienia Juliana Marchlewskiego na Żytomierszczyźnie. W marcu 1932 r. na tych samych zasadach proklamowano w granicach Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej drugi autonomiczny rejon Polski, początkowo nazwany Kojdanowskim Polskim Rejonem, ale już po miesiącu przemianowany na Dzierżyńszczyznę Sowiecką. Był to bezprecedensowy eksperyment z ludnością polską, zamieszkałą w rejonach graniczących z II Rzecząpospolitą: utworzenie w rejonach zwartego zamieszkiwania Polaków na Białorusi i Ukrainie polskiej autonomii narodowościowej opartej na podstawowych zasadach społeczeństwa sowieckiego.

Bronisław Skarbek, jeden z czołowych twórców koncepcji polskiej autonomii sowieckiej, zamieścił na łamach „Trybuny Radzieckiej" artykuł pod bardzo wymownym tytułem: „Nasza sowietyzacja Polski", w którym otwarcie przyznawał, że ta działalność ma znaczenie przede wszystkim zewnętrznie polityczne i skierowana jest przeciwko Polsce. Pisał on: „Faszystów polskich najbardziej doprowadza do wściekłości fakt oddziaływania postępów budownictwa socjalistycznego wśród polskich mas pracujących ZSRS na robotników i włościan w samej Polsce, usuwa bowiem im spod nóg grunt dla agitacji faszystowskiej".

Jedną z głównych przyczyn założenia Marchlewszczyzny i Dzierżyńszczyzny było narastanie w ZSRS wrogich nastrojów wobec II Rzeczypospolitej i szerzenie propagandy o zagrożeniu ze strony Polski. Mit ten uzasadniał nasilenie represji wewnątrz kraju. Polski straszak był konieczny w procesie powstania i umacniania ustroju totalitarnego, w którym terror wkrótce miał się stać podstawową formą rządzenia. Służył panującej wówczas w ZSRS atmosferze psychozy militarystycznej wobec II Rzeczypospolitej. Łudzono się również nadziejami, że w Polsce powstała już sytuacja rewolucyjna. Spodziewano się, że Polska stanie się pierwszym ogniwem przyszłej socjalistycznej Europy.

„Młodzi" i „starzy"

Pojęcie „polskiej kultury proletariackiej" narodziło się w środowisku komunizujących literatów polskich, przeważnie emigrantów z II RP. Tworzyli oni w warunkach bardzo specyficznych. Międzywojenny Mińsk, stolica Sowieckiej Białorusi, miał odegrać w historii tego unikatowego i trochę absurdalnego zjawiska rolę szczególną. Warto zaznaczyć, że od 1924 r. funkcjonował tu konsulat polski. Miejscowe władze w Mińsku, zwłaszcza w okresie tzw. białorutenizacji, traktowały konsulat jako namiastkę poselstwa. Białoruska SRS miała własne ministerstwo (komisariat) spraw zagranicznych.

Liderzy polskiej społeczności komunistycznej w ZSRS traktowali sprawy rozwoju literatury polskojęzycznej jako ważne narzędzie walki klasowej, instrument podważenia i w jak najkrótszym czasie przebudowy tradycyjnie polskiej patriotycznej świadomości ludności kresowej na tzw. świadomość klasową. Za jedyny, nieomylny i wszechobowiązujący kanon twórczości literackiej uznawano zasady realizmu socjalistycznego. W trafny sposób nastawienie propagandy komunistycznej odzwierciedla wiersz Czesława Groniaka, polskiego poety zamieszkałego w Związku Sowieckim, zamieszczony na pierwszej stronie „Orki", organu Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej Białorusi:

eprasa.pl 016ae519f9

Będzie za dziesięć lat, dwadzieścia
Świat cały jednym Związkiem Rad.
Ozdobią wieńce chwały, części
Nasz pierwszy socjalistyczny kraj.

Powstająca w wyniku przestrzegania tych zasad literatura dawała obraz świata całkowicie upolityczniony. Ostra walka wewnątrzpartyjna, powszechne szukanie wrogów i różnego rodzaju „odchyleńców ideologicznych" doprowadziły do tego, że w literaturze zapanowała jedna tendencja – dążenie do prześcigania się w gloryfikowaniu wielkich zdobyczy stalinowskiego ustroju. W rezolucji I Zjazdu Pisarzy Polskich w ZSRS na ten temat czytamy:

„Podstawowym zadaniem każdego pisarza jest wyrobienie sobie światopoglądu marksistowsko-leninowskiego i całkowite opanowanie metody dialektyczno-materialistycznej, gdyż polska literatura proletariacka musi być na wskroś bolszewicka, żyjąca życiem partii i jej walką na dwa fronty. Tylko wtedy zdoła ona należycie uwypuklić te liczne procesy, które zachodzą w zdążającej do socjalizmu wsi polskiej i socjalistycznej fabryce. Ale nie fotograficzne odbicie tych procesów jest zadaniem literatury proletariackiej. Odzwierciedlając ruch polskich mas robotniczych i chłopskich ku socjalizmowi, polska literatura proletariacka musi walczyć o bojowe tempo uprzemysłowienia kraju, o szturmowość w pracy i współzawodnictwo socjalistyczne polskich mas robotniczych, o organizacyjno-gospodarcze umocnienie kolektywów, o rewolucję kulturalną i nowy układ życia. Demaskując wroga klasowego, kontrrewolucje kułacką i księży, musi zwalczać wpływy ideologiczne Polski faszystowskiej oraz przeżytki szlachetczyzny i mieszczaństwa w ideologii i życiu codziennym".

Ściśle określone przez partie ramy „swobody" twórczej zmieniły zasadniczo samo pojęcie twórczości literackiej. Przekształciła się ona w propagandę decyzji partyjnych i apologię obranego przez nią kierunku utrwalenia stalinowskiego systemu władzy. W polskim środowisku inteligencji twórczej występowały dwie grupy działaczy, określane przez polską prasę komunistyczną jako „młodzi" i „starzy". „Młodzi" forsowali idee ustawowego kształcenia poetów i pisarzy, rekrutujących się z uzdolnionej polskiej młodzieży kresowej. W rezolucji mińskiego zjazdu pisarzy polskich czytamy na ten temat: „Zasadniczym źródłem kompletowania kadr pisarzy proletariackich powinny być szeregi szturmowców z fabryk i kolektywów". Druga, o wiele mniej liczna grupa pisarzy składała się przeważnie z działaczy KPP, przebywających w ZSRS na emigracji. Swój pobyt w „kraju zwycięskiego proletariatu" traktowali jako tymczasowy i bez względu na swoje przekonania komunistyczne za swoją ojczyznę historyczną uznawali jednak Polskę. Najbardziej „odważni" spośród „starych" (Tomasz Dąbal, Bruno Jasieński, Witold Wandurski) próbowali nawet uzmysławiać „młodym" bezsens budowania w ZSRS odrębnej „polskiej kultury proletariackiej". W latach 30. jednak, w miarę nasilenia w ZSRS terroru stalinowskiego wielu z nich powoli rezygnowało z otwartego manifestowania swych poglądów „reakcyjnych". Ta zażarta walka między „starymi" i „młodymi", zakończyła się całkowitą porażką tych pierwszych.

Kuropaty, miejsce masowych egzekucji dokonywanych przez NKWD FOT. ANDREJ KUŹNIEČYK/WIKIPEDIA

Dla „starych", w większości wychowanych na wzorcach wielkiej polskiej literatury romantycznej, tworzenie według zasad „kultury proletariackiej" oznaczało obniżenie poziomu artystycznego swych utworów, prymitywizację własnego pisarstwa. Zresztą podobnie się działo w literaturze rosyjskiej, ale z pewnymi odchyleniami. Wśród pisarzy rosyjskich tolerowano twórczość nie do końca „proletariacką". Na odcinku polskim podobnej tolerancji nie obserwujemy. Dlatego prawie każdy ze „starych" po licznych niepowodzeniach w środowisku polskim i ostrych starciach na tle ideologicznym rezygnował z miana pisarza wyłącznie polskiego i dostosowywał się do nowych warunków politycznych. Najbardziej wymowny jest los Brunona Jasieńskiego, którego stopniowe odchodzenie od polskości (początkowo przyjęto to wręcz entuzjastycznie) zakończyło się ostatecznym przejściem na twórczość w języku rosyjskim.

„Orka" na ugorze

W mińskim środowisku polskim, związanym z redakcją gazety „Orka", ukształtował się mocny ośrodek walki o „polską kulturę proletariacką". Rygorystyczne partyjne kierowanie życiem polskiej mniejszości narodowej nie sprzyjało rozwojowi talentów wielu młodych zdolnych literatów. Było na ich drodze twórczej przeszkodą nie do pokonania, stanowiło czasem tragedię ich twórczości, nie zawsze zresztą w pełni przez nich uświadamianą.

Podział na „starych" i „młodych" był w dużej mierze umowny, ponieważ główną rolę w środowisku „młodych" odgrywali ludzie, których według kategorii wiekowych, pochodzeniowych i autobiograficznych z łatwością można by było zaliczyć do „starych". Dotyczy to przede wszystkim jednego z czołowych rzeczników idei odrębnej „polskiej kultury proletariackiej" Jana Nejmana, który w latach 20. pełnił funkcję pierwszego sekretarza obwodowej organizacji partyjnej w Homlu.

Takie podejście liderów polskiej autonomii w ZSRS zmusiło większość „starych" do rezygnacji z działalności literackiej albo do zaangażowania się w trudny

eprasa.pl 016ae519f9

Tomasz Dąbal (w kapeluszu)
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

i bolesny proces „kajania" się. Przykładem podobnego „wychowania się na nowo" miała być historia Heleny Bobińskiej, którą zmuszono do napisania książki „Ludzie Czerwonego Frontu. Powieść z życia kolektywników polskich na Białorusi", wydaną w 1932 r. „Trybuna Radziecka" w następujący sposób przedstawiała proces wychowania się na nowo Heleny Bobińskiej: „Bobińska jest ciekawym przekładem pisarza, którego literacka kultura burżuazyjna uległa przekształceniu pod wpływem środowiska radzieckiego, który opisując rzeczywistość radziecką, kształtuje się jako pisarz proletariacki i w którym na każdym kroku spotyka się pomieszanie starego z nowym, pokonywane przez nowe. Ideologicznie jest to pisarz proletariacki, przełamujący w sobie przeżytki form burżuazyjnych".

Do początku lat 30. rolę centrum polskiego komunistycznego życia literackiego odgrywała Moskwa. Tu żyli i pracowali literaci komunistyczni ze środowiska „starych": Bruno Jasieński, Stanisław Stande, Helena Bobińska, Tomasz Dąbal, Andrzej Małecki. Funkcje sekretarza polskiej sekcji pisarzy proletariackich pełnił w tym czasie Tomasz Dąbal. Porażka „starych" w sporze ideologicznym z „młodymi" spowodowała przesunięcie centrum tego życia literackiego na dalsze kresy, gdzie w wyniku przeprowadzenia sowieckiego eksperymentu tworzenia polskiej autonomii socjalistycznej ukształtowała się początkowo nieliczna, ale bardzo aktywna w sensie politycznym, krzykliwa grupa młodych literatów polskojęzycznych. Byli to ludzie pełni neofickiego zapału, zaskakujący często swych „starych" nauczycieli skrajnym lewactwem i dogmatyzmem. „Młodzi" kresowiacy (polscy mińszczanie) wyraźnie ustępowali moskiewskim Polakom pod względem talentu, doświadczenia literackiego, edukacji i wiedzy, kultury słowa, ale wyprzedzali ich wyraźnie w ideologicznej poprawności i stosowania się do wszystkich wskazówek partyjnych.

W Mińsku polską sekcję pisarzy proletariackich założono w 1925 r. przy miejscowym technikum pedagogicznym im. Wesołowskiego. W początkowym okresie skupiała ona prawie wyłącznie studentów i nauczycieli PTP i nie odgrywała dostrzegalnej roli w życiu mińskich Polaków. Na początku lat 30. wraz ze zmianą polityki partii na odcinku polskim znaczenie jej wyraźnie wzrosło. Wśród najbardziej znanych pisarzy tej grupy wymieńmy Władysława Kowalskiego, Helenę Romanowską, Michała Żarskiego, Jadwigę Muszyńską-Heltman, Jana Kraczkowskiego i Antoninę Horawską. W 1930 r. grupa liczyła 11 osób. Miarą zasług mińskiego ośrodka literackiego było zorganizowanie w Mińsku 17 sierpnia 1931 r. Pierwszego (i jedynego) Zjazdu Polskich Pisarzy Proletariackich. Do Mińska zjechało wtedy 45 delegatów, w tym 19 robotników i 11 chłopów.

Rozkaz nr 00485

Twórczość polskich pisarzy proletariackich okresu międzywojennego dziś jest praktycznie nieznana zarówno w Polsce, jak i krajach byłego ZSRS. Wynika to ze stosunkowo niskiego poziomu ich twórczości, jej bardzo jednostronnego i prymitywnego ukierunkowania politycznego. Tragiczny los Polaków w ZSRS w okresie terroru stalinowskiego też nie jest bez znaczenia. Polski ruch literacki w międzywojennym Związku Sowieckim nie stał się zjawiskiem dostrzegalnym w ogólnym dorobku kultury polskiej XX stulecia. Trudno znaleźć w jego spuściźnie chociażby jeden utwór zasługujący na włączenie do antologii tego czy innego rodzaju literatury polskiej. Przeważającą większość utworów polskich pisarzy proletariackich cechował skrajny dogmatyzm artystyczny i podporządkowanie się dyrektywom partyjnym. Uznanie jej jednak w całości za zjawisko prymitywne, bezwartościowe pod względem intelektualnym i artystycznym byłoby krzywdzącym uproszczeniem.

Duch polskości kresowej zawsze był żywym podłożem, pobudzającym rozwój wielkich talentów wybitnych polskich patriotów i wieszczów narodu. Zmiany na kresach po roku 1918 to podłoże w znacznym stopniu zniszczyły, ale niezupełnie. W warunkach totalitaryzmu stalinowskiego wszystkie talenty kresowe miały bardzo ograniczone możliwości rozwoju, ale wbrew temu jedna się rozwijały. Przykładem podobnego kontrowersyjnego talentu był Włodzimierz Kowalski, rozstrzelany w 1937 r. w wieku zaledwie 25 lat. Był autorem kilku tomików wierszy, sporo pisał dla polskich teatrów w ZSRS (sztuki „Szturm Czarnowodów", „Rodzina Worońców"). Jego tłumaczenia Puszkina, Majakowskiego, Kupały i Kolasa na język polski nie straciły swej wartości do dziś.

Innym dostrzegalnym przedstawicielem polskiej literatury w międzywojennej Białorusi była Helena Romanowska, matka przyszłego prezydenta (przewodniczącego Rady Najwyższej) niepodległej Białorusi Stanisława Szuszkiewicza. Była jednym z liderów „młodych", aktywnie walcząca o zwycięstwo koncepcji „polskiej kultury proletariackiej". W roku 1934 jako przedstawicielka polskiej literatury sowieckiej uczestniczyła w I zjeździe pisarzy sowieckich w Moskwie. Zaproszono ją do odwiedzin wdowy po Leninie – Nadieżdy Krupskiej – której wręczyła własne książki. Była niewątpliwie oddana idei komunistycznej. Jej prace: „Dzieci radzieckich pól", „Październik", „W zimowy ranek" niosą piętno tych czasów.

Proces tworzenia „polskiej kultury proletariackiej" był istotnym elementem tworzenia w ZSRS polskiej autonomii komunistycznej. Było to zjawisko szczególne, odzwierciedlające realia polityczne ówczesnego ZSRS. Abstrahując się od oceny poziomu artystycznego tej swoistej literatury, świadczy ona wymownie o epoce narodzin i utrwalenia się systemu stalinowskiego totalitaryzmu. To świadectwo smutnych polskich doświadczeń ze stalinizmem.

Roku 1937 prawie nikt z polskich literatów w Mińsku nie przeżył. Padli ofiarami tzw. operacji polskiej, przeprowadzonej według rozkazu nr 00485 komisarza ludowego spraw wewnętrznych Nikołaja Jeżowa. Lata 1937–1938 przyniosły polskiej ludności kresowej ogromne straty wskutek masowych aresztowań, wyroków śmierci, znacznej śmiertelności podczas przymusowej deportacji. Liczba polskiej ludności skurczyła się na Białorusi prawie dwukrotnie. Los Polaków w owym okresie stał się surowym oskarżeniem jednej z najbardziej barbarzyńskich zbrodni stalinizmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 016ae519f9

Druga wojna / Borys Smysłowski, wróg bolszewii

Biały Rosjanin w brunatnej służbie

Borys Smysłowski w czasie pierwszej wojny światowej
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Arkadiusz Karbowiak

Smysłowski walczył z bolszewizmem u boku III Rzeszy. W 1945 r. uratował swoich ludzi w Księstwie Liechtenstein

Generał Borys Smysłowski to niewątpliwie jedna z ciekawszych postaci rosyjskich środowisk antybolszewickich, które zdecydowały się podczas drugiej wojny światowej stanąć do walki u boku III Rzeszy przeciwko ZSRS. Urodził się 3 grudnia 1897 r. w miejscowości Terijoki, znajdującej się w należącym wówczas do imperium Romanowów, Wielkim Księstwie Finlandii. Jako młody człowiek rozpoczął naukę w I Korpusie Kadetów w Moskwie, a po jej ukończeniu wstąpił do Artyleryjskiej Szkoły Wojennej w Petersburgu. Podczas pierwszej wojny światowej był wielokrotnie odznaczany, m.in. Orderem św. Anny IV klasy i Orderem św. Włodzimierza IV kasy.

Zamach bolszewicki i wybuch wojny domowej w Rosji zastały go w Moskwie, gdzie w starciach z bolszewikami został ranny. Po wyleczeniu udał się na południe Rosji i wstąpił 24 października 1918 r. do białej Armii Ochotniczej, a konkretnie do 3. baterii samodzielnego dywizjonu artylerii lekkiej, podporządkowanego 5. Dywizji Piechoty. Walcząc w Siłach Zbrojnych Południa Rosji (od 8 stycznia 1919 r. taką nazwę przyjęła Armia Ochotnicza), został 4 kwietnia 1919 r. awansowany przez gen. Antona Denikina na stopień stabskapitana (stopień pośredni pomiędzy porucznikiem a kapitanem). Otrzymał jednocześnie nominację na szefa sztabu 4. artyleryjskiego dywizjonu dowodzonego przez płk. Gieorgija Saksa.

Z Polski do Niemiec

Na początku 1920 r. wraz ze zgrupowaniem gen. Nikołaja Bredowa dotarł do Polski, gdzie jednostki rosyjskie zostały internowane. Na terytorium Rzeczypospolitej Smysłowski wstąpił do tworzącej się rosyjskiej 3. Armii dowodzonej kolejno przez generałów Piotra Głazenapa, Lwa Baboszkę i Borisa Piermikina. Została ona podporządkowana początkowo Rosyjskiemu Komitetowi Politycznemu Borysa Sawinkowa, a potem dowódcy Sił Zbrojnych Południa Rosji, gen. Piotrowi Wranglowi. Smysłowskiego mianowano oficerem wywiadowczym.

eprasa.pl 016ae519f9

Oddziały 3. Armii nie wzięły udziału w wojnie polsko-bolszewickiej, ponieważ akurat w momencie, kiedy dyslokowano je na front, został zawarty rozejm. Podjęta próba przebicia się do wojsk gen. Wrangla zakończyła się niepowodzeniem i Rosjanie wycofali się z powrotem na terytorium Polski.

Po demobilizacji Borys Smysłowski postanowił osiedlić się na terytorium Rzeczypospolitej. Wziął ślub z Aleksandrą Iwanow. Z tego związku na świat przyszła córka Maria. Było to jego pierwsze małżeństwo. Drugą żoną późniejszego generała została Niemka z pochodzenia Eugenia Mück, a trzecią Polka – Irena Kochanowicz. Na początku lat 20. Smysłowski podjął pracę w branży drzewnej. Pracował w tartakach w Wierzbicy, Biskupcu i w Nowym Mieście. W tym ostatnim miejscu został dyrektorem tartaku firmy Franpol, a potem właścicielem tartaku w Jabłonnej. Rozpoczął też studia w Wyższej Szkole Technicznej Wolnego Miasta Gdańska, na kierunku mechanicznej obróbki drewna.

Prawdopodobnie podczas pobytu w Gdańsku nawiązał kontakt z wywiadem niemieckim. W latach 1928–1932 mieszkał w Niemczech, gdzie ukończył kursy organizowane przez tajną Akademię Wojskową Sztabu Generalnego Reichswehry (Truppenamt-Kriegsakademie). Wrócił do Polski w 1932 r. i otrzymał polskie obywatelstwo. Wstąpił też do loży masońskiej Starożytnego i Pierwotnego Rytu Egipskiego Wschodniego Memphis-Misraim, którą kierował Jan Czarnomski. Smysłowski przewodniczył kapitule „Pelikan pod Jutrzenką Wschodzącą" w Warszawie i pełnił funkcję Wielkiego Egipskiego Konserwatora Obrządków Wielkiej Mistycznej Świątyni.

Po wybuchu drugiej wojny światowej i zajęciu części Polski przez Wehrmacht Smysłowski znalazł zatrudnienie w placówce Abwehry Abwehrnebenstelle-Warschau (ANST-Warschau). W maju 1941 r. Smysłowski wraz z szefem warszawskiego oddziału ROWS – Rosyjskiego Związku Ogólnowojskowego (Русский общевоинский союз), gen. Walerianem Turasowem, wyjechał do Berlina, gdzie spotkał się z gen. Aleksjejem von Lampem – przewodniczącym Zjednoczenia Rosyjskich Związków Wojskowych. Rozmowa skłoniła von Lampego do wystosowania 21 maja 1941 r. memorandum skierowanego do szefa OKH, feldmarszałka Waltera von Brauchitscha, w którym zwrócił się z propozycją oddania do dyspozycji Niemców, w wypadku rozpoczęcia wojny z ZSRS, wszystkich zasobów kadrowych rosyjskich wojskowych struktur emigracyjnych. OKH sugestię tę odrzuciło.

Krzyż Orderu Świętego Włodzimierza

FOT. WIKIPEDIA/ROBERT PRUMMEL

30 czerwca 1941 r. odbyła się narada przedstawicieli AA (niemiecki MSZ) sztabu generalnego OKH, Głównego Urzędu Dowodzenia SS. Jej efektem był sformułowany zakaz wykorzystywania rosyjskich i czeskich ochotników do walki z Sowietami. Te ustalenia zignorowały jednak niższe szczeble struktur wojskowych i policyjnych, które uznały za nieodzowne korzystanie z pomocy białych Rosjan. Szef wydziału Fremde Heere Ost (Obce Armie Wschód), płk Eberhard Kinzel, sam wystąpił do rosyjskich wojskowych z ofertą zatrudnienia ich w charakterze tłumaczy. Ponadto werbować Rosjan do działań wywiadowczych zaczęły zarówno Abwehra, jak i SD.

Borys Smysłowski w Liechtensteinie, 1945 r.

FOT. HISTORY.WIKIREADING.RU

Na tej fali naboru do oddziału wywiadowczego 1C sztabu Grupy Armii „Nord", mającego od sierpnia siedzibę w Pskowie, trafił Borys Smysłowski. Przydzielono mu tam m.in. funkcję tłumacza i przyznano stopień Sonderführera (K), który odpowiadał randze kapitana. Smysłowski posługiwał się wtedy konspiracyjnym nazwiskiem von Regenau. Kapitan, pomimo rozpoczęcia współpracy z Niemcami w krucjacie skierowanej przeciw ZSRS, nie miał złudzeń co do intencji niemieckich i ich niechęci do odbudowania antybolszewickiej Rosji. W gronie najbliższych współpracowników mówił: „Rosjanie nie mogą odrzucić jarzma komunizmu bez pomocy z zewnątrz. Każdy rosyjski emigrant wojskowy musi wziąć udział w akcji zbrojnej Niemiec przeciwko ZSRS… Armia niemiecka na bagnetach nie przynosi Rosji rządu narodowego, ale przynosi zniszczenie władzy sowieckiej, która od 24 lat zabija ciało i duszę narodu rosyjskiego".

Placówka, w której pracował von Regenau, zatrudniała coraz więcej Rosjan, co skłoniło go do wystąpienia do dowództwa GA „Nord" z sugestią utworzenia stricte rosyjskiej, złożonej z emigrantów formacji wywiadowczej. W następstwie przychylnego ustosunkowania się do tej propozycji 24 września 1941 r. powstał rosyjski Lehrbataillon für Feind-Abwehr und Nachrichtendienst (Batalion Szkolny Kontrwywiadu i Służby Informacyjnej).

Batalion szpiegów

Początkowo von Regenau bazował na personelu złożonym tylko z emigrantów. Jednak kolejne wpadki przerzucanych agentów uświadomiły mu konieczność zaangażowania w działalność agenturalną sowieckich jeńców, znających realia sowieckie o wiele lepiej niż emigranci. Łącznie powstało 12 rosyjskich batalionów, w których służyło od 4 tys. do 5 tys. ludzi. Składały się one w 85 proc. z czerwonoarmistów, a w 15 proc. z emigrantów.

eprasa.pl 016ae519f9

Borys Smysłowski (trzeci z prawej) z żoną, Liechtenstein, 3 maja 1945 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Głównym dostarczycielem kadr była szkoła Abwehry w Sulejówku, gdzie mieścił się powstały w lipcu 1941 r. Abwehrbefehlsstab „Walli", kierowany przez ppłk. Heinza Schmalschlägera. Von Regenau współdziałał z oddziałem Walli I (sztab Walli podzielony został na trzy oddziały Walli I, Walli II i Walli III) kierowanym przez mjr. Hermanna Bauma. Po pewnym czasie źródłem dodatkowego zaciągu stały się szkoły Abwehry, powstałe w estońskiej miejscowości Valga i łotewskiej Strenči. Ochotników wyszukiwano w obozach jenieckich. W selekcji uczestniczył bezpośrednio von Regenau.

Z jego inicjatywy szeregi potencjalnej agentury szybko rosły, co było wynikiem wzrostu zapotrzebowania mającego związek z systematycznym rozwojem ruchu partyzanckiego. W marcu 1942 r. przy Walli I powołano do życia Sonderstab R (Sztab Specjalny Rosja), na którego czele stanął awansowany do stopnia majora Borys Smysłowski. Sztab zakamuflowano pod nazwą Wschodnia Kompania Budowlana Hilhen. Jego siedziba mieściła się w Warszawie przy ul. Chmielnej 7, a potem pod adresem Nowy Świat 5. Struktura sztabu składała się z czterech oddziałów: wywiadowczego, propagandowego, kontrwywiadowczego i administracyjno-gospodarczego. Wywiad ukierunkowany został na zbieranie informacji dotyczących Armii Czerwonej, a zasadniczo działalności ugrupowań partyzanckich, miejsc ich stacjonowania, baz zaopatrzeniowych, kadry dowódczej, osób z nimi współpracujących.

Grób Borysa Smysłowskiego i jego żony w Vaduz FOT.HISTORY.WIKIREADING.RU

Kierował nim – zamordowany w maju 1945 r. przez czechosłowackich komunistycznych partyzantów – występujący pod pseudonimem Rajewski gen. Armii Czerwonej Michaił Szapowałow, późniejszy dowódca 3. Dywizji KONR (Komitet Wyzwolenia Narodów Rosji), czyli 700. Dywizji Piechoty Wehrmachtu. Działania kontrwywiadu nadzorował porucznik Władimir Bondorowski, sekretarz polskiego oddziału Rosyjskiej Partii Faszystowskiej. Jego nazwisko związane było z prawdopodobnym udziałem w przeprowadzonej przez AL wspólnie z gestapo 17 lutego 1944 r. na ulicy Poznańskiej 37/20, akcji zdobycia antykomunistycznego archiwum Delegatury. To właśnie Bondorowski skontaktował głównego inspiratora tej operacji, infiltrującego szeregi „Miecza i Pługa" agenta sowieckiego wywiadu Bogusława Hrynkiewicza „Aleksandra" z SS-Hauptsturmführerem Wolfgangiem Birknerem, szefem referatu IV A4 KdS Warschau (oczywiście zarówno Birkner, jak i Bondorowski nie wiedzieli o agenturalnej roli Hrynkiewicza).

Trzecim, propagandowym wydziałem Sonderstab R komenderował Alexander Wügler, szef struktur solidarystów z NTS (Narodowy Związek Pracujących) w Polsce. Wügler wraz ze swoim bliskim współpracownikiem płk. Władimirem Brandem prowadzili już w okresie międzywojennym intensywną działalność antysowiecką, współpracując m.in. z polskim wywiadem wojskowym. Szef polskiego oddziału NTS postanowił wykorzystać Sonderstab R do prowadzenia własnej działalności organizacyjnej na terenach wschodnich. W strukturach Sonderstab R działało ok. 200 członków NTS. Wügler – formalnie obywatel Szwajcarii – utrzymywał związki z wywiadem brytyjskim oraz polskim podziemiem. Smysłowski, podejrzewając go nielojalność, dość szybko dostrzegł, że prowadzona przez niego praca raczej przekłada się na sukcesy bardziej na niwie partyjno-organizacyjnej niż antybolszewickiej, i zdjął go ze stanowiska, informując prawdopodobnie o jego działalności Niemców.

Wügler zrewanżował się w odwecie donosem o masońskich inklinacjach Smysłowskiego i powiązaniach z polskim podziemiem (Smysłowski miał kontakty z AK, NSZ, Mieczem i Pługiem, wywiadem brytyjskim oraz bulbowską UNRA). Pierwsze kontakty z polską konspiracją Smysłowski nawiązał jeszcze przed powstaniem Sonderstab R, jesienią 1941 r. Von Regenau zaproponował wówczas organizacji „Muszkieterowie" pomoc w przerzuceniu do gen. Andersa kilku oficerów Wojska Polskiego. Cała operacja doszła do skutku. Kurierzy, choć zatrzymani przez NKWD, dotarli ostatecznie do Buzułuku. 1 grudnia 1943 r. funkcjonariusze KdS Warschau aresztowali Smysłowskiego, oskarżając go o porozumiewanie się z organizacjami wrogimi III Rzeszy. Został osadzony w areszcie domowym. W tym czasie OKH wydało decyzję o rozwiązaniu Sonderstab R. Już po aresztowaniu 23 grudnia 1943 r. w Warszawie został zamordowany przez nieznanych sprawców Alexander Wügler.

Zamach Kedywu

Warto zwrócić uwagę, że w strukturach Sonderstab R (potem, od 1943 r., Sonderdivision Russland) pracowali ludzie o ciekawych rodowodach i powiązaniach. Do takich należał bez wątpienia pracujący na odcinku kontrwywiadowczym, występujący pod pseudonimami Wasi-

eprasa.pl 016ae519f9

lenko, Safonow Borys Kowerda, zabójca zastrzelonego na warszawskim dworcu kolejowym 7 czerwca 1927 r. sowieckiego posła Piotra Wojkowa (Kowerda skazany za ten czyn na 15 lat więzienia, opuścił je w 1937 r.). Inną interesującą i znaną postacią był literat, a przede wszystkim kompozytor i mąż aktorki filmowej i teatralno-rewiowej Iny Benity, Gieorgij Tesławski, były żołnierz armii gen. Judenicza, który po wojnie przyjął, osiedliwszy się w Polsce, nazwisko Jerzy Tesławski.

Wypada wspomnieć, że w składzie kadry kierowniczej Sonderstab R, choć nie tylko, poza Rosjanami znajdowali się również Ukraińcy, mający za sobą służbę kontraktową w Wojsku Polsku. Szefem rezydentury terenowej B (Sonderstab R podzielony był na pięć, a potem cztery rezydentury nazwane literami A, B, C, D) obejmującej placówki m.in. w Kijowie, Dniepropietrowsku, Czerkasach, Połtawie, Winnicy, Humaniu, Nikołajewie, był podpułkownik armii Ukraińskiej Republiki Ludowej Mykoła Rybaczuk, uczestnik tzw. II Pochodu Zimowego, oficer kontraktowy WP, współpracownik Abwehrkommando 205. Największe sukcesy odnosił szef czernihowskiej placówki (potem kijowskiej) Sztabu Specjalnego R, Ukrainiec, pułkownik Petro Diaczenko, dowódca pułku Czarnych Zaporożców w armii URL, oficer kontraktowy WP, współpracownik Abwehry, przez krótki czas szef sztabu Poleskiej Siczy Borowca „Bulby", a potem dowódca Wołyńskiego Legionu Samoobrony (31. Schutzmannschaftbataillon der Sipo) i 2. Dywizji Ukraińskiej Armii Narodowej. Jego agentura rozpracowywała z dobrym skutkiem, pododdziały partyzanckich zgrupowań Kowpaka i Fedorowa.

Wiosną 1944 r. Niemcy oczyścili z zarzutów i uwolnili Smysłowskiego, który powrócił do kooperacji z wywiadem niemieckim, tworząc w Sulejówku Sztab Oddziałów Specjalnego Przeznaczenia (Stab Einheit z.b.V.). W owym czasie Armia Krajowa podjęła próbę dokonania zamachu na życie pułkownika. Sam fakt podjęcia owej decyzji jest o tyle intrygujący, że charakterystyka sporządzona przez kontrwywiad AK nie dawała podstaw uzasadniających jego likwidację: „Smysłowski Borys, p[od]pułk.[ownik], jakoby oficer gwardii carskiej, szef sztabu POA, urzędujący N.[owy] Świat 1. Z pochodzenia Finlandczyk, posiadający znaczne wpływy w Finlandii, Łotwie i Estonii. Nastawienie wybitnie antykomunistyczne, ale nie proniemieckie. Mający duże sympatie dla Anglo-Amerykanów, orientujący się nieźle w stosunkach polskiej konspiracji, czytujący pilnie prasę konspiracyjną. Na ogół do spraw polskich ustosunkowany życzliwie".

Rozkaz przeprowadzenia zamachu otrzymał oddział dyspozycyjny Kedywu. W dniach 16 i 17 maja 1944 r., na ulicy Belwederskiej w pobliżu numeru domu 32, gdzie mieszkał Smysłowski, czatowała na niego 15-osobowa grupa egzekutorów, pod dowództwem ppor. Zdzisława Zajdlera „Żbika". Tragiczne konsekwencje nieudanej akcji przeciw Smysłowskiemu przedstawia meldunek Kedywu z 23 maja 1944 r., w którym czytamy: „Melduje: Dn. 16 V 44 w godz. rannych ppor. Żbik przystąpił do akcji przeciwko B[orysowi] v[on] S[mysłowskiemu]. Ponieważ nie dała ona rezultatu, ponowioną ją dn. 17 V 44 o godz. 9. Około godziny 10 ppor. Żbik zorientował się, że jest obserwowany, wobec czego nakazał odwrót, który według ustalonego planu odbywał się trzema grupami. Dwie z nich dotarły do podstaw wyjściowych bez przeszkód, trzecia natknęła się na dwa samochody /1 osobowy i 1 buda/ żandarmów. Celem osłony kolegów ppor. Żbik pozostał wraz z thompsonistą i nawiązał walkę z przeciwnikiem, w której polegli: ppor. Żbik i szereg. Kaczor".

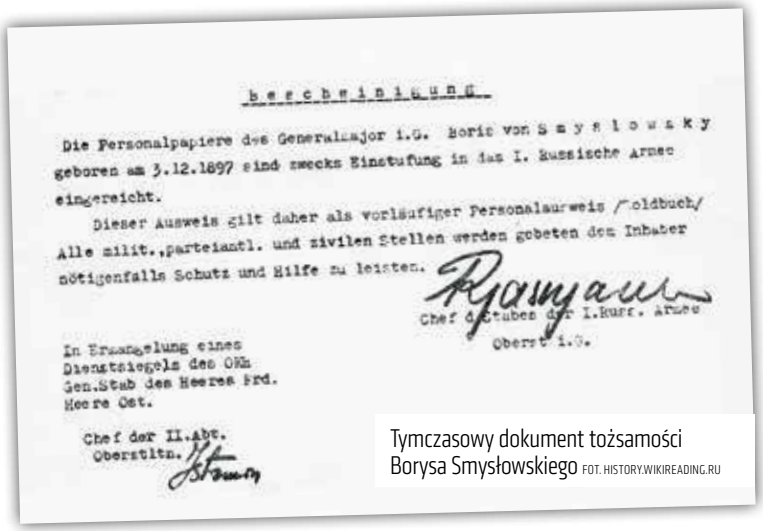
b e s c h e i n i g u n g

Die Personalpapiere des Generalmajor i.G. Boris von S m y s l o w s k y geboren am 3.12.1897 sind zwecks Einstufung in das I. Russische Armee eingereicht.

Dieser Ausweis gilt daher als vorläufiger Personalausweis /Soldbuch/ Alle milit.,parteiamtl. und zivilen Stellen werden gebeten den Inhaber nötigenfalls Schutz und Hilfe zu leisten.

Chef d. Stabes der I.Russ. Armee
Oberst i.G.

In Ermangelung eines Dienstsiegels des OKH Gen.Stab des Heeres Frd. Heere Ost.

Chef der II.Abt.
Oberstltn.

Tymczasowy dokument tożsamości Borysa Smysłowskiego FOT. HISTORY.WIKIREADING.RU

Epilog w Liechtensteinie

Po rozpoczęciu walk powstańczych w Warszawie 1 sierpnia 1944 r. Specjalny Sztab R został przeniesiony do miejscowości Weigelsdorf na Dolnym Śląsku, gdzie utworzono Rosyjską Połączoną Szkołę Wywiadowczą. Na początku stycznia 1945 r., w związku z sowiecką ofensywą, doszło do dyslokacji Rosjan do saksońskiego Bad Elster. Sztab Specjalny R nazwano początkowo 1. Wschodnią Grupą Frontowego Wywiadu Specjalnego Przeznaczenia (Einheit z.b.V. OKH-Generalstabes. Frontaufklärungstrupp1, Ost), a potem Zieloną Armią Specjalnego Przeznaczenia (Die Grüne Armee z.b.V.). Dopiero 4 kwietnia 1945 r. przyjęto ostatecznie nazwę 1. Rosyjska Armia Narodowa. Smyslowskiego awansowano do stopnia generała-majora, a on sam zaczął używać pseudonimu Artur Holmston. W nocy z 2 na 3 maja 1945 r. jego 494-osobowa armia (w tym 30 kobiet i dwoje dzieci) przekroczyła granicę z Księstwem Lichtensteinu.

Jego władca, książę Franciszek Józef II, zdecydował się udzielić rosyjskim wojskowym azylu politycznego, co w ówczesnej sytuacji politycznej, nacisków sowieckich, masowych deportacji, choćby żołnierzy KONR czy kozackiego XV Korpusu Kawalerii SS, dokonywanych przez aliantów, było aktem niezwykłej odwagi. Z drugiej strony pomimo tej deklaracji, rząd Lichtensteinu naciskał na gen. Smysłowskiego, by siły RAN opuściły terytorium księstwa. W sierpniu 1945 r. pojawiła się sowiecka misja repatriacyjna ppłk. Nowikowa. Ponad połowa żołnierzy, obywateli ZSRS, zdecydowała się powrócić do Sowietów. Niestety, o ich losie nic nie wiadomo. Najprawdopodobniej zostali rozstrzelani na terytorium Węgier. 1 października 1946 r. Smysłowski wyjechał z Lichtensteinu i przeniósł się do Argentyny, by po 20 latach powrócić do księstwa. Zmarł w Vaduz 5 września 1988 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 016ae519f9

II RP / List otwarty do ukraińskiego konserwatysty sprzed 90 lat

Zamek w Kamieńcu Podolskim

FOT. WIKIPEDIA/GRZEGORZ GOŁĘBIOWSKI

Piotr Kosmala

Do serc i rozsądku Ukraińców

„Wysyłam list ten na południowo-wschodnie rubieże Polski bez dokładniejszego adresu, bo go nie znam. Wiem tylko tyle, że gdzieś w tamtych stronach przebywasz i działasz, konserwatysto ukraiński...". Tak rozpoczynał się głośny list otwarty, który 90 lat temu opublikował na łamach miesięcznika „Nasza Przyszłość" znany polski polityk i publicysta Jan Bobrzyński

Przełom lat 20. i 30. to wzrost ukraińskich nastrojów nacjonalistycznych na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej, które już niedługo miały skutkować niepokojami społecznymi, podsycane przez zamachy terrorystyczne oraz stanowiące ich konsekwencje represje państwowe, nakręcające w Małopolsce Wschodniej spiralę wzajemnej nienawiści. Młoda tożsamość narodowa Ukraińców właśnie się tworzyła, najczęściej w kontrze do Sowietów i Polaków, którym nie udało się zrealizować federalistycznych koncepcji Józefa Piłsudskiego.

W samym tylko roku 1930 odnotowano prawie 200 aktów terroru ukraińskich nacjonalistów, w tym m.in. napad na ambulans pocztowy, osiem sabotaży kolejowych, 14 na liniach energetycznych i telefonicznych oraz 156 podpaleń (głównie

eprasa.pl 016ae519f9

zabudowań gospodarczych i stogów siana). Duża część tych ataków skierowana była przeciwko tym Ukraińcom, którzy opowiadali się za współpracą ukraińsko-polską. Pacyfikacja Małopolski Wschodniej przez polskie władze wpłynęła na radykalizację postaw. W sierpniu 1931 r. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów zamordowała Tadeusza Hołówkę, posła na Sejm RP i jednego z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego, a przy tym zwolennika porozumienia polsko-ukraińskiego, typowanego na przyszłego wojewodę lwowskiego.

Szkoła krakowska

W takim klimacie powstawał „List otwarty do ukraińskiego konserwatysty", opublikowany w listopadzie 1931 r. na łamach „Naszej Przyszłości". Jego autor, Jan Bobrzyński, był znanym politykiem i publicystą konserwatywnym, a przy tym synem Michała Bobrzyńskiego, w początkach XX stulecia namiestnika Galicji z ramienia cesarza Austro-Węgier. Jan Bobrzyński nie sprawował formalnie żadnej istotnej funkcji partyjnej, ale na łamach założonego przez niego miesięcznika „Nasza Przyszłość" spotykały się kluczowe nazwiska konserwatywnego establishmentu, jak Stanisław Łoś, Adam hr. Romer, Władysław Studnicki czy Marian Zdziechowski, czyniąc z pisma ważną trybunę „zachowawczej myśli państwowej" (zgodnie zresztą z podtytułem pisma).

Cóż znalazło się w owym „Liście…"? Bobrzyński, jak przystało na wychowanka „stańczykowskiej" szkoły krakowskiej, przypominał na wstępie losy polskiego konserwatyzmu i jego znaczenie w przezwyciężeniu traumy utraty przez Polskę własnej państwowości. Doświadczenia „stańczyków" miały stanowić dla ukraińskich kolegów wzór do naśladowania tak pod względem zapożyczonych idei, jak i taktyki politycznej. To ona pozwoliłaby na odrzucenie ułudy radykalizmu społecznego i politycznego, który tylko pozornie prowadzi do niepodległości, zamiast tego „tworząc przez swych ludzi stopniowo różne organizacje rolnicze, finansowe i gospodarcze, i pracując przede wszystkim nad rozwojem oświaty: nowoczesnej szkoły".

Bobrzyński zaproponował podobny sposób rozumowania i działania „ukraińskiemu konserwatyście". Sugerował, by o sprawach porozumienia polsko-ukraińskiego porozmawiali wreszcie ci, którzy gotowi są zaakceptować „szczerą prawdę historyczną" oraz „realne wskazania trzeźwego politycznego rozsądku". Obie strony łączy bowiem oddanie dla „dobra wspólnej naszej sprawy": „Powiem śmiało: wspólnej – pisał Bobrzyński – bo realnie myślącemu Polakowi tak samo musi zależeć na pomyślnym dla Was załatwieniu sprawy ukraińskiej, jak realnie myślącemu Ukraińcowi zależeć musi na utrzymaniu się i wzmocnieniu państwa polskiego".

Wysyłam list ten na południowo-wschodnie rubieże Polski bez dokładniejszego adresu, bo go nie znam. Wiem tylko tyle, że gdzieś w tamtych stronach przebywasz i działasz, konserwatysto ukraiński. Działasz skromnie, z nieliczną garstką zwolenników, wśród rozszalałych fluktów demagogji i nacjonalistycznego zaślepienia Twych współrodaków, którzy może nawet nie wiedzą dokładnie, czego chcą i nie zdają sobie sprawy, do czego w radykalizmie swym zdążają, zahipnotyzowani jednem tylko hasłem, bezkrytycznem, nierealnem: Lacha za San! Ale wiem, że żyjesz, że działasz wśród ciężkich zmagań o wykucie racjonalnej, zdrowej ukraińskiej idei narodowej — i dlatego Cię szukam i pewien jestem, że ten list otwarty dostanie się do rąk Twoich i że myśli, w nim zawarte, odbiją się w Twych przekonaniach żywem echem, nawiązując między nami więź równoległej współpracy na fundamentach realnej, konstruktywnej idei zachowawczej.

Chcę więc podzielić się z Tobą, konserwatysto ukraiński, mojemi myślami — produktem długoletnich doświadczeń dziejowych polskiego konserwatyzmu, który także ze szczupłych zaczątków rozwinął się wspaniale w ciągu szeregu lat dziesiątków, wśród nienawistnych wrzasków i ataków radykalnej gawiedzi, oddając polskiej idei narodowej niezmierne, choć na razie niepopularne usługi.

Przypomnij sobie, konserwatysto ukraiński, ówczesny stan umysłów mojego społeczeństwa. Kompletne przygnębienie, wyraźnie eksterminacyjna polityka zaborców, skierowana na stopniowe wyplenienie nawet ostatnich śladów wspaniałego państwa, które przez blisko tysiąc lat było nie-

Jan Bobrzyński. Powyżej: fragment jego listu FOT. TRADYCJEGOSPODARCZE.PL

Jedynie Polska

Bobrzyński podkreślał przy tym, że jeśli chodzi o powstanie państwa ukraińskiego, to „tylko Polska może Wam skutecznie dopomóc, bo sprawa ukraińska nie leży na serio w interesie żadnego innego z państw europejskich". A odwołując się do polskiej historii, tłumaczył „koledze", że Ukraińcy znajdują się w tym szczęśliwym położeniu, że „jedno z poważnych państw istniejących pragnie popierać Waszą sprawę i posiada w tym swój własny, żywotny interes. A w tak szczęśliwym położeniu nie byliśmy, my Polacy, w czasach rozbiorów i długoletniej niewoli zaborczej!".

Odwołań do wspólnej historii było w „Liście…" zresztą dużo więcej. Bobrzyński za kluczowy moment polsko-ukraińskich relacji uznawał powstanie Bohdana Chmielnickiego i nieprzemyślaną wymianę sojuszy, najpierw wzywającą przeciw Koronie Tatarów, a potem podporządkowującą żywioł ukraiński Moskwie: „Odtąd też Rosja, do niedawno słabe państwo moskiewsko-suzdalskie, pamiętające jeszcze tatarską niewolę i wegetujące daleko, na północnym wschodzie Europy, zagarnęło Ukrainę, głosząc na cały świat, że to ziemia rdzennie »ruska«, a Kijów nawet kolebką wszechrosyjskiej państwowości i kultury!".

Zresztą sąsiedztwo Rosji to najważniejszy chyba argument na rzecz współpracy polsko-ukraińskiej, co Jan Bobrzyński doskonale rozumiał, podkreślając zagrożenie płynące z agitacji bolszewickiej na Ukrainie po obu stronach granicy z Sowietami i tłumacząc: „Wy, odłam Ukraińców zamieszkujących Ruś Czerwoną, jesteście solą w oku naszemu wspólnemu wrogowi; bo Wy możecie na tej ziemi mówić po ukraińsku, pielęgnować Wasze ideały, podnosić Waszą kulturę. Wy jedno, na polskiej Rusi Czerwonej, dzierżycie jeszcze sztandar ukraiński w ręku. A tam, za wschodnim kordonem, to wszystko właśnie planowo jest niszczone, mimo obłudnej nazwy »sowieckiej republiki ukraińskiej«". „Ruś Czerwona" – a więc terytoria z Lwowem i Przemyślem, obejmujące dorzecza Sanu i Dniestru po Prypeć – musiała przy tym bezdyskusyjnie pozostać dzielnicą państwa polskiego, co Bobrzyński uczciwie w „Liście…" podkreślał.

Artykuł na łamach „Naszej Przyszłości" był propozycją, aby ponownie zasiąść do rozmów o przyszłości Ukrainy, ale podawał też kilka rad „bardziej doświadczonego" polskiego kolegi konserwatysty. Te rady to – po pierwsze – wzniesienie ponad „drobne tarcia" i wzajemną nieufność; po drugie – stworzenie ukraińskiej szkoły myślenia konserwatywnego jako „najskuteczniejszej odtrutki na szał radykalizmu i podstępną robotę bolszewicką"; trzecia wskazówka to wreszcie oderwanie od wschodniej

eprasa.pl 016ae519f9

kultury i „bizantynizmu" („Wszak bizantynizmu nie ma już w samym Bizancjum, a utrzymał się u Was jeszcze!"), którego przejawami są alfabet, kalendarz i styl architektoniczny, asymilujące Ukrainę ze światem rosyjskim.

Bobrzyński przypominał także w „Liście…" cztery fundamenty wyznawanego przez siebie konserwatyzmu, który powinien stanowić grunt dla polsko-ukraińskiego porozumienia, a więc: katolicyzm, rodzina, własność prywatna i polityka realna. Pisał także, mając zapewne na myśli fragmenty swojej trudnej biografii (opisywanej jakiś czas temu na łamach „Historii Do Rzeczy" 2(84)/2020): „Dodam do nich punkt piąty: umiejętność niezrażania się przeciwnościami dnia i przenoszenie się ponad nie z myślą skierowaną niezachwianie ku pewnym, jasno określonym, a możliwym do osiągnięcia celom".

U biskupa Chomyszyna

„List otwarty do ukraińskiego konserwatysty" odbił się szerokim echem. Pisała o nim prasa ukraińska, drukowano polemiczne broszury, odpowiedź „List otwarty do polskiego konserwatysty (odpowiedź)" na łamach „Naszej Przyszłości" opublikował Adam de Montrésor, zięć samego hetmana Pawła Skoropadskiego. Czy to on mógł być adresatem listu Jana Bobrzyńskiego?

A jeśli nie on, to kto?

Chociaż autor w pierwszych słowach pisał, że jego korespondencja pozostaje „bez dokładniejszego adresu, bo go nie znam", to jednak wydaje się, że słowa polskiego publicysty mogły mieć konkretnego adresata, z którym nawet finalnie udało mu się spotkać przy wspólnym stole. Kimś takim mógł być jakiś współpracownik greckokatolickiego biskupa stanisławowskiego Grzegorza Chomyszyna, wokół którego skupiła się grupa ukraińskich konserwatystów, najpierw jako Ukraińska Organizacja Chrześcijańska, a później Ukraińska Katolicka Partia Narodowa.

Polscy żołnierze w Kijowie, 1920 r.
FOT. WIKIPEDIA

Na przełomie lat 1931 i 1932 doszło do bezpośrednich spotkań przedstawicieli polskich i ukraińskich konserwatystów, których efektem było szersze otwarcie łamów „Naszej Przyszłości" dla publicystyki poświęconej tematyce ukraińskiej. Podjęto próbę powołania do życia Polsko-Ukraińskiego Towarzystwa Naukowego, a Bobrzyńskiemu udało się nawet zaaranżować w Warszawie nieformalne spotkanie greckokatolickich biskupów Grzegorza Chomyszyna i Jana Łatyszewskiego z Januszem ks. Radziwiłłem, reprezentującym Stronnictwo Prawicy Narodowej, nestorem środowiska konserwatywnego oraz przedstawicielami polskiego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i redaktorami polskich mediów konserwatywnych.

Spotkanie jednak zakończyło się fiaskiem, ponoć z winy niechęci do współdziałania ze strony ks. Radziwiłła, nie powiodły się także dalsze próby integrowania obu środowisk. Przez kolejne lata postępował uwiąd dotychczasowej, i tak niezbyt rozbudowanej współpracy. O niepowodzenie oskarżały się wzajemnie obie strony, padały m.in. zarzuty ulegania środowiskom radykalnym (względem konserwatystów ukraińskich) oraz braku realnego programu ukraińskiego polskich ośrodków decyzyjnych.

W swojej monografii poświęconej środowisku „Naszej Przyszłości" prof. Włodzimierz Mich zwraca uwagę, że załamanie współpracy ze środowiskiem bp. Chomyszyna – późniejszego męczennika więzień NKWD i błogosławionego Kościoła katolickiego – nie spowodowało rewizji koncepcji geopolitycznych redakcji pisma. Nadal uważano za zasadne powstanie niepodległego państwa ukraińskiego, naturalnie kosztem Związku Sowieckiego i w sojuszu z Polską. „Nasza Przyszłość" miała nadzieję na przyczynienie się do zmiany myślenia na temat sprawy ukraińskiej poprzez aktywną działalność publicystyczną.

Czas pokazał, że było to myślenie bardziej życzeniowe niż realne. A jednak niektóre spostrzeżenia zawarte w „Liście…" Jana Bobrzyńskiego nadal, po 90 latach pozostają zadziwiająco aktualne, szczególnie w obliczu obecnej agresji rosyjskiej na Ukrainę – uwagi o zagrożeniu płynącym z rusyfikacji; o radykalizmie społecznym, który nikomu nie służy i do niczego sensownego nie prowadzi; a przede wszystkim o konieczności budowania na Ukrainie przychylności „dla tego jedynego państwa na świecie, w którego żywotnym interesie leży poparcie ukraińskich narodowych ideałów". To ostatnie zadanie postawił Bobrzyński przed zachowawcami ukraińskimi. Jego „List otwarty do ukraińskiego konserwatysty" kończy się słowami: „Oto wszystko, co szczerze sercem i trzeźwym rozsądkiem chciałem powiedzieć, ukraiński konserwatysto. Reszta – do Ciebie należy!".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pisząc artykuł, korzystałem m.in. z książek Włodzimierza Micha „Publicystyka polityczna »Naszej Przyszłości« 1930–1939" (Lublin 2009) oraz Barbary Stoczewskiej „Ukraina i Ukraińcy w polskiej myśli politycznej od końca XIX wieku do wybuchu II wojny światowej" (Kraków 2013).

eprasa.pl 016ae519f9

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
MARIUSZ NOWIK: „PALMIRY. ZABIĆ WSZYSTKICH POLAKÓW"

OPOWIEŚĆ O MIEJSCU, KTÓRE NADAL SKRYWA TAJEMNICE.
OPOWIEŚĆ, KTÓRA PRZYWRACA PAMIĘĆ O OFIARACH.

Palmiry - miejsce masowych hitlerowskich egzekucji polskich elit społecznych i intelektualnych. Ginęli tam ludzie uznani za "wrogów Rzeszy" i "politycznie niepewni" - osadzeni na Pawiaku i w więzieniu na Rakowieckiej, w areszcie śledczym na Daniłowiczowskiej, w celach siedziby gestapo w alei Szucha.

W palmirskim lesie zatrzymywały się budy wypełnione więźniami. Ofiarom krępowano ręce i zasłaniano oczy. Niemcy pędzili ich grupami w głąb lasu, ustawiali nad świeżo wykopanymi dołami. Pluton egzekucyjny składał się do strzału, salwa niosła się echem wśród drzew. Rannych dobijano, czasem grzebano ich żywcem. Zapełnione mogiły Niemcy zasypywali, maskowali ściółką i sadzili młode sosny. Przesiąknięta krwią ziemia miała nigdy nie zdradzić powierzonej jej tajemnicy.

Jak Niemcy między grudniem 1939 roku a lipcem 1941 roku stworzyli małą fabrykę śmierci?
Po co leśniczy wbijał łuski pocisków w pnie drzew?
Czy komukolwiek udało się uciec z transportu do Palmir?
W jaki sposób skazani próbowali powiedzieć światu o zbrodni w Palmirach?
Dlaczego po dziś dzień ludzie bezskutecznie szukają tam swoich najbliższych?

"Wstrząsające dowody martyrologii Polski, jakich świadkiem byłem w Palmirach, przekraczają wszystkie moje dotychczasowe wyobrażenia o zbrodniach niemieckich."

Emil Bösch,
delegat Międzynarodowego Czerwonego Krzyża

143zł

oszczędność 31 zł

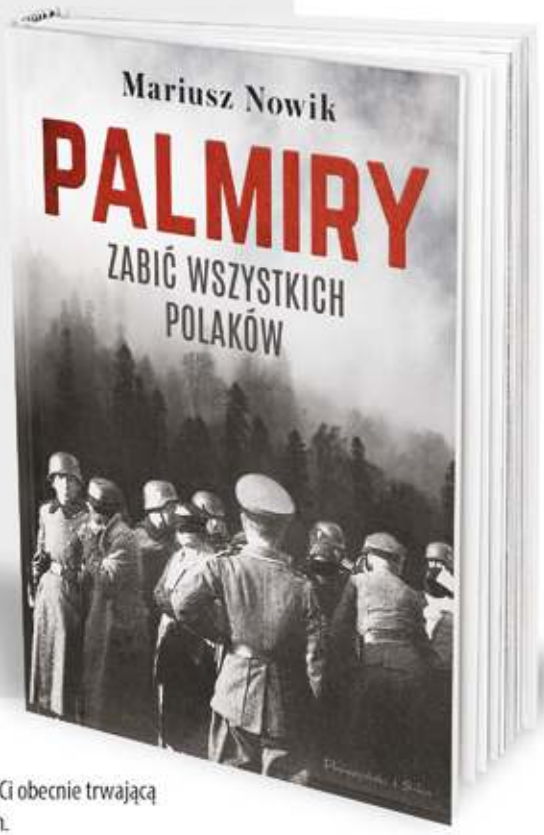

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 016ae519f9

XVII–XXI w. / Niemal 400 lat uczelni w Dorpacie

Legenda estońskiego uniwersytetu

Gmach uniwersytetu w Dorpacie (XIX w.) i herb Konwentu Polonia

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, KONWENTPOLONIA.PL

Sławomir Koper

„Dorpatczyk" oznaczał w Polsce osobę znakomicie i wszechstronnie wykształconą, o wysokiej kulturze osobistej

Przez większość swoich dziejów estońskie Tartu nad rzeką Emajõgi (niem. Embach) nosiło niemiecką nazwę Dorpat i pod nią zapisało się w historii. Sławę zawdzięczało uniwersytetowi, którego początki sięgają 1632 r., gdy król Szwecji, Gustaw Adolf, założył Academia Dorpatensis. Uczelnia otrzymała szeroką autonomię, którą zachowała nawet pod panowaniem moskiewskim.

Inflanty zostały zdobyte przez Rosjan w wyniku wojny północnej na początku XVIII stulecia. Dorpat jednak zachował swój niemiecki charakter i z tego powodu, gdy w 1802 r. Aleksander I założył nowoczesny uniwersytet, językiem wykładowym został niemiecki. Gwarantowało to bliskie związki z uczelniami zachodniej Europy, a jednocześnie placówka utrzymywała kontakty ze środowiskiem naukowym Petersburga. Zaowocowało to wysokim poziomem nauczania i Dorpat szybko uzyskał renomę najlepszego uniwersytetu we wschodniej Europie. Dzięki posiadanej autonomii swobodnie dobierano kadrę naukową i programy kształcenia, utrzymywano nawet policję uczelnianą, co ograniczało dostęp carskich służb.

Polacy w Dorpacie

Gdy po powstaniu listopadowym zlikwidowano uniwersytety w Warszawie i Wilnie, uczelnia w Dorpacie stała się głównym miejscem studiów Polaków z terenu zaboru rosyjskiego. Jej władze przychylnie ich traktowały i łącznie studiowało tutaj blisko 2,5 tys. naszych rodaków. Zdarzały się też lata, gdy Polacy stanowili ponad 10 proc. studentów.

Określenie „dorpatczyk" oznaczało w Polsce osobę znakomicie i wszechstronnie wykształconą, o wysokiej kulturze osobistej. „Dorpatczycy" cieszyli się powszechnym poważaniem, czemu trudno się dziwić, gdyż absolwentami uczelni byli ludzie tej miary co: Benedykt Dybowski, Tytus Chałubiński, Ignacy Baudouin de Courtenay, Wincenty Lutosławski czy Józef Weyssenhoff. Natomiast trzy lata przed wybuchem pierwszej wojny światowej uniwersytet w Dorpacie ukończył późniejszy prezydent RP na uchodźstwie, Władysław Raczkiewicz.

Nie zmienia to jednak faktu, że nasi rodacy uchodzili nad Embachem za ludzi obdarzonych prawdziwie ułańską fantazją. Niejaki Michał Karboniewicz wynalazł „karboniewiczsznaps" – mie-

eprasa.pl 016ae519f9

szaninę różnego rodzaju nalewek, likierów i wódki oraz „turka", w którego skład wchodziły: arak, żółtka kurze i likier różany. Oba wynalazki zwalały z nóg nawet największych birbantów, a zabawy kończyły się czasami naśladownictwem Wilhelma Tella (zanotowano jeden wypadek śmiertelny). Nie zawsze jednak było tak tragicznie i gdy pewien polski student wjechał na swoją kwaterę konno (mieszkał na drugim piętrze), to następnego dnia trzeba było rozebrać część budynku, by wypuścić przerażone zwierzę.

Zdarzali się też prawdziwi geniusze, niejaki Kacper Mikulski opanował materiał studiów z teologii przez rok i pomyślnie zdał egzaminy. Na drugim biegunie znalazł się Edward Heinrich, który na tym samym wydziale studiował przez 49 semestrów. Przy okazji pozostawił znakomite wspomnienia, które dokumentują życie uniwersytetu i jego studentów. Był bowiem dobrym obserwatorem i dysponował niezłym piórem, a do tego spędził nad Embachem blisko ćwierć wieku.

Nasi rodacy słynęli ze swojej honorowej postawy, szczególnie wobec niemieckich studentów. Inna sprawa, że pojedynki były na uczelni prawdziwą plagą, chociaż najczęściej nie miały tragicznego finału. Podczas walk używano bowiem broni białej, a ciosy od szabli czy rapierów nie powodowały śmiertelnych ran. Sytuacja zmieniła się, gdy Polacy zaczęli preferować pistolety i stawiali to jako warunek przyjęcia wyzwania. Regularnie też ćwiczyli się w użyciu broni palnej i najczęściej byli dobrymi strzelcami. Prawdziwym rekordzistą był późniejszy prozaik, Józef Dziekoński, który walczył na „udeptanej ziemi" około stu razy. I co najdziwniejsze, przeżył.

Studenckie życie

W pobliżu głównego gmachu uniwersyteckiego przy niewielkiej ulicy Lutsu zachowała się XIX–wieczna drewniana, parterowa zabudowa. W takich właśnie skromnych domach najczęściej wynajmowali kwatery polscy studenci. Z reguły były to pojedyncze pokoje, natomiast zamożniejsi korzystali z większych lokali w piętrowych budynkach. Za umeblowane dwupokojowe mieszkanie płacono od 15 rubli za semestr (ok. 180 euro), co dla większości było jednak kwotą zbyt wysoką. Dlatego preferowano pokoje w cenie

Obecny widok gmachu uniwersytetu w Tartu (dawniej: Dorpat) FOT. BLIND WILLOW/WIKIPEDIA

7 rubli, tym bardziej że znaczne kwoty pochłaniały wyżywienie, pranie i sprzątanie. Oddzielnym problemem były usługi szewskie, które z niewiadomych powodów w Dorpacie były wyjątkowo kosztowne.

Jedzenie nie było specjalnie drogie, gdyż miejscowi restauratorzy byli nastawieni na studencką kieszeń. Najubożsi płacili ok. 3 rubli miesięcznie za obiady, a rankiem odżywiali się wyłącznie mlekiem z pieczywem. Nie zmienia to faktu, że niezależnie od stanu majątkowego Polacy solidarnie narzekali na miejscowy jadłospis. Byli bowiem przyzwyczajeni do obfitej kuchni polskiej lub kresowej i dorpackie obyczaje kulinarne nie przypadły im do gustu. Dziwiono się, że obiad był złożony tylko z dwóch dań, w tym „cienkiej" zupy.

Większość studentów mogła otrzymać gwarantowany kredyt uczelniany (zwany puffem) w wysokości 120 rubli. Władze uniwersytetu określiły też maksymalną wysokość zadłużenia u miejscowych sprzedawców i właścicieli mieszkań. Gdy dług przekraczał określone granice, wierzyciel miał prawo wystąpić do władz uczelni o jego przymusowe ściągnięcie, co mogło się zakończyć skreśleniem z listy studentów. Największe zadłużenie dopuszczano w przypadku opłat mieszkaniowych (50 rubli), o połowę mniej u krawca, natomiast limit kredytowy u piekarza wynosił 20 rubli. Biorąc pod uwagę, że bochenek chleba kosztował 12 kopiejek, to egzekucja długu mogła nastąpić dopiero po wielu tygodniach zakupów pieczywa na kreskę. Większość studentów rzetelnie spłacała swoje zobowiązania, chociaż niektórzy unikali wręczenia im nakazu zapłaty. W takich sytuacjach policja uczelniana przybijała wezwanie do drzwi, co uznawano za doręczenie.

SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK
„KRESY PÓŁNOCY. WĘDRÓWKI DO POLSKICH INFLANT"
FRONDA

Niektórzy studenci decydowali się natomiast na narzeczeństwo z córką jednego z mieszkańców Dorpatu. Zapewniało to nie tylko darmowe mieszkanie, lecz także wikt i opierunek. Z reguły taki związek faktycznie kończył się przed ołtarzem, chociaż zdarzały się również przypadki „puszczenia panny w trąbę". Gdy narzeczeństwo zostało zerwane jeszcze w trakcie studiów, a wina bez wątpliwości leżała po stronie niedoszłego pana młodego, to spotykał go towarzyski ostracyzm. Usuwano go z szeregów korporacji akademickich i zgodnie z obyczajem nie wolno mu było udzielić „ognia ani wody". W realiach dorpackich oznaczało to zakaz picia z nim piwa.

Noc Walpurgii

Na wzgórzu Toompea (niem. Domberg) wznoszą się ruiny dawnej katedry pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła. To jeden z najcenniejszych zabytków Tartu, w XV w. przebudowany w stylu gotyckim. Gmach uzyskał wówczas dwie bliźniacze wieże o wysokości 66 m, niestety nie zachowane do naszych czasów. Budowla została poważnie uszkodzona podczas reformacji, ale ostatecznie kres przyniosło jej trzymiesięczne rosyjskie oblężenie miasta w 1704 r.

Pozostałości katedry działały jednak na wyobraźnię i odgrywały znaczną rolę w obrzędowości studenckiej. To właśnie to miejsce wybrano na coroczne obchody nocy Walpurgii odbywającej się na przełomie kwietnia i maja. Było to dawne święto Germanów i Celtów poświęcone duchom zmarłych i kojarzone bardziej z sabatami czarownic. Nad Bałtykiem przybrało jednak formę powitania wiosny, co wykorzystywano jako pretekst do dobrej zabawy. Wprawdzie rozpalano wielkie ogniska, ale nie miały one odpędzać złych mocy, lecz towarzyszyć w mocno zakrapianych rozrywkach.

„Szczególnie płeć nadobna miasta i okolic – wspominał Marian Bończa-Kunicki – była tu prawie w komplecie, gdyż wiele pań i panien miało tu lub spodziewało się mieć przyszłych mężów lub przynajmniej kochanków".

W święcie brały udział wszystkie korporacje studenckie w Dorpacie, w tym także polski Konwent Polonia. Ich członkowie pojawiali się przed północą wraz ze swoimi sztandarami zajmując

eprasa.pl 016ae519f9

miejsca przy stołach wg starszeństwa powstania bractwa. Następnie fuksi (studenci pierwszego roku) układali przy członkach każdej korporacji stosy z koszy po butelkach z piwem, które skrupulatnie gromadzono od poprzednich obchodów. Im większa była góra koszy, tym większy szacunek dla konwentu. Natomiast oddzielny stos układano na środku placu, co miało symbolizować jedność akademicką. Następnie sterty kolejno podpalano przy dźwiękach powitalnej pieśni wiosennej (po niemiecku).

„Starzy bürgerzy (obywatele) akademickiego grodu – kontynuował Kunicki – ich leciwe połowice oraz nadobne, a zalotne córy, dawno już stoją na wzgórzu lub siedzą na ławach, wpatrzeni w niemym zachwycie w ten świetny, błyskający ogniami bankiet nocny".

Impreza trwała do świtu i uchodziła za jedno z najważniejszych świąt miejscowej wspólnoty. Tej nocy wszyscy czuli się pełnoprawnymi członkami społeczność akademickiej.

W 1890 r. władze carskie zakazały organizacji nocy Walpurgii, tradycja jednak odrodziła się w niepodległej Estonii. Od lat biorą w niej także udział przedstawiciele polskich korporacji akademickich, ale miejscem obchodów nie jest już wzgórze katedralne. Obecnie studenci świętują na rynku miasteczka, bliskości głównego gmachu uczelni, a potem pochód przenosi się nad rzekę.

Karcer w Dorpacie

Wielu kandydatów na studia wybierało Dorpat ze względu na życie towarzyskie, które tam bujnie się rozwijało. Dotyczyło to również Polaków, tym bardziej że wśród naszych rodaków nigdy nie brakowało różnego rodzaju niespokojnych duchów, którzy pobyt nad Embachem traktowali w kategoriach młodzieńczej przygody. Nauka nie była dla nich sprawą najważniejszą. „Kolega B. znany był powszechnie – tłumaczył Kunicki – będąc postrachem podmiejskich knajp. […] Bano się go jak ognia, choć miał prawdziwie gołębie serce, ale jednocześnie odwagę i siłę lwa. Można go było stale spotkać z butelkami piwa w kieszeniach, które w potrzebie zastępowały maczugę lub granaty ręczne".

Niewiele mu ustępował pewien student z Litwy, wielki i niezgrabny jak

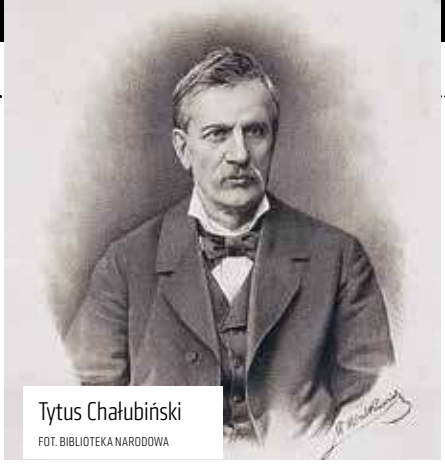

Tytus Chałubiński
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

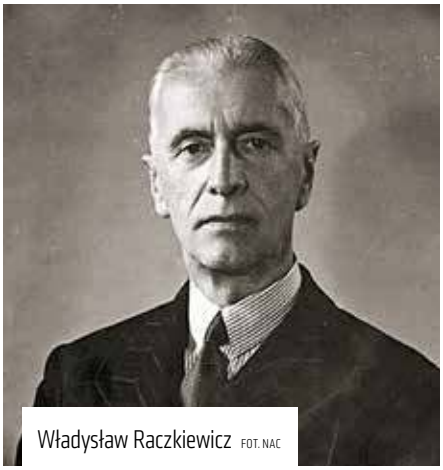

Władysław Raczkiewicz FOT. NAC

prawdziwy niedźwiedź, ale niezwykle skuteczny w knajpianych awanturach. Zresztą w każdym roczniku znajdowali się ludzie odpowiedni „do wypitki i wybitki", którzy z równą łatwością przechodzili od wlewania w siebie litrów piwa do rozbijania kufli na głowach adwersarzy.

Za awantury w lokalach można było trafić do karceru, co było karą często stosowaną. Obowiązywał stały taryfikator: cztery dni za ubliżanie kobiecie, jeden dzień więcej za znieważenie woźnego, a osiem dni za przeklinanie w miejscu publicznym. Liczba dni odosobnienia za burdy zależała od uznania władz uczelni.

Młodzi ludzie trafiający do karceru nie uznawali tego za hańbę, wychodząc z założenia, że niemal każdego studenta prędzej czy później czeka ten los. Zresztą kara odosobnienia nie była specjalnie uciążliwa. Dozorcy byli podatni na argumenty finansowe i umożliwiali zaopatrywanie się w alkohol i potajemne wizyty kolegów. Organizowano nawet dyskretne imprezy towarzyskie, a „skazańców" odwiedzały panie lekkiego prowadzenia. W mieście funkcjonowa przynajmniej jeden stały dom publiczny i działały „niezrzeszone" prostytutki liczące 30 kopiejek (nieco powyżej 4 euro) za jeden kontakt seksualny. Wiadomo też, że udzielały kredytu na swoje usługi, nie wiadomo jednak do jakiej wysokości. Szczególnie oporni płatnicy musieli liczyć się z nieprzyjemnościami ze strony władz uczelni, gdzie trafiały wzburzone „córy Koryntu". Profesorowie nie mieli litości wobec dłużników. Zaleganie z płatnościami wobec prostytutek uchodziło za czyn wyjątkowo niehonorowy.

Symbol miasta

Miejscowa uczelnia uchodzi nadal za jedną z najważniejszych w tej części Europy. Oczywiście daleko jej do renomy z XIX w., zresztą powolny zmierzch rozpoczął się jeszcze za czasów rządów dynastii Romanowów. W 1893 r. zmieniono nazwę miasta na Jurijew, uczelnię przemianowano na Uniwersytet Jurijewski, a dwa lata później wprowadzono rosyjski jako język wykładowy. Zaczęto likwidować autonomię placówki, co spotkało się z oburzeniem większości studentów i absolwentów. Warto zauważyć, że władze, obawiając się porzucenia katedr przez najlepszych wykładowców, pozwoliły niektórym z prowadzić zajęcia po niemiecku. Dorpacki uniwersytet stracił jednak swój poprzedni charakter.

Tartu jest też miastem pomników akademickich. Wśród nich zwraca uwagę pomnik założyciela Academia Dorpatensis, Gustawa Adolfa, a na oddzielny monument zasłużył także wykładowca Karl Ernest von Baer. Zajmował się medycyną, anatomią i zoologią i jest uważany za „ojca embriologii". Pomnik stał się obecnie elementem obchodów nocy Walpurgii. Rankiem 1 maja studenci myją głowę profesora szamponem, a potem zawiązują mu modny krawat na szyi.

Jednak najważniejszym monumentem Tartu jest pomnik – w formie fontanny – całującej się pary studenckiej. Ustawiony został przed barokowym ratuszem i stanowi prawdziwy symbol miasta. Według legendy miał przedstawiać parę studentów, których zaskoczył deszcz, stąd też parasolka nad ich postaciami. Podczas nawałnicy mieli sobie wyznać miłość i podczas namiętnego pocałunku zamienić się w kamień, by ich szczęście trwało wiecznie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

E. Heinrich, „Luźne kartki ze wspomnień uniwersyteckich spisane przez starego dorpatczyka", Warszawa 1917.
M. Bończa-Kunicki, „Fragmenty wspomnień z Dorpatu", Lublin 1927.

eprasa.pl 016ae519f9

XIX–XX w. / Wielka wystawa o wielkim pisarzu

Proust – romans z Paryżem

Piotr Semka

Jeśli uznać, że Proust został uwiedziony przez findesieclowy Paryż, to miasto nad Sekwaną okazało się wdzięczną kochanką...

Stolica Francji wystawą w Muzeum Carnavalet oddaje hołd pisarzowi, który unieśmiertelnił czar belle époque. Paryż przełomu wieków XIX i XX bawił się i pysznił swoją pozycją „stolicy świata". Pierwsza wojna światowa zaburzy ten pełen wdzięku świat. Nie dziwi fakt, że sam Proust parę lat po końcu wielkiej masakry odejdzie z tego świata. Do nowych, powojennych czasów nie bardzo pasował. Dawną epokę III Republiki, schyłku potęgi rodowej arystokracji, budowy wieży Eiffla, afery Dreyfusa, impresjonistów i baletów Diagilewa – opisał jak mało kto.

Jeśli uznać, że Proust został uwiedziony przez findesieclowy Paryż, to miasto nad Sekwaną okazało się wdzięczną kochanką. W stulecie jego śmierci autorzy wystawy zabierają nas w podróż po topografii pamięci pisarza.

Paryski spleen

Nękany chorobami i bezsennością Proust przypominający sobie i zapisujący nocami epizody z dzieciństwa i pierwszej, aktywnej części życia. I Paryż – wielka sceneria Proustowskiego imaginarium...

Proust ceniony jest za jedną powieść, choć podzieloną na siedem części i zajmującą około czterech tysięcy stron: „W poszukiwaniu straconego czasu". Najzwięźlej opisał ją literaturoznawca Jürgen Kaub: „Książka o narratorze, opowiadającym ze swojej perspektywy, jak staje się pisarzem, śledząc wspomnienia z dzieciństwa, »doznania« natury i sztuki, miłość i zazdrość, interakcja na arystokratycznych i mieszczańskich salonach w Paryżu między belle époque a pierwszą wojną światową oraz doświadczenie własnego

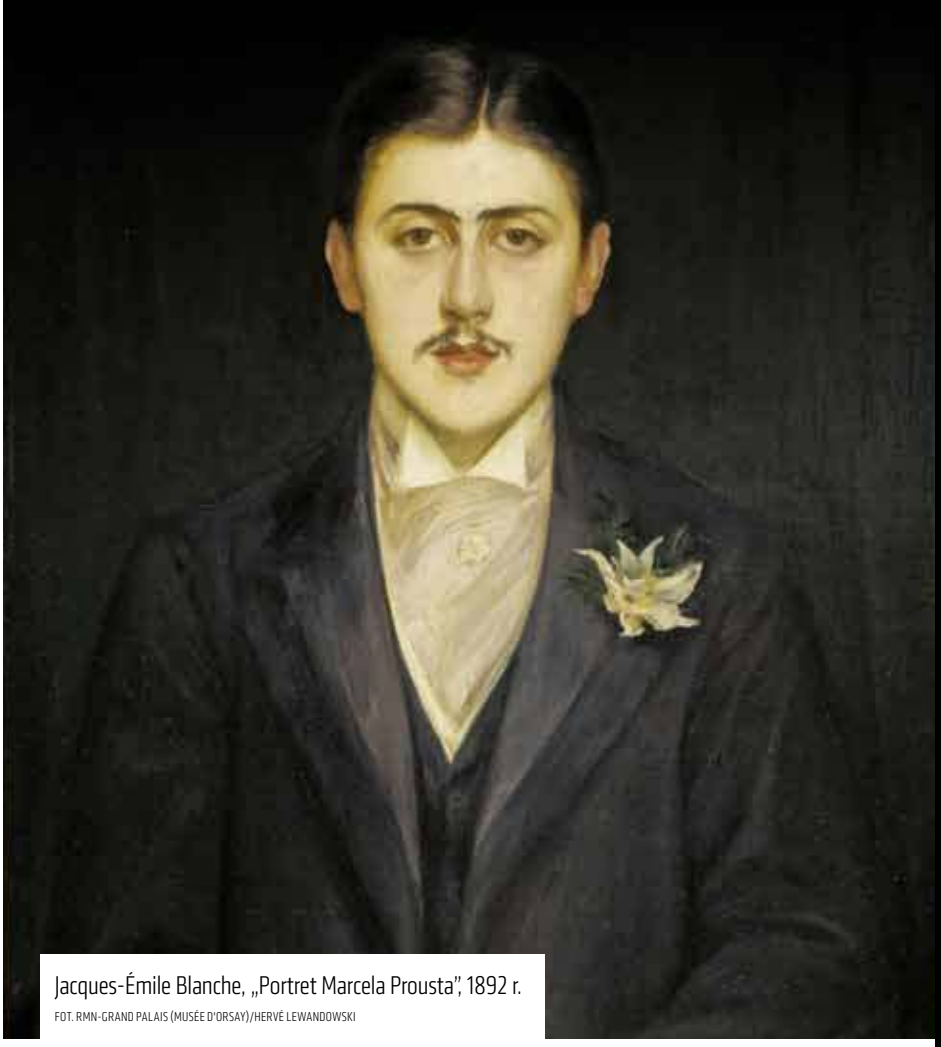

Jacques-Émile Blanche, „Portret Marcela Prousta", 1892 r.
FOT. RMN-GRAND PALAIS (MUSÉE D'ORSAY)/HERVÉ LEWANDOWSKI

eprasa.pl 016ae519f9

lenistwa – co oznacza »temps perdu«, stracony czas. Cztery tysiące pięćset stron na temat tego, jak trenować postrzeganie czasu w świecie duchowym".

W bibliotekach na całym świecie ślady lektury noszą zazwyczaj pierwsze dwa tomy. Przez cztery kolejne przebiją się już nieliczni. Ale krytycy nieodmiennie są zachwyceni. To dzieło powstawało powoli – siedem lat, ale po stu latach od powstania nadal pobudza twórców. Opus magnum Prousta zainspirowało takich reżyserów jak Volker Schlöndorff czy Raúl Ruiz.

Proust urodził się 10 lipca 1871 r., gdy runął beztroski świat II Cesarstwa, a dorastał w epoce, gdy Francja powoli stawała się racjonalistyczną republiką wojującą z Kościołem. Proustowi to nie przeszkadzało. Już jego ojciec, lekarz, był scjentystą, a sam Marcel szybko utracił wiarę i do końca życia pozostał agnostykiem. Bogaty z domu, nie musiał się przez całe życie martwić o byt. Stać było go na wykwintne paryskie mieszkanie i spędzanie czasu na towarzyskich przyjemnostkach. Chłonął życie artystycznej bohemy i paryskich salonów.

Na wystawie oglądać można portret Prousta z 1892 r. Miał wówczas 21 lat i jeszcze wierzył w zapewnienia lekarzy, że morskie powietrze Normandii czyni cuda. Patrzy na nas młody elegant ze staranną fryzurą i modnym wąsikiem. Pod szyją jedwabny musznik, a w klapie biała chryzantema. A jednak tło portretu to niepokojąca czerń. A twarz Marcela jest chorobliwie blada.

Bulwary i salony

Większość akcji „Straconego czasu" rozgrywa się w metropolii nad Sekwaną. Na obrazach zgromadzonych w Musée Carnavalet oglądamy obrazki z epoki. Bo Paryż był w tym czasie niezwykle malowniczy i elegancki.

Gazowe latarnie z ciepłym światłem. Amazonki na porannej konnej przejażdżce. Wykwintne powozy z lokajami w tyle karet i pierwsze, jeszcze dość pokraczne automobile. Nieskazitelna czerń fraków i wysokie cylindry. Efektowne suknie dam na premierach w paryskiej operze. Domy mody i świat, w którym kokoty i kurtyzany miały u swych stóp markizów i hrabiów. Awangardowe kabarety i te bardziej podejrzane lokale z urodziwymi chłopcami na zamówienie.

Camille Pissaro „Plac Opery", 1898 r.

FOT. REIMS, MUSÉE DES BEAUX-ARTS/PHOTO CHRISTIAN DEVLEESCHAUWER

Szampan na śniadanie, obiad i kolację. Rosyjscy książęta i angielscy lordowie przepuszczający swe fortuny na biżuterię u Cartiera, zegarki od Oudina czy bankiety u Fouqueta. Epoka nudy, cynizmu, pesymizmu i dekadencji. Awangardowi malarze i rzeźbiarze wytyczający nowe nurty. I zakrzywione, wykwintne, secesyjne linie ozdabiające zarówno wejścia do portali luksusowych pałacyków, jak i zwykłych stacji metra. Ślady przepychu epoki Napoleona III, naznaczone klęską w wojnie z Prusakami i francuski katolicyzm z ekspiacyjną bazyliką Sacré Coeur.

Marcel Proust z rakietą tenisową

FOT. BIBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE, PARIS

I nuworyszowskie dworce kolejowe – te ówczesne pomniki epoki stali, pary i elektryczności.

Ten paryski świat widoków, zapachów i smaków chłonął Marcel Proust przez większość swego krótkiego 51-letniego życia. Życia naznaczonego przez słabe zdrowie, które było jego zmorą.

Paryż epoki jego dorosłości ma już za sobą wielkie zmiany związane z urbanistycznymi zmianami barona Haussmanna – bulwar jego imienia będzie ostatnim adresem Prousta w nadsekwańskiej metropolii. To w epoce II Cesarstwa standardem centrum Paryża staną się solidne pięcio-, sześciopiętrowe kamienice z kamiennymi portalami i żeliwnymi balkonami. I z charakterystyczną postacią konsjerżek – tych westalek świętego, sytego spokoju francuskiej burżuazji.

Tylko rzadko miga gdzieś na wystawie ślad rewolucyjnego buntu. To obraz spalonego przez rewolucyjnych komunardów w 1871 r. Pałacu Tuilleries na obrazie Siebego Johannesa ten Catego. Posępny, utrzymany w szarych barwach pejzaż z wypalonymi ruinami pałacu przypomniał mi gdański gmach PZPR wypalony po rewolcie Grudnia 1970 r. Pewnie dlatego władze republiki w 1880 r. podjęły decyzję o rozebraniu ruin. Impresjoniści woleli zachwycać się dynamizmem rosnącej jak na drożdżach metropolii. Oto płótno Camille'a Pissarra z 1898 r. pokazujące ruchliwą Avenue de l'Opére. Jeszcze dominują powozy, ale na ulicach Paryża pojawiają się już automobile. Jeden z bohaterów cyklu Prousta, baron de Charles, dziwi się, „jak można uważać, że automobile są eleganckie".

Ambitny Proust nie zadowalał się chłonięciem splendoru wielkich bulwarów Paryża. Potrafił wydeptać sobie ścieżki prowadzące do najbardziej prestiżowych salonów stolicy. Oto malarski portret salonu hrabiny Emmanueli Potockiej, neapolitańskiej żony bogatego polskiego arystokraty – hrabiego Feliksa Mikołaja Potockiego. Panowie w ciemnych tużurkach pogrążeni w leniwej konwersacji, a w samym środku obrazu wpływowa księżna pod własnym portretem. Jej jedno słowo mogło być

eprasa.pl 016ae519f9

salonowym wyrokiem śmierci towarzyskiej. Jej życzliwość otwierała wiele kolejnych drzwi w pałacach starej i nowej szlachty. Jej niechęć lub kpina – skazywały na towarzyski ostracyzm. I znów przypominają się uwagi Boya o Prouście jako genialnym portreciście salonowego mikroświata.

„Salon jest instytucją i potęgą swoiście francuską. [...] to najkunsztowniejsze dzieło kobiety, jej apoteoza – czasem jej ekspiacja, rehabilitacja – nieustająca regeneracja, nieograniczona prolongata jej potęgi, której największe natężenie potrafiła paryżanka skupić na ten okres życia, kiedy ją już odbiegła młodość i uroda. Salon to arcydzieło władztwa starych kobiet, matriarchat fikcji, imperializm pustki".

Ale potęga salonowych lwic nie byłaby możliwa bez armii składających im hołdy „boulevardierów". Takich jak bohater pierwszej części cyklu – Charles Swann. Koneser sztuk, dumny ze swojego gustu wobec kobiet i bywalec kolacji u posiadaczy najsławniejszych rodowych nazwisk Paryża. A jednocześnie ktoś, kto ośmiesza się pogonią za dość banalną kurtyzaną Odettą de Crecy. Na wystawie zgromadzono portrety postaci, w których współcześni dopatrywali się podobieństw do bohaterów septalogii Prousta. Dziś nazwiska tych ekscentrycznych baronów i pięknych kokot mówią coś tylko badaczom literatury. Ale w swoim czasie ludzie ci byli symbolami piękna, inteligencji lub skandali. I wspaniałymi modelami dla malarzy tej wykwintnej epoki.

Pochmurny schyłek dnia

Po śmierci ubóstwianej matki w 1905 r., czyli w wieku 34 lat, Proust zaczyna odsuwać się od świata salonów. Porzuca wyczekiwanie na spotkanie wielkich dam na spacerach, rezygnuje z peregrynacji do Lasku Bulońskiego i wizyt na wystawach sztuki. Przenosi się do dużego mieszkania przy Boulevard Haussmann 105. Jeden z pokoi każe wybić korkiem w celu odgrodzenia się od paryskiego gwaru, a w reszcie mieszkania gromadzi jak w magazynie wszystkie swoje meble. Zaczyna prace nad „W poszukiwaniu straconego czasu". Jeśli pojawia się na paryskich salonach, to tylko po to, by sprawdzić jakiś szczegół do swojej powieści. Astma daje o sobie znać i Marcel zaczyna się bać, że umrze, nie dokończywszy dzieła życia. W roku 1913 wychodzi pierwszy tom cyklu – „W stronę Swanna".

René-Xavier Prinet, „Balkon", 1905–190. Poniżej: pokój Prousta

FOT. CAEN, MUSÉE DES BEAUX-ARTS/PATRICIA TOUZARD (1), PIERRE ANTOINE/PARIS MUSÉES/MUSÉE CARNAVALET - HISTOIRE DE PARIS(2)

Na wystawie zaaranżowano pokój Prousta skompletowany z jego oryginalnych mebli. Pierwszą wojnę światową spędza właściwie, nie wychodząc z mieszkania. Nie grozi mu powołanie do wojska – jest przecież niezdolny do służby wojskowej. Przygnębiają go informacje o śmierci na różnych frontach przyjaciół sprzed lat W czasie nielicznych spacerów po mieście odkrywa, jak ulice zapełniają smagli żołnierze francuskich wojsk kolonialnych. A w nocy muszą niepokoić Prousta niemieckie naloty, wymierzone w stolicę Francji. Raz bomby zrzucają zeppeliny, a innym razem dwusilnikowe bombowce Gotha. Autorzy wystawy zgromadzili obrazy o tym najtrudniejszym okresie dla Paryżan. Cienie wrogich samolotów na niebie wychwytywane przez reflektory obrony przeciwlotniczej i ucieczka Paryżan przed nalotami do paryskiego metra.

Szał radości Francuzów po zwycięstwie w listopadzie 1918 r. w niewielkim stopniu udziela się bohaterowi wystawy. Im czuje się słabszy, tym więcej żmudnego wysiłku wkłada w ukończenie swego cyklu. Nieogolony, niewstający tygodniami z łóżka – przyjmuje nielicznych już przyjaciół, zasypany kartkami z wciąż przerabianych wersji części swojej książki. Trwa gorączkowa praca nad ostatnimi tomami cyklu. W listopadzie 1922 r. Proust umiera. Akurat w momencie, gdy jego dzieło zdobywa coraz szersze uznanie. Paryżanki skracają sukienki i zaczynają się czesać na chłopczycę. Belle époque jawi się wtedy jako dawno miniony sen.

Jak pisze George D. Painter, biograf pisarza: „Byłoby absurdem przypuszczać, że powiązanie („W poszukiwaniu straconego czasu") z rzeczywistością umniejsza w jakimkolwiek stopniu wielkość Prousta. Jego twórczość jest ilustracją [...] rozróżnienia między fantazją a wyobraźnią – pomiędzy sztuką, która zmyśla to, co nigdy nie istniało, a sztuką, która odkrywa głębsze znaczenie tego, co istniało". I za to blademu pisarzowi – który niemal cudem wygrał wyścig tworzenia swego arcydzieła z podstępną chorobą – Paryż oddaje dziś hołd. Francuski biograf twórcy – Jean-Yves Tadié z Sorbony – puentuje: „Proust udoskonalił literacki gatunek wsłuchiwania się w »szepty i krzyki« Paryża. Od czasów średniowiecza zdarzali się tacy twórcy, ale w osobie Prousta sztuka obserwacji świata osiągnęła swoją kulminację. Nauczył nas słuchać i patrzeć".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Marcel Proust – un roman parisien" w Muzeum Carnavalet czynna była do 13 kwietnia br.

eprasa.pl 016ae519f9

Mauzoleum św. Stanisława Kazimierczyka w bazylice Bożego Ciała w Krakowie FOT. MONKPRESS/EAST NEWS

XII–XVIII w. / Staropolskie cuda

Święta pomoc

Tomasz Stańczyk

Uzdrowienia, a nawet wskrzeszenia za sprawą świątobliwych ludzi notowane były w zapiskach prowadzonych przez księży i zakonników

eprasa.pl 016ae519f9

Święty Jacek Odrowąż
FOT. WIKIPEDIA

W 1767 r. ukazała się książka ks. Floriana Jaroszewicza z zakonu franciszkanów reformatów o długim tytule – jak na barokową modę przystało. Wyjaśniał on jednak dokładnie treść książki: „Matka Świętych Polska albo żywoty świętych, błogosławionych, wielebnych, świątobliwych, pobożnych Polaków i Polek. Wszelkiego stanu i kondycji każdego wieku od zakrzewionej w Polszcze chrześcijańskiej wiary osobliwą życia doskonałością słynących. Z różnych autorów i pism tak polskich, jako i cudzoziemskich zebrane i spisane... Dla zbudowania żyjących i potomnych, dla pociechy duchownej swoich krewnych".

Autor zebrał w tym dziele 399 biogramów świętych, błogosławionych, ale też znacznie liczniejszych osób świątobliwych, zarówno duchownych, jak i – rzadziej – świeckich.

Kres zarazie

Życiorysy osób później wyniesionych na ołtarze, a także osób świątobliwych, które nie dostąpiły tego zaszczytu, zawierają opisy cudów, lecz – oczywiście – to nie święci czynią cuda, lecz dzieją się za one za ich wstawiennictwem. Święty Augustyn uważał, że cuda – czyli znaki dane przez Boga – bynajmniej nie przeczą prawom natury, natomiast przekraczają ludzkie jej rozumienie. Święty Tomasz z Akwinu uważał zaś, że cud dokonuje się przeciw naturze, niejako ponad nią.

Najpowszechniejszymi cudami za wstawiennictwem świętych – o co się modlono do nich – były uzdrowienia, nagłe i powodujące, że choroba czy ułomność nigdy już nie powróciły. Cuda dokonywały się nie tylko za życia świętych lub świątobliwych, lecz także po ich śmierci. Niejaka Anna z Grodziska Wielkopolskiego „morowym powietrzem zarażona, w sam dzień św. Ma-

eprasa.pl 016ae519f9

teusza, gdy sobie włożyła na głowę wieniec z kwiatów z grobu o. Bernarda z Wąbrzeźna (1575–1603), do zdrowia niebawem powróciła" (Benedyktyni.net).

Wspomnianemu Bernardowi z Wąbrzeźna, benedyktynowi z opactwa w Lubiniu, przypisywane jest ustanie epidemii w Grodzisku Wielkopolskim w 1620 r. Gdy mieszkańcy modlili się w intencji pozbycia się zarazy, miał się ukazać im na niebie zakonnik, w którym rozpoznano Bernarda. Po pielgrzymce do jego grobu zaraza nagle ustała. W Grodzisku znajduje się studnia, która w czasie innej epidemii była sucha. Po modlitwach zakonnika wypełniła się wodą, a jak twierdził ks. Piotr Skarga, autor „Żywotów świętych pańskich", woda ta była „nie tylko czysta, lecz także posiadała dziwną siłę, która ratowała ich wszystkich, którzy ją pili". Podczas zarazy w Jarosławiu z największym poświęceniem zajmowali się chorymi franciszkanie Cyprian Kierkorowicz i Atanazy Wesołkowski, obaj przypłacili to życiem. Gdy wieziono ciała zakonników, by ich pochować, zrozpaczeni ludzie modlili się, by za ich wstawiennictwem epidemia ustała. „Jakoż nie były płonne owych ludzi nadzieje – pisał ks. Jaroszewicz – albowiem do dnia pogrzebu powietrzna zaraza ustała".

Wkrótce po swej śmierci Stanisław Kazimierczyk (1433–1489), kanonik laterański, ukazał się Katarzynie z Kazimierza i polecił jej udać się do swego grobu w krakowskim kościele Bożego Ciała, „co gdy ona wykonała, zaraz na oczy oświecona i na ciele uzdrowiona została".

Piotr Komorowski, starosta oświęcimski, stracił na wojnie jedno oko, drugie zaatakowała choroba, prawdopodobnie niszczył je ropień, powodując straszne bóle głowy. „Lewe oko z stawu wyszło i wisiało tak, że je podwiązować musiał" – pisał ks. Jaroszewicz. W 1617 r. Komorowski przybył do grobu Stanisława Kazimierczyka. Dwa dni później złożył świadectwo, że po modlitwie u grobu oko zostało wyleczone i normalnie widzi. Marcin Szyszkowski, biskup krakowski, trzymał się zasady, że uzdrowienie musi być nie tylko nagłe, lecz także trwałe, dlatego dopiero po 17 latach stwierdził, że w tym przypadku można mówić o cudzie.

Odnotowywano uzdrowienia m.in. po zażyciu wina, którym obmywano kości bernardyna Władysława z Gielniowa (ok. 1440–1505), gdy ekshumowano je dla przeniesienia w godniejsze miejsce, a także po potarciu chorych części ciała szatami noszonymi przez zmarłą świątobliwą osobę, po zażyciu rozpuszczonego w wodzie proszku z drewna pierwszej trumny Michała Giedroycia (1425–1489), członka Zakonu Kanoników Regularnych od Pokuty – jak pisał ks. Jaroszewicz – „różne ludzkie affekcye [choroby – przyp. T.S.] leczy". Gwardian lwowskich benedyktynów został uzdrowiony, gdy okryto go kocem, którego używał Jan z Dukli (ok. 1414–1484) w swojej ostatniej chorobie.

W 1950 r. Anna Rostafińska-Romiszowska chorowała na niedające się wyleczyć, nawet wchodzącymi wtedy do produkcji antybiotykami, zapalenie ucha. Lekarze obawiali się, że przerzuci się na kości czaszki i mózg, jedynym wyjściem była operacja i długie leczenie. Nagłe uzdrowienie nastąpiło po czterech dniach przykładania do ucha skrawka całunu, w który zawinięte były kości królowej Jadwigi, późniejszej świętej, podczas ich przeniesienia w 1949 r. Profesor Adam Miodoński, który badał dokumentację choroby, stwierdził, że nawet dziś wyleczenie tego przypadku zajęłoby przynajmniej kilka tygodni (Zbigniew Święch, „Budzenie wawelskiej pani królowej Jadwigi").

Trupa żywego oddał

Najbardziej spektakularnymi cudami były wskrzeszenia. Święty Augustyn zauważał, że jeśli zmarły wstaje z grobu, to ludzie są zdumieni, ale przecież większym cudem jest jednak zaistnienie tego, którego nie było, niż ożywienie tego, który był. Jacek Odrowąż (1183–1257), dominikanin, późniejszy święty, był wzruszony rozpaczą Przybysławy, której syn Wisław utopił się w rzece Rabie. Jacek Odrowąż „rozkazał mocą Boską, aby na wierzch wypłynął [...], nad którym uczyniwszy modlitwę żywego i zdrowego, oddał matce". Papieska komisja, która badała przypadki określanie jako cuda za sprawą Jacka Odrowąża, nie była bezkrytyczna: za cud uznała tylko dwa z ośmiu pierwszych przestawionych jej zdarzeń. Co do niejakiego Żegoty z Kleparza, który miał być przywrócony do życia, stwierdziła, że tylko omdlał i był jedynie potłuczony, ale uznała, że po przyniesieniu go do grobu Jacka Odrowąża, „wstał zdrowy, bez śladu wypadku" (Zdzisław Obertyński, „Dzieje kanonizacji św. Jacka").

Błogosławiony Władysław z Gielniowa FOT. MONKPRESS/EAST NEWS

Gdy Izajasz Boner (1399/1400–1471), augustianin, profesor Akademii Krakowskiej, modlił się przed obrazem Matki Boskiej w krakowskim kościele św. Katarzyny, wniesiono do świątyni ciało zmarłego mieszczanina z Kazimierza na mszę pogrzebową. „Zawołał do Najśw. Matki mąż ten święty – pisał Kacper Niesiecki, autor „Herbarza Polskiego" – »Monstra te esse Matrem« [Okaż, że jesteś matką – przyp. T.S.], a potem trupa za rękę wziąwszy, podniósł i żywego oddał". W 1522 r. utopił się w Wiśle trzyletni chłopiec. „Ledwo w trzy dni trupa znaleziono, ale i ten ofiarowany do grobu bł. Michała Giedroycia cudownie ożył" – pisał ks. Jaroszewicz.

W 1487 r. Anna Zawołowska została śmiertelnie pchnięta nożem w pierś i skonała na miejscu. „Polecona od strapionych rodziców bł. Janowi z Dukli, jak ze snu zdrowa wstała". Dziesięć lat później dwuletni syn ormiańskiego kupca we Lwowie, widząc, jak kucharka zarzyna kury, wziął nóż i podciął gardło półrocznemu bratu, po czym przerażony tym, co zrobił, sam się zabił tym nożem. Zrozpaczeni rodzice zanieśli ciała obu synów do grobu Jana z Dukli, „skąd z podziwieniem wszystkich zdrowych przynieśli do domu".

Uderzające jest, że wskrzeszenia dotyczyły głównie osób zmarłych nagłą

eprasa.pl 016ae519f9

śmiercią, także noworodków i dzieci, nie zaś tych, które zmarły w dojrzałym wieku lub w starości z powodu choroby. Tak jakby cud miał naprawić rażącą niesprawiedliwość losu. Gdy zmarł trzyletni syn Stanisława Piotrowskiego, szlachcica z ziemi czerskiej, rodzice zawieźli ciało do Warszawy, do grobu Władysława z Gielniowa. „Otworzyło dziecię oczy i przemówiło do rodziców i zdrowe zanieśli do domu i Bogu dziękowali".

Księżna Kinga, wdowa po Bolesławie Wstydliwym, późniejsza święta, odmówiła jednak wstawiennictwa za zmarłym jej kuzynem, Andrzejem. Uciekł z Węgier do Polski, ale tu został utopiony w Nidzie przez ludzi swego brata. Ciało przywieziono do klasztoru Klarysek w Starym Sączu, w którym mieszkała Kinga. Modliła się przy zmarłym, a zakonnice widziały „pewne znaki ożywienia", jednak zauważywszy je, Kinga powiedziała do Andrzeja: „Leż, leż w spokoju" i symptomy życia ustały. Pytano ją, dlaczego nie pozwoliła mu ożyć. Księżna odpowiedziała, że Andrzej nie zmarł w grzechu śmiertelnym, w który – nadal żyjąc – mógłby wpaść. Poza tym objawił jej Bóg, że z powodu Andrzeja nastąpiłby rozlew krwi. Kinga stwierdziła też, że gdyby cud wskrzeszenia nastąpił, mogłaby wpaść w pychę, a tego sobie nie życzyła.

Bardzo rzadko odnotowywane były takie przeciwne znanym prawom natury zjawiska jak lewitacja i bilokacja. Władysław z Gielniowa, który bardzo przeżywał treść wygłaszanych przez siebie kazań, w warszawskim kościele św. Anny, gdy w Wielki Piątek 1505 r. mówił o biczowaniu Chrystusa, wpadł w ekstazę i trzykrotnie powtórzył: „O Jezu! O Jezu! O Jezu mój kochany!", po czym „podniesiony był nad ambonę i długo tak na powietrzu wisząc, ze zdumieniem patrzących, nic nie mówił, utopiony w samym Bogu". Gdy wreszcie dotknął ziemi, zemdlał. Wysiłek egzaltacji i lewitacji był tak wielki, że bernardyn zaniemówił i wkrótce zmarł.

Anna Kossakowska, benedyktynka, otrzymała – jak pisał ks. Jaroszewicz – „dar zachwycenia od Boga", gdyż „ją raz jeden zakonnica klęcząca na modlitwie podniesioną od ziemi upatrzyła, co przed swoją śmiercią pod sumieniem, przed niektórymi zeznała". Jutę z Chełmży (ok. 1220–1260) podczas modlitwy otaczała dziwna światłość i widziano ją „podniesioną w górę przez dwie godziny".

W dziele ks. Jaroszewicza odnotowany jest jeden tylko przykład bilokacji. Dotyczyła ona jezuity Marcina Tyrawskiego (1621–1684), cieszącego się sławą uzdrowiciela. „Na różnych i od siebie odległych miejscach jednego czasu był widziany".

Niektóre zdarzenia uznane za cudowne miały zawieszać albo przywracać działanie praw fizyki. Paulin Stanisław Oporowski (ok. 1501–1552) był na budowie kościoła w rodzinnym Oporowie, gdy murarze stawiali krzyż na wieży. Jeden z nich zaczął spadać, lecz dzięki modlitewnemu westchnieniu zakonnika, zawisnął w powietrzu, a potem wolno opadł na ziemię. Adam Miecznikowski, sławny egzorcysta za czasów Zygmunta III, został wezwany do folwarku dominikanów, gdzie młyn „szatańską sztuką zepsuty" działał tak, że koła „wspak się obracały". Zaczął się modlić i po chwili „z wolna zaczęły się koła wodzie poddawać, za trzecim razem z wodą bieżały".

Znaki świętości

Groby zmarłych w opinii świętości otaczała czasami jasność. Widziano ją w kościele św. Katarzyny w Krakowie, szczególnie w 1479 r., osiem lat po śmieci Izajasza Bonera tam pochowanego, a także przy otwartym 120 lat po śmieci grobie królewicza Kazimierza Jagiellończyka w katedrze wileńskiej odnotowano „nieziemską światłość".

Za oznakę świętości zmarłych poczytywano przyjemną woń, którą zaraz po śmierci i wiele lat później wydzielały ich ciała. W 1444 r. otwarto grób biskupa krakowskiego Jana Prandoty, zmarłego w 1266 r., zebrani poczuli wówczas „wielką wonność niewypowiedzianej słodkości, która przez cztery dni trwała i wielu różnych chorych swym zapachem uzdrawiała" – pisał Piotr Hiacynt Pruszcz w dziele „Forteca monarchów i całego Królestwa duchowna" (1737 r.).

Za jeszcze większy dowód świętości uznawano brak rozpadu ciała. W 1734 r. było widziane w kościele w Sandomierzu „w całości i białości" ciało sakramentki Teresy Morsztynówny zmarłej 36 lat wcześniej. W 1743 r. żona Augusta III oglądała „nieskażone ciało" karmelitanki bosej Beaty Konstancji Myszkowskiej (1563–1627).

Nie wszyscy jednak uważali zachowanie się w stanie nienaruszonym ciała zmarłego za dowód jego świętości, wręcz przeciwnie, niekiedy przypisywano to złym mocom.

Gdy ciało Anny Omiecińskiej, zmarłej w 1731 r., nie rozpadało się po śmierci, „więc że nie można wybić z niektórych głów zdania o upiorach – opowiadał ks. Jaroszewicz – poświęcono wodę św. Ignacego i wlano ją w trumnę Anny, smołą oblaną, tak że cała w niej pływała". Mimo wilgoci ciało nadal nie wykazywało oznak rozkładu. Świątobliwa Omiecińska ukazała się wkrótce ks. Pawłowi Giżyckiemu, z wyrzutem: „Pókiż będę leżała w tej kąpieli?". Wodę wylano. Autor dzieła „Matka Świętych Polska..." widział ciało Omiecińskiej 17 lat po jej śmierci „nic niezepsute". Oglądał też zachowane „nieskazitelne" ciało Krystyny od św. Michała, karmelitanki bosej, która zmarła w opinii świętości w 1628 r., 134 lata po jej śmierci. Stwierdził, że „było jak żywe tak dalece, że ręce i ramiona mogły się na każdą stronę obrócić".

Bywały przypadki, że z ciała zachowały jedynie się ręce i nie bez powodu. Był to m.in. przypadek teologa, franciszkanina Chryzostoma Dobrosielskiego (1605–1676). „Ręka prawa, którą pisał zbawienne nauki, przez długi czas bynajmniej była nieskażona". Zachowała się też ręka Tomasza Zieleńskiego, świątobliwego świeckiego. Gdy prawie 40 lat po śmierci otwarto grób w Zieleńcu, okazało się, że ciało uległo rozpadowi, w całości zachowała się ręka „podobno dla jałmużn świętych, które nią hojnie dawał ubogim" – pisał XVII-wieczny autor, ks. Jacek Pruszcz.

Kult wielu świątobliwych osób trwa od wieków, a towarzyszą im łaski i cuda za ich wstawiennictwem. Stanisław Kazimierczyk został beatyfikowany w ponad 500 lat od śmierci, w 1993 r. i kanonizowany w 2010 r. „Wiele pytań nadal pozostaje otwartych – stwierdzał Jakub Pawlikowski, profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. – Czy cud jest wynikiem ograniczoności naszego poznania czy znakiem innej rzeczywistości? Czy wiara stwarza cud czy też pozwala tylko na jego dostrzeżenie? Co wpływa na to, że jedni doznają uzdrowienia, a inni nie? Dla chorych ważniejsze jest jednak pytanie o to, jak doświadczyć cudu, aby odzyskać zdrowie, gdy medycyna już nie pomaga. Dlatego wierzą, modlą się i pielgrzymują".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 016ae519f9

1896–1981 / Wacław Drojanowski i inni solidarni piłsudczycy

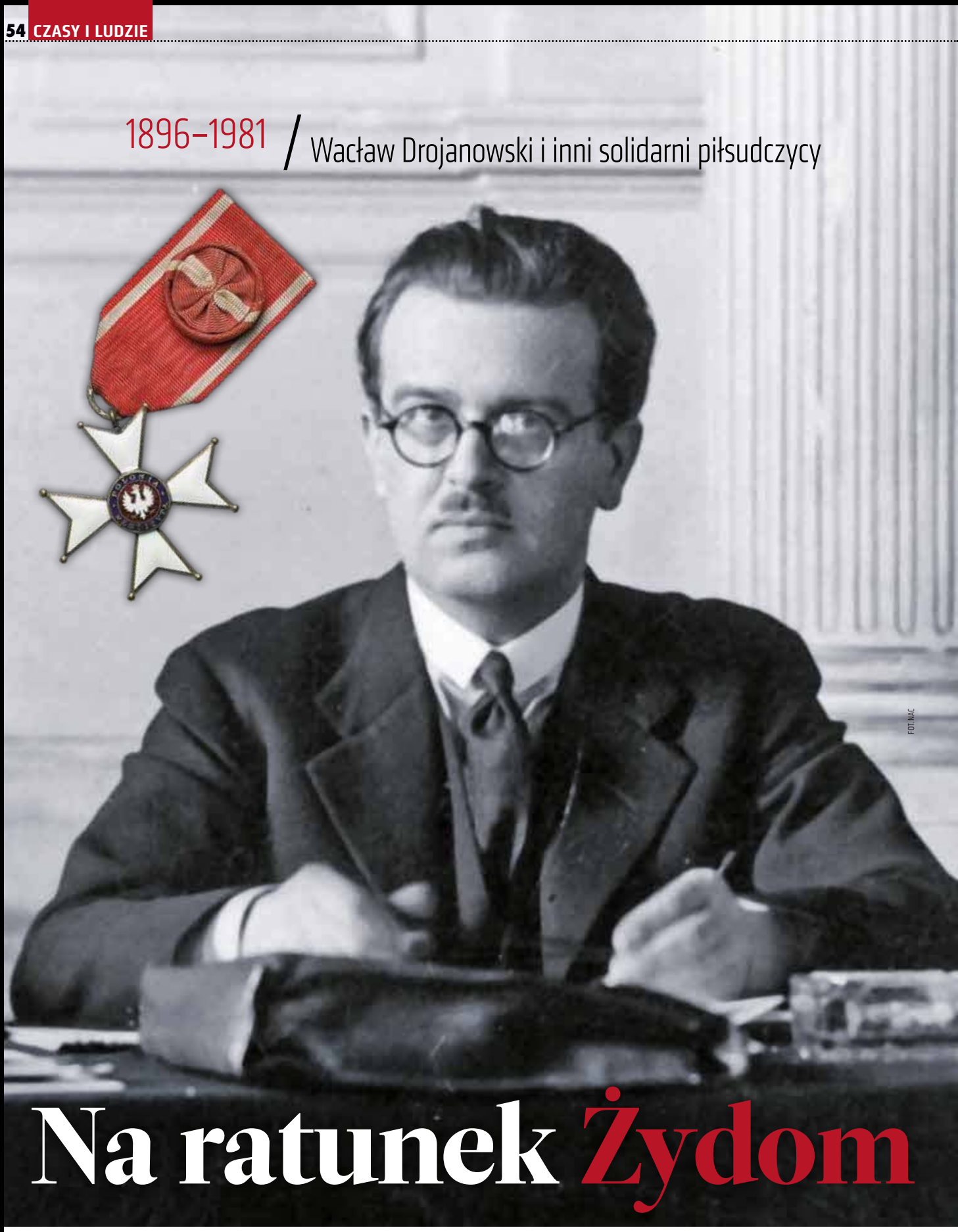

FOT. NAC

Na ratunek Żydom

eprasa.pl 016ae519f9

Marek Gałęzowski

Świadectwa Żydów uratowanych przed Niemcami nie wpływały na obniżenie drakońskich wyroków, wydawanych w PRL na działaczy konspiracji niepodległościowej

W pierwszych dniach stycznia 1948 r. mieszkająca w Łodzi dr Wanda Czaban napisała w liście do Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie, że kiedy podczas wojny ukrywała się przed Niemcami w okupowanej stolicy, goszcząca ją osoba, obawiając się o swoje życie, po pewnym czasie poprosiła ją o znalezienie innego schronienia. Wówczas jednak brat kobiety ukrywającej dr Czaban, „który uważał, że pomoc osobom prześladowanym przez Niemców jest obowiązkiem obywatelskim", przekonał siostrę, by dr Czaban mogła pozostać nadal w jej mieszkaniu. Człowiekiem, który w sprawie decydującej o życiu odegrał tak szlachetną rolę, był wybitny działacz konspiracji piłsudczyków ppłk Wacław Lipiński. W pomoc Polakom pochodzenia żydowskiego zaangażowały się także inne osoby, w czasie okupacji niemieckiej związane z działalnością podziemnych organizacji piłsudczykowskich. Jedną z nich był Wacław Drojanowski.

Prezydent Lwowa

Pochodził z Mławy, tam spędził młodość i tam po zakończeniu swojego długiego życia, na początku lat 80. XX w., został pochowany. Kilkadziesiąt lat wcześniej, po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Poznańskim, ledwie ukończywszy 30 lat, wyjechał na Wołyń, gdzie wkrótce objął stanowisko prezydenta Kowla, później starosty powiatowego we Włodzimierzu Wołyńskim, a w 1930 r. został mianowany przez Henryka Józewskiego wicewojewodą wołyńskim. I chociaż pozostawał na tym stanowisku zaledwie rok, to przyjaźń, którą wówczas zawarł z tym bliskim współpracownikiem Józefa Piłsudskiego, a swoim bezpośrednim przełożonym, przetrwała także w czasie okupacji niemieckiej, a później zniewolenia komunistycznego – Drojanowski wspierał w działalności konspiracyjnej tego wybitnego piłsudczyka.

Z Wołynia przeniesiono Drojanowskiego do Lwowa, gdzie przez pięć lat sprawował funkcję komisarycznego prezydenta miasta. „Lwów pod rządami p. Drojanowskiego – opartego o rzeczową współpracę szeregu jednostek miastu rzetelnie oddanych – przestał upadać. Zaczął bezspornie wykazywać tendencje dźwigania się w zmienionych całkowicie warunkach. Poszczególne dziedziny gospodarki miejskiej wykazują rezultaty często imponujące […]. Te wszystkie rzeczywiście pozytywne rezultaty mogły być osiągnięte głównie dzięki zmysłowi inicjatywy, prawości, fachowości, przygotowaniu i społecznej indywidualności prez. Drojanowskiego" – pisano w „Nowych Czasach". „Ustępujący prezydent był wzorowym gospodarzem miasta i pracą swoją dobrze się zasłużył Lwowowi […]. Były prezydent Lwowa był jako człowiek zjawiskiem wysoce etycznym, reprezentował on typ człowieka o charakterze wyjątkowo silnym i pięknym. Posiadał tę pełnię zalet charakteru, którą określa słowo: virtus. Wybitna indywidualność, męski, prawy charakter i na wskroś uczciwy stosunek do swoich obowiązków publicznych – oto znamiona tej wielkiej cnoty obywatelskiej" – charakteryzowano Drojanowskiego w innym artykule, zamieszczonym w tym piśmie. Przeniesiony następnie służbowo do Warszawy na prośbę ministra skarbu i wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, z czasem został dyrektorem Okręgowej Izby Skarbowej.

Kierowanie Izbą okazało się szczególnie pożyteczne w czasie okupacji niemieckiej. Drojanowski był jednym z inicjatorów opracowania spisu majątku przechowywanego w skarbcu Izby (zawierającego m.in. depozyty sądowe) oraz ukrycia go przed Niemcami. Jak pisał Cezary Chlebowski, podjęcie tej akcji pozwalało „nieść pomoc jednocześnie w wielu środowiskach i grupach społecznych wśród artystów i dziennikarzy, pisarzy, w sądownictwie, prokuraturze, wśród więźniów, w szpitalach i obozach jeńców, dokąd zainicjowano wysyłanie paczek". Ta forma wsparcia polskiej inteligencji trwała aż do sierpnia 1942 r., po czym pozostałość funduszu przekazano na potrzeby Armii Krajowej.

Schronienie dla rodziny Róży Luksemburg

Nieporównanie bardziej niebezpieczny był udział byłego prezydenta Lwowa w akcji legalizacyjnej, tj. w wyrabianiu fałszywych dokumentów dla osób ukrywających się przed Niemcami. Byli wśród nich obywatele polscy pochodzenia żydowskiego. Drojanowski nie tylko przekazywał im odpowiednie dokumenty, lecz także pilotował te osoby, które musiały opuścić Warszawę. Niezależnie od tego w mieszkaniu swoich sióstr ukrył brata i dalszą rodzinę Róży Luksemburg.

Przeszło 10 lat później pisała na ten temat Stefania Luxemburg: „Oświadczam niniejszym, że mąż mój – rodzony brat Róży Luksemburg – w czasie okupacji był wielokrotnie poszukiwany przez władze okupacyjne. Wacław Drojanowski na wiadomość o grożącym niebezpieczeństwie memu mężowi, z narażeniem własnego życia, kilka razy wynajdywał bezpieczne schronienia i osobiście go przeprowadzał, co było połączone ze szczególnymi trudnościami, gdyż mąż mój był już wówczas poważnie chory i liczył ponad 80 lat. Ponieważ nigdy nie chciałam rozłączyć się z moim mężem, więc te wszystkie zabiegi odnosiły się również i do mojej osoby. Wacław Drojanowski zawsze nam spieszył z pomocą, ilekroć znajdowaliśmy się w niebezpieczeństwie, oczywiście zupełnie bezinteresownie, nie mając żadnych obowiązków wobec nas, zdając sobie sprawę z grożących mu represji, ze względu na nasze bliskie pokrewieństwo z Różą Luksemburg […]. Mąż mój zmarł spokojnie dnia 5 czerwca 1943 r. […] Możliwość naturalnej śmierci mego męża w warunkach ludzkich zawdzięczam tylko pomocy i serdecznej opiece Wacława Drojanowskiego".

Wiosną 1944 r. Drojanowski został aresztowany przez Niemców. Zatrzymali oni wcześniej jedną z osób, której

eprasa.pl 016ae519f9

dostarczył fałszywe dokumenty, a ta podczas przesłuchania wymieniła jego nazwisko. Uwięziono go na Pawiaku. W przededniu wybuchu powstania dzięki staraniom wybitnego reżysera teatralnego Wilama Horzycy (również zaangażowanego w konspirację piłsudczykowską, aczkolwiek w środowisku przeciwnym grupie Józewskiego, który znał Drojanowskiego z przedwojennego Lwowa) i Maurycego Potockiego, popartym dużą łapówką, udało się go uwolnić z łap gestapo.

Uroczystość przejęcia urzędu prezydenta Lwowa przez Wacława Drojanowskiego (x) od Jana Brzozowskiego (xx), 1931 r. FOT. NAC

Oskarżony o udział w „bandzie"

Po wojnie Drojanowski pracował w administracji Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, a później w Polskim Towarzystwie Astronomicznym. Nadal współpracował z Henrykiem Józewskim, którego uważał za jednego z najbliższych sobie ludzi. Kolportował wydawane przez niego pismo konspiracyjne „Polska Niezawisła", a następnie pomagał dawnemu wojewodzie w ukrywaniu się przed komunistami, m.in. wyrabiając mu nową metrykę urodzenia na nazwisko Przemysław Pawłowicz, dostarczał też fałszywe dokumenty ściganym przez komunistyczny aparat przemocy łączniczkom Józewskiego.

Został aresztowany w lutym 1954 r. Oskarżono go o „udział w działalności kontrrewolucyjnej organizacji założonej i kierowanej przez Józefskiego Henryka", w której „kolportował kontrrewolucyjną prasę wydawaną przez Józefskiego p.n. »Polska Niezawisła«, a ponadto wykonał szereg poleceń otrzymanych od herszta bandy Józefskiego Henryka, wykonanie których umożliwiło długotrwałą działalność Józefskiego i innych członków bandy". W szczegółowych punktach oskarżenia zarzucano Drojanowskiemu przechowywanie książek, których treść mogła „wyrządzić szkodę interesom Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej". Jakież to były książki? Eugeniusza Kwiatkowskiego „Przez zjednoczenie ku potężnej Polsce" – według orzeczenia Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Warszawie – „credo programowe ozonu. Zawiera apologię rządów sanacji, faszyzmu włoskiego, propaguje faszystowskie metody rządzenia". Dalej – socjalisty Leona Wasilewskiego „Świat po wielkiej wojnie" – „publikacja wybitnie antyradziecka szkaluje ZSRR, oskarżając go o zaborczość". I wreszcie Jana Kucharzewskiego „Od białego do czerwonego caratu" – „książka napisana z pozycji skrajnie reakcyjnych. Autor usiłuje w niej przeprowadzić tezę, że Wielka Rewolucja Socjalistyczna była przewrotem ciemnych, barbarzyńskich mas ludowych Rosji, które wiekami trzymane w niewoli, odcięte od jakichkolwiek źródeł cywilizacji wyzwoliły się w postaci żywiołowego niszczycielskiego buntu".

Te „winy" miały uzasadniać skazanie Drojanowskiego na osiem lat więzienia. Jego adwokat Mieczysław Maślanko odwołał się od tego wyroku, dołączając do swojej skargi rewizyjnej prośby Żydów, uratowanych w czasie okupacji przez Drojanowskiego, na czele z cytowanym już oświadczeniem Stefanii Luxemburg. Skarga rewizyjna adwokata została uwzględniona i sprawę przekazano do ponownego rozpatrzenia. Ostatecznie w końcu 1954 r. Drojanowskiemu obniżono karę o połowę. Było to już po śmierci Stalina, niewiele już życia pozostało także jego warszawskiemu namiestnikowi, co nie pozostało bez pewnego, niewielkiego zresztą jeszcze wpływu na złagodzenie okrucieństwa komunistycznego sądownictwa. Więcej też było niż wcześniej głosów broniących prześladowanych, nawet jeżeli brzmiały one dość groteskowo, jak w wypadku dwóch opinii, które miały wspierać linię obrony Drojanowskiego: „W okresie okupacji wrogiej działalności przeciwko PRL nie przejawiał [...]. Opinią w miejscu zamieszkania cieszy się dobrą, bardzo spokojny, nie pije, do obecnej rzeczywistości ustosunkowany pozytywnie" – pisano do warszawskiego UB z jednego z mokotowskich komisariatów Milicji Obywatelskiej. Z kolei ostatni pracodawca Drojanowskiego z Polskiego Towarzystwa Astronomicznego podkreślił, że ten „przez całokształt swej pracy przyczynił się walnie do krzewienia wśród najszerszych warstw społeczeństwa województwa warszawskiego materializmu dialektycznego, któremu astronomia toruje drogę".

Mimo wspomnianych opinii prokurator wniósł o utrzymanie poprzedniego wyroku, pisząc m.in., że „skazany świadomością swą obejmował, iż Józefski prowadzi nadal działalność kontrrewolucyjną i chociażby działał Drojanowski ze względów czysto humanitarnych, to musiał on przewidywać i godzić się z tym, że wyrabiając dokumenty, zakupując za własne pieniądze żywność, leki

eprasa.pl 016ae519f9

i ubranie dla Józefskiego, dostarczanie książek, zapewnienie odpowiednio zakonspirowanych kwater i przechowywanie rękopisów jest niewątpliwie wydatną pomocą dla Józefskiego i jego grupy, pozwala na głębszą konspirację, aktywniejszą działalność i utrudnia ich ujęcie przez władze BP [bezpiekę – przyp. M.G.], a więc stanowi pomoc w działalności kontrrewolucyjnej". Wyroku jednak nie zmieniono, a trzy miesiące później ciężko chory Drojanowski otrzymał przerwę w karze i do więzienia już nie wrócił.

Uratowani dla solidarnych

Świadectwa Żydów uratowanych przed Niemcami nie wpływały na obniżenie drakońskich wyroków, wydawanych na działaczy konspiracji niepodległościowej. Tak było w wypadku Kazimierza Gorzkowskiego, którego historię przedstawiliśmy w jednym z poprzednich numerów „Historii Do Rzeczy" i rodzeństwa Marii i Janusza Sipayłłów, podobnie jak Drojanowski związanych z działalnością Henryka Józewskiego. Oboje ukrywali Jadwigę Zielińską, a Janusz (i jego żona Ewa Bogdani) adwokata Władysława Winawera z żoną Marią i córką Janiną. Janusz został za to odznaczony w 1998 r. Medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata". Pośmiertnie, ponieważ zmarł prawie 40 lat wcześniej, wkrótce po opuszczeniu komunistycznego więzienia, gdzie ciężko zachorował na gruźlicę.

Najbardziej może wymownym przykładem, że ratowanie polskich Żydów nie wpływało na obniżenie bardzo wysokich kar więzienia, wydawanych przez władze komunistyczne, była sprawa wspomnianego już ppłk. Lipińskiego, w grudniu 1947 r. skazanego na karę śmierci. Poza wspomnianym listem Wandy Czaban w jego obronie głos zabrała również Aleksandra Neumark: „Nigdy nie pozostawał obojętny na krzywdę i niedolę ludzką. Wykazywał ten obywatelski stosunek do ludzi bez względu na ich pochodzenie, zwłaszcza w […] czasach okupacji niemieckiej". Przykładem było okazanie pomocy moralnej i materialnej jej mężowi oraz dostarczenie odpowiednich papierów, które pozwoliły mu przeżyć wojnę. Podobne oświadczenie wydała Lucyna Krakowska, stwierdzając, że Wacław Lipiński ukrywał jej męża Mieczysława, po jego ucieczce z getta w lipcu 1942 r., ponosił wszelkie związane z tym koszta.

Pomimo tych oświadczeń Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał w mocy wyrok wydany na Lipińskiego. Sędziowie wykazali się przy tym wybitną perfidią – postanowili bowiem zastosować przepisy o amnestii do kary z dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa i obniżyć ją z 12 do 8 lat, przy utrzymaniu wymiaru kary łącznej. Wobec odrzucenia skargi rewizyjnej adwokat Lipińskiego – Mieczysław Maślanko, ten sam, który bronił Drojanowskiego, wystąpił do ostatniej już instancji mogącej zmienić wyrok – Bolesława Bieruta. Do swojej prośby załączył oświadczenia Wandy Czaban, Aleksandry Neumark i Lucyny Krakowskiej. Należy to szczególnie podkreślić, ponieważ oprócz tych trzech kobiet i rodziny Lipińskiego (a żadna z nich nie była osobą publiczną), w jego obronie nie wystąpił prawie nikt. Zabrakło głosu kogokolwiek ze środowiska polskich historyków (do którego Lipiński od wielu lat przynależał), a także w ogóle z szeroko pojętego świata kultury, tak aktywnego w obronie demokracji w okresie rządów obozu sanacyjnego, w czasach komunistycznego zniewolenia wołającego zaś o pokój – pojmowany jednak zgodnie z sowieckim rozumieniem tego pojęcia jako jedno z wielu narzędzi ekspansji ZSRS.

Prawie nikt, gdyż do Bieruta zaapelował o złagodzenie wyroku Aleksander Bocheński, znany przed wojną publicysta związany z konserwatywną grupą „Buntu Młodych", a wówczas poseł na Sejm Ustawodawczy, współpracujący ze środowiskiem Bolesława Piaseckiego. Drugą osobą był Julian Tuwim, do którego niezależnie od Maślanki udała się dr Czaban, wraz z oświadczeniem, podpisanym przez grupę inteligencji pochodzenia żydowskiego z Łodzi, rodzinnego miasta Lipińskiego (Tuwim znał zresztą rodzinę Lipińskich z dzieciństwa). W obecności dr Czaban poeta miał zadzwonić do Bieruta i po krótkiej rozmowie oświadczyć, że kara śmierci zostanie Lipińskiemu

zmieniona na dożywotnie więzienie. Tak się stało, lecz już w następnym roku ten wybitny działacz niepodległościowy i bohater obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. zginął w więzieniu we Wronkach.

Wypadków ratowania polskich Żydów przez ludzi działających w konspiracyjnych organizacjach piłsudczykowskich, niemal zawsze będących równocześnie żołnierzami Armii Krajowej, a często powojennego podziemia niepodległościowego, było więcej. Warto pamiętać o każdej z tych postaw, przeciwstawiających się barbarzyństwu i będących przekonującym dowodem ludzkiej prawości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 016ae519f9

Maciej Rosalak

„Mir" oznacza po rosyjsku zarówno „pokój", jak i „świat". Terminem „ruski mir" Rosjanie określają swoje imperium. Jego odbudowa zamyka sąsiadom wolny świat, a pokoju nie przynosi...

Z oburzeniem i grozą, a także ze współczuciem dla niewolonych, torturowanych, gwałconych i bestialsko mordowanych dzieci, kobiet i mężczyzn patrzymy na to dziś, na Ukrainie. W gruzy obracane są miasta, szkoły, uczelnie i szpitale, wróg niszczy fabryki, elektrownie i kopalnie, nieobsiane czarnoziemy nie dadzą tego roku najobfitszych na Ziemi zbiorów. Nasi ukraińscy sąsiedzi tracą dorobek całych pokoleń, osiągnięty zwłaszcza ostatnio, kiedy nareszcie zaczęli przezwyciężać postsowiecki marazm, korupcję i penetrację szemranego kapitału moskiewskiego. Kilka milionów Ukraińców, głównie kobiet z dziećmi, uszło na zachód przed strasznym losem rodaków cierpiących pod okupacją rosyjską. Kiedy to piszę, większość uchodźców – ok. 3 mln – znalazło serdeczną gościnę w Polsce.

Oto „ruski mir" w praktycznym, polityczno-militarnym zastosowaniu przez władze moskiewskie. Taką nazwę nosi założona 15 lat temu fundacja kulturalna, ale jest to pojęcie starsze, o znacznie szerszym znaczeniu, a uosabia je Władimir Władimirowicz Putin. Obecnie prezydent Federacji Rosyjskiej, od 22 lat trzymający ster władzy na Kremlu, czy to jako prezydent czy jako premier, w latach 2008–2012 wysunął na stanowisko głowy państwa – dla zachowania konstytucyjnych pozorów – Dmitrija Anatoljewicza Miedwiediewa. Aby zostać prezydentem po raz trzeci, po prostu zmienił konstytucję. Jest faktycznie niepodzielnym władcą Rosji, takim, jakimi od Iwana III Srogiego (przełom wieków

XXI w. / Putin – spadkobierca chanów, carów i Stalina

Ruski mir

eprasa.pl 016ae519f9

Cyryl i Putin, czyli nowe wcielenie moskiewskiego bizantynizmu

FOT. ALEXANDER ZEMLIANICHENKO/AP/EAST NEWS

XV i XVI) do rewolucji lat 1905–1907 byli carowie moskiewscy, jakim od lat 30. XX w. do śmierci w 1953 r. był Józef Stalin, a potem do roku 1989 starali się zostać kolejni generalni sekretarze KC KPZR.

Jedynowładztwo zapewnia Putinowi wierność dawnego aparatu policji politycznej (niedawnych towarzyszy z KGB; obecnie w FSB), terror – ze skrytobójstwami włącznie – wobec wyrażających sprzeciw, kaganiec założony wolnym mediom oraz poparcie ponad połowy Rosjan bezkrytycznie przyjmujących miłą ich sercom wielkomocarstwową retorykę władz, jej imperialne poczynania, i mających przy tym regularnie wypłacane niewielkie zarobki oraz emerytury, co faktycznie zdarzało się rzadko, zanim nastały rządy Władimira Władimirowicza. Czasy poprzednika – Jelcyna – wspominają natomiast jako okres bałaganu, biedy i upadku znaczenia Rosji w świecie. Putin nie bawił się w jakieś przekraczające rosyjską wyobraźnię eksperymenty z demokracją, jawnością i decentralizacją. Potrafił „wziąć za mordę" nazbyt samodzielnych kacyków odległych prowincji oraz oligarchów, którzy rozkradli należącą do państwa masę upadłościową po Związku Sowieckim. Kto nie dzielił się majątkiem i zyskiem z władzą – paszoł won! Kończyli na wygnaniu, w łagrze lub od razu w grobie.

Zresztą już początek jego drogi na Kreml usiały dziesiątki tysięcy trupów mordowanych Czeczenów i setki rosyjskich mieszkańców bloków mieszkalnych, wysadzanych przez funkcjonariuszy FSB podszywających się pod „czeczeńskich terrorystów". Potem przyszły kolejne zbrojne najazdy Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Dotknęły one Gruzję, której zabrano abchaską i osetyńską ziemię (2008); Ukrainę (2014), gdzie dokonano zaboru i anektowania Krymu oraz utworzono „samodzielne republiki" Doniecka i Ługańska; Syrię (od 2015), którą potraktowano jak poligon – na którym wyszkolono rotacyjnie prawie 50 tys. żołnierzy – w równaniu z ziemią niepokornych miast i w znęcaniu się nad mieszkańcami.

Identyczną „taktykę" stosują obecnie Rosjanie na Ukrainie. Gdy z końcem tegorocznej zimy takim bandom zwanym wojskiem przyszło zmierzyć się ze skutecznym oporem bohaterskich, znakomicie posługujących się nowoczesną bronią Ukraińców – mit o niezwyciężonej dziedziczce Armii Czerwonej pękł jak bańka mydlana. To chyba szczególnie zraniło Władimira Władimirowicza, który legendę wspaniałego zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej uczynił gruntem gruntownie zmyślonej polityki historycznej, która dominuje w koncepcji „ruskiego miru".

Z synem Mołotowa

Ów „ruski mir" – pisany po rosyjsku „russkij mir"; po polsku oznaczający „ruski świat" – w 2007 r. Putin uczynił nazwą fundacji wspierającej wielkorosyjskie ideały. Są to: prawosławie podległe nie tylko kanonicznie, lecz także duchowo Patriarchatowi Moskiewskiemu, wspólnota języka i kultury oraz pamięć historyczna, obejmująca zarówno czasy Rusi Kijowskiej i Wielkiego Księstwa Moskiewskiego Rurykowiczów, imperium Romanowów, jak i Związek Sowiecki. Obszar współczesnej Rosji, Ukrainy i Białorusi stanowi Świętą Ruś, czyli terytorialne jądro znacznie większego systemu, w którym znajdują się nie tylko mieszkańcy Federacji Rosyjskiej i nie tylko Rosjanie rozproszeni na terenach byłego Związku Sowieckiego, lecz także wszyscy prawosławni z Ukrainy, Białorusi, Mołdawii oraz Kazachstanu.

Fundacją Ruski Mir kieruje wnuk Wiaczesława Mołotowa – dr Wiaczesław Nikonow. Nie mamy podstaw do podejrzeń, że jest odstępcą od ideowych i politycznych przekonań swego dziadka. Nauka języka rosyjskiego i studiowanie rosyjskiej kultury przez inne nacje stanowi dobry wstęp do zbliżenia i podzielania poglądów obecnej władzy w Moskwie. Powstało 90 ośrodków fundacji w 41 krajach. „Rosyjski Świat" sięgnął nie tylko do prawosławnych krain zachodnich Bałkanów, z Serbią na czele, lecz także do nas – po rozpoczęciu najazdu na Ukrainę ukazały się w Internecie znamienne komunikaty, np. Centrum Edukacyjnego Techniki w Słupsku oraz miejskiej biblioteki tego miasta o rezygnacji ze współpracy z tą agendą Kremla. Podobną informację opublikował UMCS w Lublinie.

Z „ruskim mirem" identyfikował się od początku i identyfikuje się nadal patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl, dla którego nie liczy się zbrodniczy charakter ofensywy rosyjskiej, lecz dążenie do sprowadzenia prawosławnej Ukrainy

eprasa.pl 016ae519f9

na łono Świętej Rusi. Rodzą się pytania: Jak Cyryl może popierać agresję Putina, a jednocześnie głosić ewangeliczną miłość bliźniego? Czy nadal czuje się bardziej agentem sowieckiego KGB, którym był, czy raczej przewodnikiem duchownym 300 mln chrześcijan, do czego rości sobie prawo? To są, być może, pytania zbędne. Patriarcha Cyryl niejeden raz podkreślał, że nazwa „Rosyjski Kościół Prawosławny" nie odnosi się tylko do kategorii etnicznych, lecz także jest warunkowana szerszą koncepcją duchowości ukształtowanej w ciągu wieków przez rosyjskie prawosławie. Typowi nosiciele owej duchowości – sprawiający zresztą wrażenie, że są w zażyłej przyjaźni: Cyryl i Putin – musieli czuć się dotknięci po nadaniu w styczniu 2019 r. Cerkwi Prawosławnej Ukrainy statusu autokefalicznego, czyli po zniesieniu jej podległości wobec patriarchatu moskiewskiego.

Identyfikacja Putina z prawosławiem zapewne polega głównie na konieczności zastąpienia skompromitowanej ideologii bolszewizmu sprawdzoną od tylu wieków w Moskwie religią. A tu – autokefalia! Decyzja Patriarchatu Konstantynopolitańskiego o uznaniu kijowskiej Cerkwi za jedyny Kościół prawosławny na Ukrainie dla Cyryla jest mniej więcej tym samym, co dla Władimira Władimirowicza oznaczałoby przyjęcie państwa ukraińskiego do paktu północnoatlantyckiego.

A wracając do mętnej koncepcji duchowości wielkoruskiej, to starał się ją propagować („Od Rusi do Rosji") historyk Lew Gumilow, teoretyk eurazjatyzmu i entuzjasta związków książąt średniowiecznej Moskwy ze Złotą Ordą. Ów syn znanych rosyjskich poetów tzw. srebrnego wieku – Anny Achmatowej i Nikołaja Gumilowa – prześladowanych przez reżim bolszewicki (ojca rozstrzelali w 1921 r. czekiści), sam też spędził w łagrach całe lata przed drugą wojną światową i po niej. A jednak, mimo stalinowskich prześladowań, jego pisarstwo historyczne jest nasycone wielkoruskim duchem „ruskiego miru". Ten rys moskiewskiej psychiki widział m.in. Józef Piłsudski u towarzyszy niedoli – zesłanych na Syberię socjalistów rosyjskich – a nie krył się z nim również czołowy obecnie antyputinowski dysydent Aleksiej Nawalny.

Ci skądinąd sympatyczni ludzie pomijają fakt, że Rosja od paru stuleci uznawana jest za „więzienie narodów", a niejednokrotnie stawała się także – jak dziś – „cmentarzem narodów", o czym my, Polacy, wiemy najlepiej. To smutne, ale wydawać się może, że niemal każdy Rosjanin jest wielkoruskim imperialistą. Nie myślmy, że rodzi się z tą przypadłością, choć na to wygląda. Takim się staje w wyniku wychowania przez rodziców, pouczeń takich popów jak patriarcha Cyryl (w ZSRS pouczali aktywiści komsomołu), podręczników i nauczycieli w szkole oraz sugestywnej, na dalekiej prowincji często bezalternatywnej, propagandy kremlowskiej. Nośne i brzmiące pokojowo hasło „ruski mir" oznacza, po prostu, imperializm moskiewski.

Mir typu hard

Nie jest tak, że brutalny imperializm musi kroczyć drogą podboju innych krajów. W każdym razie nie zawsze, nie wyłącznie lub nie od razu. Taki jest w wersji hard (po polsku: twardej, mocnej, silnej), która sprowadza się do otwartej agresji siły zbrojnej lub wysoce prawdopodobnej groźby jej użycia. Podczas rządów Putina wdzieliśmy już kilka takich agresji (patrz: wyżej). Inną zbrodniczą formą jest mordowanie tych, którzy się narazili. Terror wobec Rosjan przybiera w setkach (!) wypadków formę skrytobójczych morderstw. W Rosji zabijani są na ogół przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego, m.in. dziennikarze (zamordowano ich ponad 300), działacze, politycy. Morderstwa polityczne uznawane są przez Kreml za użyteczne, gdyż są ciosem w społeczeństwo obywatelskie, osłabiają je i dezintegrują, a inni ludzie boją się protestować przeciw władzy. Poza tym trudno ustalić prawdziwych sprawców takich zabójstw, a zwłaszcza mocodawców. Poniżej nazwiska ofiar najgłośniejszych morderstw.

Siergiej Juszenkow (1950–2003), który właśnie założył w Rosji liberalne ugrupowanie, został zastrzelony przed swoim domem. Wcześniej zastrzelono innego polityka nowej partii – Siergieja Gołowlowa.

Miejsce zamordowania Anny Politkowskiej, 2006 r.
FOT. ALEXANDER DEMIANCHUKTASS/FORUM

Jurij Szczekoczichin (1950–2003), członek Dumy, zastępca redaktora naczelnego „Nowej Gaziety", wyjawił skandal korupcyjny w środowisku prokuratora. Jako przyczynę śmierci tuż przed jego wyjazdem do USA podano reakcję alergiczną, a dochodzenie w tej sprawie objęto tajemnicą państwową.

Anna Politkowska z domu Mazepa (1958–2006), dziennikarka znana z tropienia i wyjawiania światu zbrodni rosyjskich popełnionych w Czeczenii, została zastrzelona w windzie własnego bloku mieszkalnego.

Stanisław Markiełow (1974–2009), prawnik broniący m.in. czeczeńskich aktywistów i praw człowieka w Czeczenii – razem z dziennikarką „Nowej Gaziety" Anastazją Barburową (1983–2009) zginęli w Moskwie od strzałów w głowy. Markiełow przed śmiercią zajmował się m.in. sprawą uprowadzonej, zgwałconej i zamordowanej w 2000 r. przez rosyjskiego pułkownika Jurija Budanowa pięknej Czeczenki, 18-letniej Elzy Kungajewej.

Natalię Estemirową (1958/1959–2009) dziennikarkę, która zajmowała się uprowadzeniami i morderstwami w Czeczenii, wywleczono z mieszkania w Groznym i zastrzelono.

Siergieja Magnickiego (1972–2009) prawnika, który ujawnił nadużycia w rosyjskich organach skarbowych, zamęczono w areszcie. USA wprowadziły „ustawę" i „listę Magnickiego", na którą trafiają odpowiedzialni za łamanie praw człowieka.

Borysa Niemcowa (1959–2015), organizatora moskiewskich demonstracji antiputinowskich w latach 2011–2012, zastrzelili nasłani mordercy pod samym Kremlem. Protestował też przeciw aneksji Krymu.

W ciągu ostatnich lat coraz częściej dochodziło na podobnym tle do morderstw na terenie Ukrainy. Oto trzy z mordów, o których dokonanie lub zlecenie podejrzewa się rosyjskie służby specjalne.

Paweł Szeremet, dziennikarz „Białoruskiego Partizana" i „Ukraińskiej Prawdy" poniósł śmierć w zamachu, którego dokonali w Kijowie (2016) niezidentyfikowani sprawcy. Podłożyli bombę w samochodzie dziennikarza, który wcześniej uciekł najpierw z Białorusi, a potem z Rosji, gdy

eprasa.pl 016ae519f9

Szef Fundacji Ruski Mir, wnuk Mołotowa – Wiaczesław Nikonow
FOT.FACEBOOK.COM/VYACHESLAV NIKONOV

naraził się krytyką i Łukaszence, i Putinowi.

Denys Woronienkow (1971–2017), komunistyczny deputowany do Dumy, który krytykował ostro Putina, po czym zbiegł z Rosji na Ukrainę, został zastrzelony w Kijowie.

Amina Okujewa (1983–2017), lekarka czeczeńsko-polskiego pochodzenia, uczestniczka Majdanu, wyszkolona wojskowo na Ukrainie, zginęła w samochodzie ostrzelanym pod Kijowem. Ranny został jej mąż Adam Osmajew, oskarżany o udział w zamachu na Putina (parę miesięcy wcześniej Amina obezwładniła napastnika, który zaatakował jej męża).

Głośne na cały świat stały się morderstwa dokonywane przez FSB na terenie Wielkiej Brytanii. Przypomnijmy pokrótce otrucie radioaktywnym polonem w 2006 r. byłego oficera KGB/FSM Aleksandra Litwinienki, który zbiegł na Zachód i ujawnił sprawstwo Putina w zbrodniczym wysadzaniu bloków mieszkalnych na terenie Rosji (aby zrzucić winę na „terrorystów czeczeńskich"), oraz w masowych mordach dokonanych w Czeczenii. Śledztwo brytyjskie wykryło ślad prowadzący na Kreml.

Ustalono dwóch zabójców z FSB, którzy usiłowali zatruć w 2018 r. nowiczokiem byłego oficera wywiadu wojskowego GRU Siergieja Skripala, który został też agentem Brytyjczyków. Skripala wraz z córką wyratowano długim leczeniem w szpitalu w Salisbury. Podejrzane są przyczyny śmierci kilku bogatych biznesmenów, którzy w obawie przed Putinem uciekli do Wielkiej Brytanii, a zwłaszcza – miliardera Borysa Bieriezowskiego, którego znaleziono 2013 r. z pętlą na szyi w jego własnym domu.

Soft i smart power

Według amerykańskiego politologa Josepha Nye'a na „rozważną potęgę" państwa (smart power) składają się hard power (twarda siła) oraz soft power (miękka siła). Hard power oznacza potencjał czynników geostrategicznych i ekonomicznych, a soft power zdolność państwa do pozyskiwania sojuszników i zdobywania wpływów dzięki atrakcyjności własnej kultury, polityki i ideologii. Stosunki międzynarodowe przedstawił jako „trójpłaszczyznową szachownicę".

Jego zdaniem w wymiarze geostrategicznym główną rolę odgrywają Stany Zjednoczona jako supermocarstwo, a do pozostałych wielkich mocarstw o aspiracjach globalnych zaliczył m.in. Unię Europejską, Chiny, Rosję, Japonię i Indie. W wymiarze geoekonomicznym główną rolę przypisał USA, Unii Europejskiej oraz wschodnioazjatyckim państwom (Chinom i Japonii) oraz transnarodowym korporacjom i międzynarodowym instytucjom finansowym. Jeśli chodzi o „miękką siłę", to największy potencjał prezentuje triada: Unia Europejska – Japonia – USA, pozostałymi są: transnarodowe korporacje, międzynarodowe instytucje finansowe, ugrupowania religijne oraz organizacje pozarządowe.

Wychodząc od teorii Josepha Nye'a, o stosowaniu twardej i miękkiej siły przez władze FR ciekawie pisała dr Magdalena Lachowicz z Wydziału Historii UAM w eseju „Russkij mir" – po(d)stępy kultury czy kultura w natarciu". W jej analizie rosyjskiej strategii soft power jako elementu rosyjskiej kultury politycznej czytamy: „To kultura pojmowana poprzez związki emocjonalne niepoznawcze, bliska myśleniu mitycznemu, odwołująca się w różnych okresach do symboliki rosyjskiego świata, Gumilowskiego czy Duginowskiego eurazjatyzmu czy też ponadnarodowej wspólnoty »Wielkiej Rosji« w przestrzeni postsowieckiej. W celu wdrożenia wspólnotowych koncepcji w 2007 r. rozpoczęła działalność Fundacja Rosyjski Świat (Russkij Mir), kreowana na wzór British Council czy Goethe Institut. Oficjalnie jej celem jest promocja języka i kultury rosyjskiej, a flagowym projektem organizacji jest powołanie Centrów Rosyjskich działających we współpracy z wiodącymi naukowo-edukacyjnymi podmiotami na całym świecie. Decyzja ta wzmocniła znacznie promocję kultury i języka rosyjskiego realizowaną w skali globalnej od 1996 r. przez Instytut Rosyjski i od 2005 r. przez Instytut Wydawniczy Evropa".

Dalej dr Lachowicz wymienia liczne instytucje utworzone podczas rządów Putinowskich, które mają zastąpić działania likwidowanych niezależnych organizacji społecznych. Dotyczy to w dużej mierze ukierunkowania badań historycznych i takiej popularyzacji ich wyników, aby niwelować „zakłócenia w międzynarodowej debacie publicznej, nadmiar interpretacji historycznych pisanych piórem amatorów historyków i szkodliwe insynuacje" dotyczące np. historii drugiej wojny światowej. Badania mają zmierzać do utrzymania konserwatywnego kierunku, realizowanego np. od 2012 r. przez Rosyjskie Towarzystwo Wojenno-Historyczne. Główne zadania RTWH wymienia prezydencki dekret Władimira Putina: „rozpowszechnianie przekonania o sile militarnej Rosji, walka z fałszowaniem historii [w domyśle: przez inne państwa, mające inną wizję historii] oraz wychowywanie obywateli w duchu patriotyzmu".

Na koniec badaczka konkluduje: „Soft power w wersji rosyjskiej narusza podstawowe założenia koncepcji Josepha S. Nye'a. […] Ułuda dialogu obywatelskiego zawiera się w podstępie wykreowanych „obywatelskich" instytucji kulturalno-naukowych i społecznych, które ze wsparciem i pod kontrolą państwa mają realizować jedyną akceptowaną wersję rosyjskich wpływów i dominacji w świecie. Oponenci wewnętrzni zostaną wyeliminowani z dialogu w zgodzie z obowiązującą literą prawa. Oponenci zagraniczni zmierzą się z poważnym przeciwnikiem w postaci prokremlowskich mediów i elektronicznych kanałów przekazu informacji".

Towarzyszy temu „hard power" w wersji rosyjskiej: czyli po prostu zbrodniczy bandytyzm…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 016ae519f9

Krzysztof Masłoń

„A jednak ich trzeba zadusić... Dla nas bunt Polski – to sprawa rodzinna, dawna, dziedziczna waśń" (Aleksander Puszkin, 1831 r.)

W komentarzach do sankcji wymierzonych w Rosjan po ich agresji na Ukrainę słyszy się często troskę, by w jakikolwiek sposób nie spostponować ich wielkiej kultury. No bo jakże tu żyć bez Rachmaninowa i Tołstoja, Prokofiewa i Dostojewskiego, bez Czajkowskiego... Bez Puszkina wreszcie, złączonego przecież z naszym Mickiewiczem serdecznym, poetyckim uściskiem. Naprawdę?

Miał Aleksander Siergiejewicz Puszkin antypolską fobię, która z całą mocą ujawniła się po wybuchu powstania listopadowego. W listach do przyjaciół wywodził: „A jednak ich trzeba zadusić i nasza powolność jest męcząca. Dla nas bunt Polski – to sprawa rodzinna, dawna, dziedziczna waśń". A po zdobyciu Warszawy przez Moskali dawał upust radości: „Proszę sobie wyobrazić, z jakim zachwytem przyjąłem tę wiadomość". Jego zachwyt osłabł, gdy przekonał się, jak Europa przyjęła ten moskiewski sukces. I wtedy popełnił wiersz „Oszczercom Rosji", kierując go – w zasadzie – do francuskich parlamentarzystów i dziennikarzy:

Zostawcie nas, wy, co nie znacie
Tych zakrwawionych kart dziejowych.
Obca wam jest ta kłótnia braci,
Ten niepojęty spór domowy.
Gdy Kreml, gdy Praga się odzywa,
Wy nie słyszycie;
Ale bezmyślnie was porywa
Odwaga walki rozpaczliwa –
Wy nas nienawidzicie...

Mylił się Aleksander Puszkin. Francuzi dawali jedynie wyraz swemu oburzeniu na krwawe zdławienie dochodzącego z okutej w kajdany Polski wołania o wolność. Szlachetne to uczucie, ale od niego do nienawiści daleko jeszcze. Nasi

Aleksander Puszkin FOT. WIKIPEDIA

Literatura / Puszkin, Dostojewski, Tołstoj, Mandelsztam o Polakach

Kacap recytuje Puszkina

eprasa.pl 016ae519f9

przodkowie nienawidzili Moskali tak, jak dziś nienawidzą ich Ukraińcy.

Czy nam z Europą wadzić się pierwszyzna

Sowieci skarykaturyzowali postać Puszkina, kanonizując go niczym bolszewickiego świętego. Urządzano głośne czytanie jego poezji, obchodzono rocznice z niezwyczajną pompą (w 1937 r. osiągając w tym względzie absolutne wyżyny), ale też – na przykład – z jego imieniem na ustach rusyfikowano inne narody: „Puszkin dotarł do Uzbeków i Tadżyków… – pisała »Prawda« w 1938 r. – Do wszystkich narodów, które rewolucja wprowadziła w krąg kulturowy wielkiego narodu rosyjskiego". Na Polskę miał dopiero nadejść czas… I uprawiany był u nas kult Puszkina pod rękę trzymającego Mickiewicza.

Podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej reanimowany przez Stalina Puszkin będzie… zabijać. Z całą premedytacją przywódca Kraju Rad wymienił go zaraz po Leninie wśród tych wielkich synów równie wielkiego rosyjskiego narodu, na który śmiał rękę podnieść Hitler. I niemal od razu we frontowych relacjach z frontu pojawiły się w Rosji informacje o żołnierzach umierających z imieniem autora na ustach, wroga ostrzeliwano, rzekomo wznosząc hasło: „Za Puszkina!", a za pieniądze zarobione na prelekcjach o Puszkinie zbudowano myśliwiec „Aleksander Puszkin", który zaraz po przekazaniu wojskowemu lotnictwu zestrzelić miał dziewięć faszystowskich samolotów. O tym, że będące dziś częścią Petersburga Carskie Sioło już wcześniej przechrzczono na Puszkin, nawet wspomnieć nie warto.

A lizusowski wiersz Aleksandra Siergiejewicza „Oszczercom Rosji" w obszernych fragmentach zacytowany został przez „Prawdę" w wyjątkowym dla tzw. Kraju Rad dniu: 9 maja 1945 r. Dlaczego budzące zrozumiały sprzeciw pytanie: „Czy nam z Europą wadzić się pierwszyzna?" stało się nagle potrzebne usłużnym propagandystom? Nie ma innej odpowiedzi jak ta, że za pomocą literatury Stalin dawał do zrozumienia Churchillowi i Rooseveltowi, by nie wtrącali mu się w układanie na nowo stosunków z Polską. W końcu Puszkin swój niesławny wiersz napisał w odpowiedzi na oburzenie Zachodu stłumieniem przez Rosjan powstania listopadowego.

Więc nam wyślijcie, krasomówce,
Swych rozjątrzonych synów hufce,
Na polach Rosji dość jest miejsca dla nich
Pośród nieobcych im mogilnych grud.

A gdyby ktoś był ciekawy, to ten utwór spolszczył Julian Tuwim.

Myśmy też go kochali

Jeśli zaś chodzi o domniemywaną przyjaźń Puszkina i Mickiewicza, to podsumował ją rosyjski poeta, roniąc za twórcą „Ballad i romansów" (w 1834 r.) krokodyle łzy:

Na Zachód odszedł – i błogosławieństwem
Żegnaliśmy go. Ale gość nasz cichy
Teraz nam wrogiem stał się, co trucizną
Przepaja wiersze swoje na uciechę
Bujnej gawiedzi. Z dala nas dochodzi
Poety głos, wezbrany nienawiścią,
Znajomy głos!... O, Boże! Prawdą swoją
Oraz pokojem oświeć serce w nim".
A przecież lamentował:
Był tu śród nas,
Pośród obcego mu plemienia. W duszy
Nie żywił do nas nienawiści. Myśmy
Też go kochali.

To była rosyjska odpowiedź na wiersz Mickiewicza zatytułowany wymownie „Do przyjaciół Moskali", paradoksalnie odbierany czasem w Polsce jak zgrzyt w martyrologicznej wymowie III części „Dziadów", skąd pochodzi. Pewne jego wersy, jak ten o tym, kto „urzędem, orderem zhańbiony, / Duszę wolną na wieki przedał w łaskę cara / I dziś na jego progach wybija pokłony", zaboleć jednak musiały Puszkina, którego znajomość problematyki stosunków polsko-rosyjskich objawiła się najlepiej w jego publicystyce, gdzie wywodził, że Katarzyna II broniła uciskanych przez Polaków zamieszkujących Rzeczpospolitą prawosławnych i unitów, a pierwszy rozbiór Polski wywołała… konfederacja barska.

To tyle o tej poetyckiej przyjaźni. W istocie na przyjaźni z Puszkinem najwięcej skorzystał Nikołaj Gogol, tyle że od początku do końca ją sobie wymyślił. Cóż, po śmierci twórcy „Eugeniusza Oniegina" mógł łgać, ile wlezie. W efekcie powstała konstrukcja niemająca nic wspólnego z rzeczywistością, a którą można by nazwać: „Puszkin i Gogol – bliźnięta bracia", wzorem niezapomnianego wiersza Włodzimierza Majakowskiego:

Partia i Lenin – bliźnięta-bracia –
Kogo bardziej matka historia ceni?
Mówimy Lenin, a w domyśle – partia,
Mówimy partia, a w domyśle – Lenin.

Jak pisał na emigracji A. Pozow: „Nie zdążył jeszcze Puszkin wyzionąć ducha, a Rosja już go zdradziła i poszła za Gogolem. Była to recydywa rosyjskiej nie-kultury, »nieoświecenia«". A potem było już tylko gorzej i w efekcie Gogol stał się spadkobiercą Puszkina, a ten drugi nieomalże dekabrystą. Naturalnie

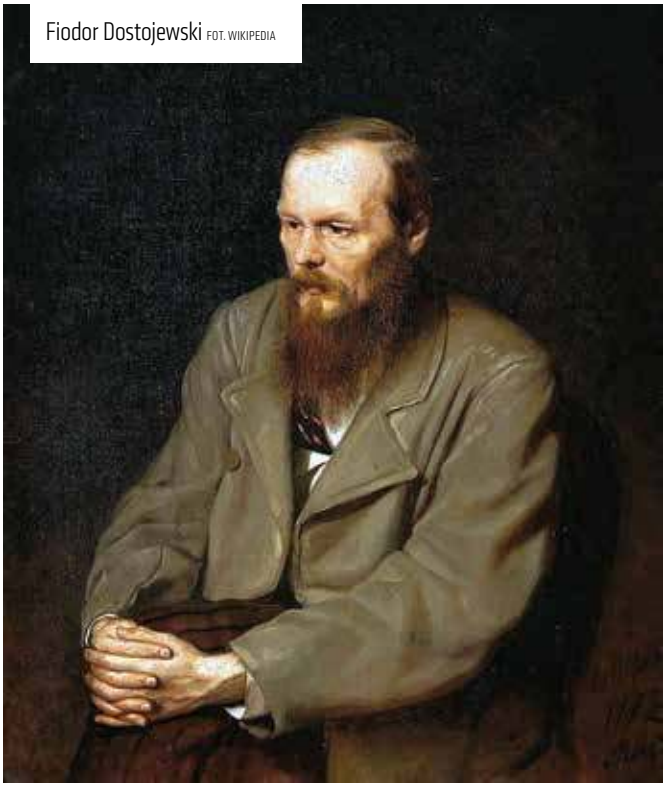
Fiodor Dostojewski FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 016ae519f9

przez całe dziesięciolecia nie zająknięto się na temat zawiłości życia osobistego tych „gigantów" literatury rosyjskiej, a co w dwóch zdaniach dosadnie ujął angielski slawista John Bayley: „Puszkin to sfrancuziały lekkomyślny karciarz. Gogol zwyrodnialec, homoseksualista, zwykły cham". Nic dziwnego, że inny znawca tematu, Wikientij Wieriesajew zauważał: „Puszkin trzymał się z dala od Gogola".

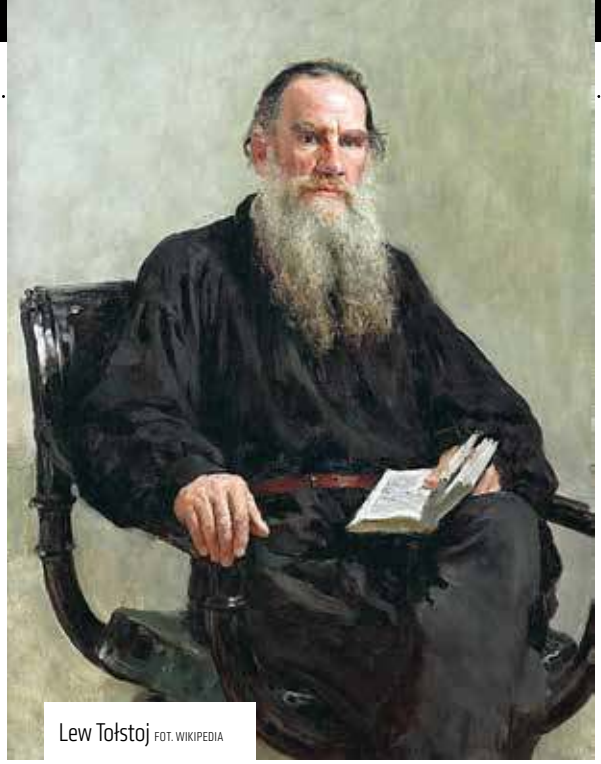

Lew Tołstoj FOT. WIKIPEDIA

Cesarz ma o nas pieczę

A skoro dotknęliśmy tu XIX-wiecznej prozy rosyjskiej, niezmiennie traktowanej jako ideał niczym wzorzec z Sèvres, trudno pominąć Fiodora Dostojewskiego i Lwa Tołstoja. Niechętny temu drugiemu, i to zdecydowanie, był Stanisław Brzozowski. W „Płomieniach" wręcz szydził z kaznodziejskiego tonu twórcy „Anny Kareniny", krytykując Tołstojowską bierność w kwestiach społecznych i nieprzeciwstawianie się złu. Zło może zresztą wyrządzać jedynie obcy – swój przenigdy. Benedykt Sarnow zwraca tu uwagę na spór toczony w jednym z ostatnich rozdziałów tejże „Anny Kareniny", w którym ulubiony bohater autora – Konstanty Lewin w kontekście entuzjazmu, który miał ponoć ogarnąć Rosjan pragnących wspomóc bratnich Serbów w walce z Turcją, powiada: „wojna jest czymś tak zwierzęcym, okrutnym i przerażającym, że człowiek, a tym bardziej chrześcijanin, nie może brać na swoją osobistą odpowiedzialność rozpoczęcia wojny; może to uczynić jedynie uprawomocniony do tego rząd, o ile nie ma innego wyjścia. Po drugie: i z nauki, i ze zdrowego rozsądku wynika, że w sprawach państwowych, a zwłaszcza tam, gdzie chodzi o wojnę, obywatele zrzekają się własnej woli".

I o to właśnie chodzi. Współczesny car oswobodziciel, czyli Władimir Władimirowicz Putin, wojny z Ukrainą świętą jeszcze nie ogłosił, ale już tam rosyjski ojczulek dobrze wiedział, co robi. Inny uczestnik cytowanej wyżej rozmowy rzecz ujmuje najprościej, jak można: „Co mamy myśleć? Cesarz […] ma o nas pieczę, więc pomyśli za nas we wszystkich sprawach. On to najlepiej rozezna". Słowem: Boże, cara chrani! I spasaj Rassiju!

Dobrze choć, że nadmuchiwaną niczym balon tołstojowską wielkość nakłuwały anegdoty. Takie jak ta, autorstwa Daniła Charmsa, który gdzieś między pobytami w więzieniach i psychuszkach, zapisał: „Lew Tołstoj bardzo lubił dzieci. Obudził się rankiem, złapie jakiegoś dzieciaka i głaszcze go po głowie, zanim nie zawołają na śniadanie".

Z kolei o antypolskości Fiodora Dostojewskiego napisano już tomy, mocno ją zresztą przesadzając i wyrywając z historycznego kontekstu. Niemniej warto zakonotować sobie, co twórca „Biesów" prorokował w swoim „Dzienniku pisarza", dając wyraz przekonaniu, że Polski niepodległej nigdy już nie będzie: „Jest Polska Nowa, Polska wyzwolona [sic! – przyp. K.M.] przez cara, Polska odradzająca się, która niewątpliwie może oczekiwać w przyszłości jednakowego losu z każdym plemieniem słowiańskim, kiedy słowiańszczyzna wyzwoli się i zmartwychwstanie w Europie. Ale Starej Polski nie będzie nigdy, dlatego że ona nie będzie współistnieć z Rosją. Jej ideałem jest stanąć na miejscu Rosji w świecie słowiańskim".

Podobne przekonania mają zadziwiającą długowieczność. Nawet tak świetni twórcy jak np. Aleksander Sołżenicyn tak mocno przywiązywali się do swoich, a właściwie do wielkorosyjskich idei, że z uporem charakteryzującym muła powtarzali dyrdymały o siostrzanym związku Rosji z Białorusią i Ukrainą. Ile to pokrewieństwo jest warte, widzimy dziś czarno na białym.

W literaturze rosyjskiej zdarzały się jednak wyjątki. I to olśniewające, jak – nie szukając daleko – sławny „poemat" Wieniedikta Jerofiejewa „Moskwa – Pietuszki". Wiadomo wszak, gdzie miał granice Związek Sowiecki. Gdzie chciał, rzecz jasna. Ale ruski człowiek musiał tę polityczną wykładnię dostosować do codzienności. I poradził sobie, że zacytuję Jerofiejewa: „U nas na przykład stoi strażnik, który doskonale wie, że granica nie jest kwestią fikcji czy godła państwowego, tylko tego że po jednej stronie granicy piją więcej i mówią po rosyjsku, a po drugiej piją mniej i mówią po nierosyjsku". Proste? A po upadku komunizmu stało się jeszcze prostsze: „Chcesz przekroczyć Rubikon – przekraczaj…".

Sercem kocham twoją duszę, owszem

„Historia i literatura rosyjska dotąd żyją mitologią, chociaż zmienia się jej wymiar. Nie brak mitów w innych krajach, jednak nie są one tak skostniałe, tak arbitralne, jest w nich miejsce na poczucie humoru i pragmatyzm. Wolno wytykać je palcami, kiedy budzą wątpliwości. Specyficzną zaś cechą mitów rosyjskich jest ich nietykalność. Można je krytykować dopiero wtedy, kiedy obumierają, a i to nie zawsze. Może dlatego stały się częścią nas samych?" – pytał Jurij Drużnikow we wstępie do swojej książki „Od Puszkina do Pawlika Morozowa".

O Aleksandrze Siergiejewiczu nie zapomniał też Wieniedikt Jerofiejew, którego „Moskwa – Pietuszki" wciąż pozostaje najbardziej przenikliwą, a przy tym bezlitosną analizą rosyjskiej kultury. Jakże istotną, bo pamiętamy oczywiście, że „Oniegin dobryj moj prijatiel rodiłsia na briegach Newy". Ale co z tego ma wynikać dla nas? Jakoś na dźwięk nazwiska tego „druga Moskala" przychodzą mi na myśl nie „Borys Godunow" i „Córka kapitana", ale odnoszący się do autora tych utworów fragment arcydzielnego „poematu" sławnego Wieniczki. W tym

eprasa.pl 016ae519f9

wyjątkowym „poemacie" pewna „pijana jak długa" kobieta opowiada swą dramatyczną historię:

„[…] pewnego razu całkiem się schlałam. Przylatuję do niego i krzyczę: »Puszkin będzie za ciebie dzieciaki chował, co? Puszkin?«. A on, kiedy usłyszał o Puszkinie, cały sczerniał i zaczął się trząść. »Pij, zalewaj się, ale od Puszkina wara! I od dzieciaków wara! Pij wszystko, ssij moją krew, ale nie wódź Pana Boga na pokuszenie!«. A ja byłam wtedy na chorobowym – wstrząs mózgu i skręt kiszek. A na południu akurat była jesień. Więc mu na to zakrzyczałam tak: »Idź precz ode mnie, bandyto, i nie wracaj! Dam sobie radę! Z miesiąc się będę kurwiła i rzucę się pod pociąg! A potem pójdę do klasztoru i pokutnicą zostanę! Przyjedziesz, żeby mnie prosić o przebaczenie, a ja wyjdę cała w czerni, sam urok, i całą mordę ci podrapię, i figę będziesz miał. Precz!«. A potem krzyczę: »A przynajmniej duszę moją kochasz? Kochasz duszę?«. A on się ciągle trzęsie i czernieje: »Sercem – wrzeszczy – sercem kocham twoją duszę, owszem, ale duszą nie kocham, co to, to nie!«.

I roześmiał się jakoś tak dziko, jak w operze, a potem złapał mnie, rozbił głowę i odjechał do Włodzimierza nad Klaźmą. Dlaczego odjechał? Do kogo odjechał? Cała Europa osłupiała wraz ze mną. A moja głuchoniema babcia powiada do mnie z pieca: »Widzisz, Daszeńko, do czego doszłaś w poszukiwaniu swego «ja»!«".

Tak to tej poszukiwaczce wyższych wartości wybił zęby jej kochanek, komsomolski organizator zresztą, Jewtiuszkin. Rymowało się jej więc: „Puszkin – Jewtiuszkin". Jeden…

Lektura „Moskwy – Pietuszki" każe również przypomnieć sobie „nieśmiertelną" operę „Chowańszczyzna" Modesta Musorgskiego, złote myśli Maksyma Gorkiego spisywane na Capri, a nawet utwory Iwana Turgieniewa, „szlachcica ziemi orłowskiej i obywatela pięknej Francji", w których wszyscy siedzą i dyskutują o miłości, a każdy w cylindrze i żabotem wymachuje… No tak, no tak.

Tak, my – Azjaci

„A jakież oczy ma mój naród! Stale wybałuszone, ale zupełnie pozbawione napięcia. Kompletnie bez wyrazu – ale jakaż w nich siła (w sensie siły ducha). To nie są oczy sprzedajne. Niczego nie sprzedadzą i niczego nie kupią. Cokolwiek z mym krajem się stanie. W porze męczących rozterek i wszelakich doświadczeń, w czasach nieszczęść i niełatwych rozmyśleń – żadne oko nie mrugnie. Cokolwiek się stanie – dla nich deszcz pada…" – filozofował główny bohater arcydzieła Wieniedikta Jerofiejewa.

Okres komunistyczny zafałszował obraz literatury rosyjskiej już do końca i to we wszystkie możliwe strony. Dość przypomnieć tu sławną, acz nieoczekiwaną opinię Czesława Miłosza o poezji Osipa Mandelsztama, bo to nie tylko poeta urodzony nad Wisłą, lecz także ofiara Stalina, i Żyd, no i „grał Schuberta jak nikt", tak pięknie, że na dobrą sprawę nikt nie rozeznawał, czy to Mandelsztam grał czy Hercowicz… W każdym razie Ewa Demarczyk pięknie to wyśpiewała.

A tu nie kto inny jak Czesław Miłosz powiada, że ten sam poeta dał wyraz w swej twórczości „obrzydliwemu bizantynizmowi". I żeby jeszcze noblista ograniczył się do niesławnej „Ody do Stalina". Pisał jednak: „Polska perspektywa na literaturę rosyjską prowadzi często do błędów. Czym dla Polaków była zawsze więź między literaturą i walką o wolność kraju, tym dla Rosjan była więź między literaturą i rosyjskim państwem. Stąd gniewne antypolskie i antyzachodnie wiersze Puszkina po wybuchu powstania 1831 roku. Stąd trzy carosławne ody Dostojewskiego pisane na syberyjskim zesłaniu, nędzne jako wiersze, ale stosujące wobec cara te same epitety (»Słońce« itd.), którymi miano później darzyć Stalina. Choć te ody były częścią zabiegów autora o wydostanie się z Syberii, wyrażały jego poglądy na misję Imperium i buchały antyzachodnią furią z powodu wojny krymskiej. Mandelsztam, przed rewolucją zdawałoby się poeta najzupełniej apolityczny, nie mógł w roku 1914 pohamować swego patriotycznego oburzenia na wieść o Legionach Piłsudskiego:

Polacy, chciałbym sens w tym dojrzeć!
Czyn strzelców to szaleństwo, obłęd! […]
I ty kometo, ty słowiańska,
W swoim błąkaniu się stuletnim
W cudzym się rozproszyłaś świetle,
Cudzego uczestniczko blasku!

Polska tedy jest słowiańską kometą, błądzącą od wieków, zamiast znaleźć ukojenie na łonie matki Rosji. Tak wtedy myśleli nawet liberalni Rosjanie, podobnie zresztą jak w latach 1831 i w 1863. Mandelsztama anteny były wrażliwe na sądy jego współczesnych. Ta zależność sprawdza się w latach rewolucji, kiedy jego sposób myślenia zdaje się być typowy dla prawie całej inteligencji, radośnie witającej rewolucję, która miała ją zniszczyć. Rozmaicie to sobie uzasadniała, nawet na ład pseudochrześcijański jak w poemacie »Dwunastu« Błoka".

Ten poemat darujmy już sobie, ale najbardziej obawiającym się wymuszonego przez okoliczności postu obejmującego rosyjską kulturę i jej niepowtarzalne „wozduchy" pragnę przypomnieć inny wiersz tego samego Aleksandra Błoka (z 1918 r.) „Scytowie":

Miliony – was. Nas mrowie, mrowie, mrowie.
Spróbujcie zmierzyć się z nami!
Tak, my – Azjaci! my dzicy Scytowie
Z pożądliwymi skośnymi oczami.

Nam – jedna chwila, wy – mieliście czas.
A my, jak niewolnicze roty,
Tarczę trzymaliśmy wśród wrogich ras
Mongołów i Europy!
……
O stary świecie! wiedz, ostatni raz
Na jasne bratnich uczt igrzyska.
Na ucztę pracy i pokoju – was
Przyzywa lira barbarzyńska.

A jeśliby tego wszystkiego, co zostało tu powiedziane, jeszcze było mało, to na koniec sięgnę do skromnych, a pięknych i mądrych, napisanych w 1905 r. przez Wiktora Gomulickiego „Wspomnień niebieskiego mundurka". W dużej mierze autobiograficznej książeczki dla młodzieży, której główny bohater, gimnazjalista w ramach szkolnych obowiązków przyswoić musiał sobie odę „Boh" Gawryły Dzierżawina, najsławniejszego rosyjskiego poety epoki przedpuszkinowskiej, autora wiernopoddańczych panegiryków na cześć Katarzyny II. Wkuwał więc ów nieszczęśnik te strofy:

Chaosa bytnost' dowremiennu
Iż biezdn Ty wiecznosti wozzwał…

Kto z czytelników „Wspomnień niebieskiego mundurka" nie pamięta sceny, w której pijany wielbiciel Dzierżawina nauczyciel Jastrebow grzmi cytatem z tejże ody:

Ja car – ja rab! Ja czerw – ja boh!

Młodziutki bohater powieści „zrozumiał, że przed tą jego wielkością należało albo na twarz upaść, albo – uciec… Wybrał drugie".

Mądry był chłopiec.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 016ae519f9

Pieter Bruegel „Triumf śmierci" – obraz niderlandzkiego malarza z 1562 r.

FOT. MUSEO DEL PRADO

Może i dziś dzieci w Moskwie śpiewają radosną piosnkę (podaję w polskim tłumaczeniu): „Zawsze niech będzie słońce, zawsze niech będzie niebo, zawsze niech będzie mama, zawsze niech będę ja!...". Za moich szkolnych czasów (lata 60.) Polskie Radio nadawało ją bez przerwy. Dziś dzieci w zagrożonym przez Rosjan Kijowie i obróconym w gruzy Mariupolu z pewnością jej nie nucą. Szkoda, że znakomity historyk amerykański Niall Ferguson skończył pisać swe najnowsze dzieło przed napaścią Putina na Ukrainę i nie mógł analizować tego wydarzenia. Dodałby może agresywny i nieobliczalny imperializm rosyjski do kilku największych zagrożeń czyhających na demokratyczny świat.

Szkoda, ale i tak z największym szacunkiem odnotować należy umieszczenie przezeń zbrodniczych ideologii komunizmu i narodowego socjalizmu wśród katastrof grożących ludzkości na równi z najgorszymi zarazami nękającymi świat. Tu muszę odnotować zdanie wyjęte ze środka jego 650-stronicowej księgi: „W grudniu 1920 roku Zgromadzenie Ogólne Ligi Narodów przyjęło rezolucję przewidującą utworzenie Komisji Zdrowia (Health Committee) pod kierownictwem Ludwika Rajchmana, polskiego bakteriologa, który powstrzymał rozprzestrzenianie się na zachód fali tyfusu w sposób równie skuteczny, jak jego rodak Józef Piłsudski powstrzymał rozprzestrzenianie się bolszewizmu".

Ferguson pisał „Fatum…" w maju 2021 r., kiedy COVID ogarnął świat i zbierał największe śmiertelne żniwo. Wybitny znawca gospodarki, polityki i innych mechanizmów rządzących społeczeństwami (teoria sieci) zapowiadał rok temu „[…] wzrost nadmiarowej śmiertelności musi przynieść na tyle potężne konsekwencje gospodarcze, społeczne, kulturalne, polityczne i geopolityczne, by doprowadzić do całej kaskady kolejnych katastrof. […] Czy teraz bardziej należy obawiać się długoterminowej stagnacji, czy może powrotu inflacji?" – pyta. My już wiemy. Zapowiedzi wzrostu dominacji Chin – traktowanych przezeń jako postkomunistyczne mocarstwo policyjne – traktuje jednak krytycznie. Nie wyklucza raczej wielkiego tąpnięcia, jakie nie raz odmieniało dzieje tego kolosa. Nie wyklucza też kolejnego wirusa wypuszczonego stamtąd w świat.

Książka miesiąca / Ferguson o fatum ludzkości

COVID jak komunizm

Wyraźnie pod ogromnym wrażeniem COVID rozpoczął pisanie książki i do owej pandemii stale w niej nawiązuje, pisząc o innych – znanych zwłaszcza z historii zachodniej cywilizacji – pandemiach. Chodzi oczywiście o „czarną śmierć", czyli dżumę, która pustoszyła Europę, od 1348 r. poczynając. Zwraca uwagę na ospę, która dokonała zagłady Indian w Ameryce (dając miejsce Anglikom – dodaje z ironią). Wymienia także inne zarazy, ze specjalnym podkreśleniem hiszpanki, która – jego zdaniem – najbardziej odebrała Niemcom ochotę do walki pod koniec pierwszej wojny światowej. Wiele uwagi poświęca zaradczym przedsięwzięciom, a zwłaszcza powszechnym szczepieniom i powierzaniem władzy rozsądnym i odpowiedzialnym politykom.

Kolejnego uderzenia takiego asteroidy jak ten, który starł z powierzchni Ziemi dinozaury, ani trzęsień ziemi i tsunami oczywiście nie przewidzimy, ale radzenie sobie ze wstrząsami „wymaga lepszego niż dotychczas zrozumienia struktur sieciowych i rozmaitych dysfunkcji biurokratycznych. A wszyscy ci, którzy w imię bezpieczeństwa publicznego gotowi byliby zgodzić się na jakiś nowy totalitaryzm, związany z wszechobecnym nadzorem i inwigilacją, powinni zrozumieć, że sporo najstraszliwszych katastrof opisanych w niniejszej książce wywołały właśnie reżimy totalitarne". Trudno się nie zgodzić… ©℗ ***Maciej Rosalak***

NIALL FERGUSON „FATUM, POLITYKA I KATASTROFY WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl 016ae519f9

Nad Nilem przed 3380 laty

Niech nikogo nie zwiedzie pozornie lekka forma poradnika, jakiej autorka użyła do przedstawienia Egiptu sprzed niemal 3,5 tys. lat. Sporo pisze o życiu codziennym ówczesnych Egipcjan. Poznajemy na przykład ich dietę opartą na chlebie, warzywach i rybach, upodobanie do tańca i muzyki wyzierające z zachowanych inskrypcji oraz utrwalonych w kamieniu reliefów. Dowiadujemy się sporo o użytecznej medycynie, o elitarnej nauce czytania i pisania, o rozwiniętym sądownictwie (radzi trzymać się odeń z daleka) czy o obyczajach faworyzujących mężczyzn. W procesach o gwałt wcale nie skrzywdzoną żonę czy córkę, ale jej męża (lub ojca) uznawano za pokrzywdzonego.

A gdyby zapytać ówczesnego Egipcjanina o faraona czy o stołeczne Teby w Górnym Egipcie, to nie zorientowałby się, o co chodzi, bo były to nieznane mu nazwy greckie. Od starożytności aż do budowy tamy Assuańskiej w latach 60. XX w. każdy mieszkaniec Egiptu wiedział, czym są wylewy życiodajnego Nilu. Za małe nie dostarczały dostatecznej ilości wody do użyźnienia pól, za duże wywoływały niszczącą uprawy powódź. Dlatego każdy znał się na nilomierzach – schodkach prowadzących w wodę – i potrafił je odczytywać. Kapłani badali ruch ciał niebieskich, dzielili rok na trzy pory roku po cztery 30-dniowe miesiące, 365 dni (pięć dni nie mieściło się w tym podziale, więc uznano je za święta Ozyrysa, Horusa, Setha, Izydy i Neftydy), a dni dzielili na 12 godzin dziennych i 12 nocnych.

W tle tego poradnika Charlotte Booth z ogromną erudycją sygnalizuje panoramę dziejów jednej z najstarszych cywilizacji ludzkich, z jej wierzeniami i systemem państwowym, wielką polityką sięgającą Babilonu, królestwa Mitanni i złowrogich Hetytów, hardego władcy syryjskiego Amurru i minojskiej Krety. Opisuje pobór do wojska, rydwany i łuki refleksyjne oraz niezrównane osiągnięcia architektury i sztuki. Od czasów XVIII dynastii cofnie się do budowniczych piramid (tysiąc lat wcześniej!) i sięgnie nawet po dynastię macedońskich Ptolemeuszy w III w. p.n.e. (wybiegając tysiąc lat do przodu!).

Natomiast koncentruje się na czasach panowania Amenhotepa III i ukazuje Egipt w okresie największego rozkwitu, czego zostały liczne świadectwa. Pozwala to nasycić książkę frapującymi szczegółami. Fiński pisarz Mika Waltari nieprzypadkowo w tym właśnie okresie osadził swą niezapomnianą powieść o Egipcjaninie Sinuhe… ©℗

Maciej Rosalak

CHARLOTTE BOOTH
„JAK PRZEŻYĆ W STAROŻYTNYM EGIPCIE"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Rok 1920 na obrazach

Po zakończeniu wojny 1920 r. wielu artystów – pod świeżym wrażeniem victorii warszawskiej – zasiadło do sztalug. Tomasz Niklas przedstawia najlepsze dzieła ukazujące Bitwę Warszawską. Czytelnik, który uważa, że tematem tym zajmował się tylko Kossak, będzie miło zaskoczony. Obrazów powstało naprawdę sporo. Spośród wszystkich dzieł zaprezentowanych w albumie na mnie największe wrażenie zrobiła jednak praca włoskiego artysty Artura Gattiego. Na zlecenie papieża Piusa XI przygotował on szkic fresku do kaplicy polskiej w bazylice w Loretto. Szkic „Bitwa Warszawska" – wyszedł po prostu wspaniale! ©℗ *(p.z.)*

TOMASZ NIKŁAŚ
„OBRAZ ZWYCIĘSTWA. MOTYW BITWY WARSZAWSKIEJ W SZTUCE POLSKIEJ"
IPN

JULIEN H. BRYAN
„POLSKA JESIEŃ, ROSYJSKA ZIMA"
IPN

AMERYKANIN NA GRUZACH

Kolejny album IPN ukazujący zdjęcia i zapiski Juliana Bryana. To amerykański fotograf, autor słynnego zdjęcia z 1939 r., ukazującego polską dziewczynę rozpaczającą nad ciałem zabitej przez niemieckiego lotnika siostry. W nowym albumie możemy zobaczyć fotografie powojenne, gdy Bryan przyjechał do Polski z misją UNRRA. Przygnębiające obrazy… ©℗ *(p.z.)*

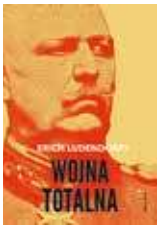

ERICH LUDENDORFF
„WOJNA TOTALNA"
BELLONA

LUDENDORFF I PUTIN

„Wojnę totalną" gen. Ericha Ludendorffa (1935) otrzymujemy teraz w polskim przekładzie. Autor uważał, że wojnie trzeba poporządkować całe życie społeczeństwa niemieckiego. A wojna ma polegać głównie na uderzeniu w naród jako fundament armii, w tym na bombardowaniu obiektów cywilnych. Właśnie widzimy, jak tę myśl Ludendorffa wprowadzają Rosjanie na Ukrainie. ©℗ *(t.s.)*

DARIUSZ LUBIŃSKI
„WYCHOWANY WŚRÓD WIKINGÓW"
NOVAE RES

O EINARZE Z X STULECIA

Fascynacja wikingami w Polsce nie słabnie. Uległ jej także Dariusz Lubiński wykazujący znajomość ich sag, długich łodzi, oręża, wierzeń, obyczajów, wypraw łupieskich i zaborczych, penetracji X-wiecznej Europy, ze szczególnym uwzględnieniem basenu Bałtyku. Jego młody bohater – Einar – poznaje m.in. kraje słowiańskie, a na ziemi Obodrytów spotyka nawet polańskiego Mieszka z bratem. Sugestywny jest zwłaszcza opis ostatniej bitwy… ©℗ *(m.r.)*

eprasa.pl 016ae519f9

Żołnierze Armii Polskiej w Związku Sowieckim FOT. NAC

Nie tylko Monte Cassino

Niewielka książka prof. Zbigniewa Wawera, najwybitniejszego znawcy dziejów 2. Korpusu Polskiego, zawiera wszystko, co powinno się wiedzieć o armii gen. Władysława Andersa. W przejrzysty sposób autor opisuje szlak bojowy tej armii, złożonej z więźniów i łagierników represjonowanych przez Rosję sowiecką. Dzieje armii Andersa to jednak nie tylko walka, gdyż ogromnie ważny był też kontekst polityczny. Stalin przerażony niemiecką ofensywą początkowo godził się na niemal stutysięczną Armię Polską. W miarę krzepnięcia oporu Armii Czerwonej, taka armia stawała się politycznie niewygodna. Zbigniew Wawer zwraca uwagę, że 5. Dywizja, którą Sowieci chcieli jak najszybciej skierować na front, nigdy nie uzyskała pełnego uzbrojenia, a 6. Dywizja dostała tylko karabiny dla służby wartowniczej. Sowieci redukowali drastycznie przydział racji żywnościowych. Żołnierze cierpieli na awitaminozę, kurzą ślepotę, chorowali. Dzięki postawie gen. Andersa z wojskiem opuściły rosyjską „nieludzką ziemię" tysiące cywilów. Autor cytuje wspomnienia gen. Klemensa Rudnickiego: „Pozostawienie ich było ponad ludzkie siły. Wywalczył prawo ku temu gen. Anders u władz sowieckich i postawił nasz Londyn po prostu przed faktem dokonanym". Wraz z 78 tys. żołnierzy opuściło Rosję 36 tys. cywilów.

Po Monte Cassino Polacy walczyli na adriatyckim teatrze działań wojennych, zajmując w lipcu 1944 r. Ankonę. Pół roku później żołnierze 2. Korpusu doznali wstrząsu na wieść o postanowieniach konferencji jałtańskiej, pojawiły się nastroje buntu. Większość z nich pochodziła z Kresów Wschodnich, które miały przypaść Rosji sowieckiej. Generał Anders informował dowódcę 8. Armii: „Widzę konieczność natychmiastowego zluzowania z odcinka bojowego oddziałów 2. Korpusu Polskiego, wobec faktu, że ani ja, ani podwładni mi dowódcy nie mogli dzisiaj znaleźć w sumieniu swym uzasadnienia dla żądania od 2. Korpusu nowych ofiar". Od Churchilla gen. Anders usłyszał: „Może pan swoje dywizje zabrać. Obejdziemy się bez nich". Doprawdy? Dowództwo alianckie nie zgodziło się na wycofanie 2. Korpusu, gdyż nie miało go kim zastąpić. Polacy musieli walczyć w Alpach Emiliańskich i o Bolonię. 234 poległych i 1228 rannych podczas tej operacji to najbardziej tragiczne ofiary poniesione przez armię gen. Andersa. ©℗

Tomasz Stańczyk

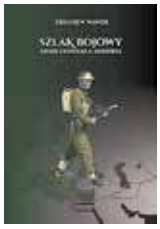

ZBIGNIEW WAWER
„SZLAK BOJOWY ARMII GENERAŁA ANDERSA"
OFICYNA WYDAWNICZA „MÓWIĄ WIEKI"

Ukraina w hasłach

Niemal dwa tysiące haseł osobowych i rzeczowych zawiera „Leksykon kultury ukraińskiej", książka na czasie, gdy wzrasta zainteresowane naszym wschodnim sąsiadem, brutalnie najechanym przez Rosjan. Warto więc zapoznać się z hasłem „Rusyfikacja Ukrainy", przeczytać o wymierzonych w kulturę i tożsamość ukraińską cyrkularzu Wałujewa (1863) i ukazie emskim (1876). Pomiędzy tymi datami powstała pieśń „Szcze ne wmerła Ukrajiny ni sława, ni wola", dziś hymn narodowy, którego pierwsze słowa podobne są do początku „Mazurka Dąbrowskiego".

Na sowieckiej Ukrainie pisarz Mykoła Chwylowy retoryczne pytał w tytule swojej książki „Ukraina czy Małorosja". Zaszczuty przez sowieckich rusyfikatorów popełnił samobójstwo w 1933 r. A współczesny krytyk literacki i poeta Mykoła Riabczuk opublikował książkę „Od Małorosji do Ukrainy". Powstała w 1985 r. grupa literacka Bu-Ba-Bu dąży do zerwania z kultury ukraińskiej nalotu rusyfikacyjnego i sowietyzującego.

Leksykon ukazuje także polski wkład w badanie i utrwalanie ukraińskiej kultury ludowej, w biogramach etnografa Oskara Kolberga i Stanisława Vincenza, autora huculskiego cyklu „Na wysokiej połoninie". Książka wyjaśnia także znaczenie takich pojęć jak: bandura, bałaguły, latopisy, macapura, małanka, osełedec, skomorochy. Hasła są krótkie, ale stanowią inspirację i zachętę do szerszego zainteresowania się kulturą ukraińską. ©℗ *(t.s.)*

WŁODZIMIERZ WILCZYŃSKI
„LEKSYKON KULTURY UKRAIŃSKIEJ"
UNIVERSITAS

eprasa.pl 016ae519f9

Bocheński i inni

Ostateczny zmierzch XIX-wiecznej Europy, który nastąpił wraz z zakończeniem pierwszej wojny światowej, przyniósł również upadek największych europejskich monarchii: Hohenzollernów, Habsburgów i Romanowych. Doprowadził też do spadku znaczenia środowisk konserwatywno-monarchistycznych, będących podstawą dawnego ancien régime. Ten proces dotknął działające w Polsce środowiska zachowawcze, kolaborujące ze „zmiecionymi" przez wiatr historii monarchiami.

Nad Wisłą, podobnie jak nad Sekwaną czy Sprewą, pojawiły się ośrodki polityczne próbujące znaleźć konserwatywną, a w zasadzie konserwatywno-rewolucyjną odpowiedź na wyzwania teraźniejszości i przyszłości. Miały one stanowić swoistą syntezę przeszłości i współczesności. We Francji do takich ugrupowań należało Action Française wraz z liderem Charles'em Murrasem. W Republice Weimarskiej były to nie tyle struktury polityczne, ile raczej osoby takie jak autor znanej książki „Trzecia Rzesza" Arthur Moeller van den Bruck czy Ernst Jünger – kawaler najwyższego odznaczenia wojennego z okresu wilhelmińskiej II Rzeszy Pour le Mérite.

W Polsce pod parasolem kierowanej przez Rowmunda Piłsudskiego organizacji Myśl Mocarstwowa Akademicki Związek Zachowawczy pojawiło się grono osób stanowiące najciekawsze i najbardziej płodne intelektualnie środowisko polityczne II RP, które w 1931 r. zaczęło wydawać pismo pod tytułem „Bunt Młodych" (w 1937 r. pismo zmieniło swą nazwę na „Polityka"). To właśnie ich przyjęło się określać neokonserwatystami (autor recenzowanej monografii Maciej Zakrzewski uznał ich za rewolucyjnych-konserwatystów), co – wydaje się – dobrze oddaje charakter głoszonych przez nich politycznych poglądów. Wypada podkreślić, że oni sami zdecydowanie się od takiego definiowania odcinali.

Jerzy Giedroyc twierdził, że jedynie jednego z czołowych publicystów „Buntu Młodych" i „Polityki" Adolfa Bocheńskiego można określić terminem konserwatysta. Jest to o tyle dziwne, że późniejszy redaktor emigracyjnej „Kultury" sam był członkiem Stronnictwa Prawicy Narodowej, a więc konserwatywnej formacji politycznej powołanej do życia przez „stańczyków". Pomimo związków z sanacją nie sposób uznać „buntowników" za młodzieżówkę obozu rządzącego.

Do grona czołowych publicystów pisma, obok dwóch wcześniej wspomnianych osób, czyli Bocheńskiego i Giedroycia, należeli: powojenny prokomunistyczny renegat Aleksander Bocheński, późniejszy zwolennik współpracy z ZSRS i komunistyczny dyplomata Ksawery Pruszyński, Kazimierz Studentowicz i Stefan Kisielewski – PRL-owski poseł koła Znak. Część głównych piór „Buntu Młodych" współpracowała z innymi konserwatywnymi pismami, takimi jak wileńskie „Słowo" redagowane przez Stanisława Cata-Mackiewicza czy stańczykowski krakowski „Czas".

Zasadniczym elementem rozważań konserwatywnych rewolucjonistów były kwestie związane z polityką zagraniczną. Kojarzą się one ściśle z nazwiskiem Adolfa Bocheńskiego, bowiem to on wyłożył zasadnicze tezy swej doktryny geopolitycznej w książce „Między Niemcami a Rosją". Bocheński wskazywał na konieczność doprowadzenia do osłabienia ZSRS poprzez dążenie do stworzenia niepodległej Ukrainy, a także sugerował konieczność podjęcia współpracy z III Rzeszą. W kwestii spraw wewnętrznych częściowo wspierano politykę obozu sanacyjnego i zwalczanie narodowej demokracji. Przestrzegano przed postulatami opierania się w polityce na koncepcjach endeckich jako defensywnych, które traktowano jako element blokujący mocarstwowy rozwój państwa polskiego. ©℗ ***Arkadiusz Karbowiak***

MACIEJ ZAKRZEWSKI
„REWOLUCJA KONSERWATYWNA – PRZYPADEK POLSKI. MYŚL POLITYCZNA ŚRODOWISKA »BUNTU MŁODYCH« I »POLITYKI« 1931–1939"
IPN I OMP

HISTORYCZNE BITWY

Fontenoy

O bitwie tej mało kto u nas słyszał, a od jej wyniku zależał los państwa Franków, które uczynił cesarstwem i dominującym w Europie mocarstwem Karol Wielki. Dążenie do zachowania jedności cesarstwa zderzyło się po jego śmierci z prawem dziedziczenia jego spadkobierców. Już następny cesarz Ludwik I Pobożny walczył z koalicją swych łakomych spadku synów, a kiedy i on odszedł z tego świata (w 840 r.), trzej synkowie – Ludwik II Niemiecki oraz Karol II Łysy z jednej strony, a kolejny cesarz Lotar I wraz z Pepinem II (synem Pepina I) z drugiej – wzięli się za łby. Do rozstrzygającej bitwy doszło 25 czerwca 841 r. pod Fontenoy-en-Puisaye w Burgundii (co znamienne, 24 czerwca 30-tysięczne łącznie armie stały bezczynnie, aby nie mordować innych chrześcijan w święto Jana Chrzciciela). Od czasów Karola Młota wojny rozstrzygała ciężkozbrojna jazda Franków, której rynsztunek był nader kosztowny: hełm – sześć krów, pancerz – 12 krów, miecz z pochwą – siedem krów, włócznia z tarczą – dwie krowy, koń bojowy – 12 krów. Nie dać się otoczyć, a decydującym uderzeniem rozbić wroga w proch i pył – oto była frankijska taktyka. Błędem Lotara było wyprowadzenie takiego uderzenia, zanim odepchnięto skrzydła przeciwników. Cesarz dawał „przykład męstwa i odwagi. Pośrodku kłębiących się wokół wrogów, siedząc na wielkim bojowym koniu, siał śmierć i zgubę" – czytamy. Ale po utracie skrzydeł jego klęska była przesądzona. Po dwóch latach traktatem w Verdun bracia podzielili między siebie dziedzictwo Karola. Stąd: Niemcy i Francja. ©℗ ***Maciej Rosalak***

ROBERT F. BARKOWSKI
„FONTENOY 841"
BELLONA

eprasa.pl 016ae519f9

XIX–XX w. / Bałtyk, Połąga i Kretynga

Kąpiele, ogrody, ziołowa nalewka

Pałac Tyszkiewiczów w Połądze

FOT. DILIFF/WIKIPEDIA/ CC BY-SA 3.0

Tomasz Stańczyk

W latach zaborów Polacy chętnie przyjeżdżali do nadmorskiej Połągi, znajdowała się bowiem na ziemiach utraconej ojczyzny, a jej właścicielami byli Tyszkiewiczowie

Gdy w XIX w. Połąga zmieniała się z rybackiej wioski w modne kąpielisko i letnisko, wzrosło zainteresowanie jej przeszłością. Spierano się o to, czy nazwa Połąga oznaczała po żmudzku „nad portem" czy też od słowa „palanga" („langas" – okno), czyli „do okna", gdyż wiatr od morza miał zasypywać piaskiem domy po same okna.

W Połądze rzeczywiście kiedyś był port, lecz w roku 1701 Karol XII na prośbę szwedzkich kupców z Rygi, dążących do wyeliminowania konkurencji, kazał zniszczyć port przez zasypanie go kamieniami. Tradycją Połągi było odzywanie się w każdy piątek „dzwonu topielców"

eprasa.pl 016ae519f9

wzywającego do modlitwy za tych, którzy nie wrócili z morza.

Dzwon bił początkowo w drewnianym kościółku (ufundowała go Anna Jagiellonka), a od 1906 r. w nowo wybudowanym kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. „Wapno i drewno dał wspaniałomyślnie p. Feliks hr. Tyszkiewicz", a świątynię wzniesiono ze składek wczasowiczów i dochodów z koncertów i zabaw. W oknach zainstalowano witraże według projektu Stefana Matejki, bratanka Jana Matejki. Kazania odbywały się po litewsku i polsku (S. Karwowski, „Połąga i Kretynga").

Pocztówka z Połągi, sprzed 1914 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Góra Biruty

Nadmorskie wzgórze – Góra Biruty – jest związane z litewską mitologią i historią. Biruta miała być wajdelotką – kapłanką kultu bogini Praurymy, na której cześć na wzgórzu płonął wieczny ogień. Pewnego razu książę Kiejstut, zapędziwszy się nad brzeg Bałtyku, ujrzał urodziwą Birutę i postanowił się z nią ożenić. Według jednej opowieści panna się opierała, więc ją porwał, według drugiej, uwiecznionej w żmudzkiej pieśni, było jednak nieco inaczej:

Chociaż przysięgłam pod ogniem wieczności
Całe swe życie poświęcić czystości,
Lecz kiedy jest twa wola panie,
Niech ślub małżeński utwierdzi kochanie.

Kiejstut zabrał Birutę do Trok, ożenił się z nią, a ich synem był wielki książę Witold. Po śmierci męża Biruta, która się nie ochrzciła, powróciła do Połągi i tam zmarła.

Czy wzgórze stało się jej grobem, czy może została pochowana w innym miejscu, nie wiadomo. W każdym razie rozwinął się kult pogańskiej kapłanki i na górę z nią związaną dążyły pielgrzymki. Księża katoliccy początkowo starali się nie dopuszczać do nich, później wzięli się na sposób i na szczycie wzgórza wybudowali kapliczkę, co dało ten efekt, że modlono się do... świętej Biruty. W XVIII w. kapliczka została rozebrana, na jej miejscu stanął krzyż, który miał upamiętniać podobno ostatnie miejsce, gdzie utrzymywał się kult pogański.

Połąga znalazła się na wąskim skrawku wybrzeża, jedynym dostępie Litwy, a później Wielkiego Księstwa Litewskiego do morza. W Rzeczypospolitej Obojga Narodów Połąga należała do dóbr królewskich, później jej właścicielem był jeden z Mirbachów, następnie była własnością biskupa wileńskiego Ignacego Massalskiego.

Morskie kąpiele

W 1824 r. Połągę kupił Michał Tyszkiewicz. W tym samym roku do Połągi przyjechał Adam Mickiewicz, a jego pobyt znalazł odzwierciedlenie w „Konradzie Wallenrodzie". Pisał w tym poemacie o „wybrzeżach Połągi, gdzie grzmiącymi piersiami białe roztrąca się morze".

Niewiele wcześniej rozwinęła się moda na morskie kąpiele, które według ówczesnych lekarzy były uznawane za „wzmacniające, sprawujące sen i apetyt". Literat Tadeusz Bułharyn miał bardzo pozytywne doświadczenia w zetknięciu się z morską wodą w Połądze, do której zawitał w 1828 r.: „Skoro mię pierwszy dreszcz ominął, krew we mnie zawrzała, zmysły rozdrażnione nowej nabrały siły, tarcie ogromnej masy wody wywierało na mnie jakby elektryczne działanie: ogień i zdrowie krążyły w żyłach".

Do Połągi przyjeżdżano wówczas głównie z guberni grodzieńskiej, było też nieco rosyjskich wojskowych. Miejscowość miała ok. 50 domów, centrum życia amatorów kąpieli morskich była karczma, z pokojami dla przyjezdnych, w której odbywały się spotkania towarzyskie i bale. W latach 20. powstała w Połądze apteka, a z osobą jednego z aptekarzy związana jest opowieść o eksperymentach, w efekcie których powstała receptura słynnego alkoholu „trejos devynerios" (trzy dziewiątki), zwanego trojanką litewską – kompozycji 27 ziół (dziewięć gorzkich, dziewięć piekących, dziewięć aromatycznych). Ta ziołowa wódka, produkowana do dziś w Kownie, jest jednym ze słynnych wyrobów litewskich.

„Różnobarwne namioty pokrywają całe pobrzeże i tysiące nimf litewskich igra z falami Bałtyku. Ja na ten raz – wspominał plażowiczów w połowie XIX w. ks. Ludwik Adam Jucewicz – nie zwróciłem oka w tę stronę". Cnotliwy duchowny wolał oglądać Górę Biruty i rozważać jej dzieje, co bardziej go interesowało niż „całego świata piękne widoki".

Już przed powstaniem styczniowym Połąga była ulubionym miejscem wypoczynku ziemian. Powstanie nie zaszkodziło Józefowi Tyszkiewiczowi ani jego majątkom, gdyż zachowywał się lojalnie wobec władz carskich, odbył zresztą służbę wojskową w armii rosyjskiej, podobnie jak jego synowie: Aleksander i Feliks.

„Wyborne morskie, przesycone ozonem powietrze i zapach żywicznych starych lasów iglastych czynią Połągę wyjątkowo zdrową miejscowością – zachwalał Połągę Tadeusz Szanior w końcu XIX w. – Całe miasteczko rozłożone na przestrzeni dwuwiorstowej ma na początku wieśniacze chaty, w środku zaś dokoła bożnicy sklepy żydowskie, gdzie

eprasa.pl 016ae519f9

Budka kąpielowa na plaży w Połądze
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, WŁADYSŁAW ZAHORSKI

mieszczą się sklepy i sklepiki, dalej zaś jedyną i główną ulicę, w końcu park, kurhaus oraz domy mieszkalne i pałacyk hr. Tyszkiewicza". W „kurhausie" znalazły się w nim sala balowa dla „zabaw tańcujących", bilardowa, pokoje gościnne. W sezonie letnim przygrywała orkiestra kurlandzkiego pułku dragonów oraz prywatna orkiestra Michała Ogińskiego z Płungian.

Feliks Tyszkiewicz rozpoczął w 1895 r. budowę pałacu dla siebie, według projektu architekta Franza Schwechtena, który 10 później rozpoczął realizację Zamku Cesarskiego w Poznaniu. Dziś w pałacu jest muzeum bursztynu, z prawdopodobnie najbogatszymi zbiorami na świecie. Zasługą Tyszkiewicza jest też stworzenie wielkiego ogrodu botanicznego, zaprojektowanego przez Edouarda André, realizatora ogrodów w Funchalu na Maderze, Monte Carlo i Cognac.

Tyszkiewiczowie udostępnił letnikom swój park, wybudowali dla nich wille, a nazwy czerpano z powieści Sienkiewicza: „Danusia", „Zbyszek", „Basia", „Ursus" i „Chilon". Rodzice chętnie przyjeżdżali z dziećmi do Połągi, gdyż woda przy brzegu była bardzo płytka, tak że dorosły musiał zrobić 140 kroków, by zanurzyć się po szyję.

Ówczesne zwyczaje nie pozwalały na to, by mężczyźni i kobiety kąpali się razem, nawet w najbardziej zakrywających ciało strojach. Były więc ściśle określone pory dla każdej z płci. „Godziny pilnie są przestrzegane przez osobną służbę kąpielową, a flaga wywieszona w widocznym miejscu ostrzega o tym przechodniów" – pisał Tadeusz Szanior.

Wydawać by się mogło, że Połąga nie różniła się niczym od innych nadmorskich kąpielisk i uzdrowisk. A jednak coś ją wyróżniało dodatnio – zapewne ze względu na kulturę osób spędzających tam wakacje, może ich konserwatyzm.

„Połąga odznacza się dotąd tym – zauważała Nora Walicka tuż przed pierwszą wojną światową – że nie ma w sezonie na plaży tej złej kultury bulwarowej, wobec której młode kobiety i młodziutkie dziewczątka czują się, że się tak wyrażę, uciśnione. Zaniechajmy bliższych określeń. Dystyngowana swoboda i prostota panuje tu ogólnie, a jeżeli się zdarzy i zabrzmi jakiś ton fałszywy, to zamilknie i zginie natychmiast".

Nadbałtyckie Zakopane

Pojawiły się marzenia, aby Połąga stała się miejscem, w którym spotykałaby się polska elita intelektualna. „Jesteśmy podzieleni granicznymi słupami, łączmy się więc przynajmniej latem, gdzie nam przebywać wolno, ścieśnijmy więzy, które się skutkiem politycznych wypadków rozluźniły – apelował Stanisław Karwowski. – Niechaj Połąga stanie się tym na północy, czym jest Zakopane na południu".

Do takiej jednak roli Połądze było dość daleko. Zakopane znajdowało się w autonomicznej Galicji, gdzie swoboda spotykania się, organizowania, wypowiedzi była nieporównywalnie większa niż w leżącej w zaborze rosyjskim Połądze. Niemniej bywali w nadbałtyckim kurorcie twórcy, pisarze i malarze, a wśród nich Stanisław Witkiewicz, Lucjan Rydel, Tadeusz Miciński, Leon Wyczółkowski i Władysław Reymont. Ten ostatni zwracał uwagę na cudowne wręcz właściwości klimatu Połągi: „Zdrowieją ludziska w oczach prawie w tym czystym, słonym powietrzu".

Malarskie impresje z Połągi utrwalił na swych obrazach Stanisław Witkiewicz. Twórca stylu zakopiańskiego zaprojektował w 1902 r. nowy budynek „kurhausu", domu zdrojowego, w stworzonym przez siebie stylu zakopiańskim. Wydawałoby się, że elementy góralszczyzny nad morzem są czymś absurdalnym, Witkiewicz jednak uważał, że styl nazwany zakopiańskim reprezentuje nie budownictwo podtatrzańskie, lecz staropolskie, i jest stylem narodowym. Nie doszło jednak do realizacji tego projektu.

Ogrody Kretyngi

Kilkanaście kilometrów w głąb lądu od Połągi znajdowała się Kretynga, niegdyś własność hetmana Jana Karola Chodkiewicza, starosty żmudzkiego. Chodkiewicz ufundował w Kretyndze kościół i klasztor Bernardynów. Osobliwością świątyni były organy, „o których mówi podanie – jak zanotował Stanisław Karwowski – że gdy raz hucznie na nich zagrano, tak wielkie było wstrząśnienie powietrza, że zarysowało się sklepienie. Używa się ich więc z wielką ostrożnością i rzadko".

Słynna oranżeria pałacu w Kretyndze FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 016ae519f9

Słynęło piwo warzone przez bernardynów, a w związku z nim powstało dwuznaczne powiedzenie: „Si bene bibis Kretyngam ibis", to znaczy: jeśli dobrze (w sensie: dużo) pijesz, to pójdziesz do Kretyngi, gdyż – jak wyjaśniał Karwowski – do Kretyngi wysyłano na rekolekcje księży mających problemy alkoholowe.

Po rozbiorach Katarzyna II podarowała Kretyngę swemu faworytowi Zubowowi, rodzina ta jeszcze przed rokiem 1939 zamieszkiwała na Litwie, a Walerian Zubow, spowinowacony z Piłsudskimi, był u Marszałka w związku z poufnymi rozmowami między Kownem a Warszawą.

Około roku 1860 Kretyngę kupił od Zubowów Józef Tyszkiewicz, właściciel Połągi. W Kretyndze nie było rezydencji godnej hrabiego, jedynie dwa bezstylowe, sąsiadujące ze sobą budynki. Tyszkiewicz zbudował łącznik między nimi, którego częścią był ogród zimowy. „Największe zainteresowanie budził ów ogromny kilkukondygnacyjny ogród zimowy, najpierw konstrukcji drewnianej, później zastąpiony przez stalową – pisał Roman Aftanazy – jeden z największych prywatnych w Europie. O jego rozmiarach świadczyć mogło choćby to, że wewnątrz znajdowały się trzy stawki, połączone ze sobą kanałami, nad którymi przerzucone były mostki. Dwa stawki posiadały wodotryski, a jeden kaskadę wody spadającej po skałach z wysokości pierwszego piętra".

W ogrodzie zimowym była też grota, tak obszerna, że mogło biesiadować w niej 100 osób. Nie tylko z Połągi, lecz także z Kłajpedy, Tylży, Królewca przyjeżdżały wycieczki oglądać ową atrakcję, wypełnioną egzotyczną roślinnością: m.in. palmami, kaktusami, drzewami cytrusowymi. Drugą był założony przez Tyszkiewicza ogród, na którego terenie stworzono trzy stawy, ostoję dla ptactwa. „Chlubą angielskiej części ogrodu – podkreślał Aftanazy – były dęby z czasów hetmana Chodkiewicza, otoczone szczególną opieką właściciela".

W latach międzywojennych XX w. Polacy nie wypoczywali w Połądze ani nie odwiedzali Kretyngi. Władze litewskie odgrodziły się bowiem od Polski granicą, niczym chińskim murem.

Zarówno Połąga, jak i Kretynga były własnością Tyszkiewiczów aż do czasu utraty niepodległości przez Litwę i anektowania jej przez Rosję sowiecką w 1940 r.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rosyjskie „wybory"

Tomasz Stańczyk

Dyktatury uwielbiają powoływać się na „wolę ludu". Rosyjska dyktatura komunistyczna przez „lud" rozumiała „lud pracujący miast i wsi". Nie bez powodu separatystyczne „republiki" Doniecka i Ługańska nazywają się „ludowe", a w chwili, gdy piszę te słowa, być może już są nowe „republiki" – chersońska i zaporoska. Aż dziw, że oficjalna nazwa Rosji nie brzmi: Ludowa Federacja Rosyjska. Dzisiejsza dyktatura rosyjska może czerpać garściami z doświadczeń sowieckich. Rosja bolszewicka powoływała niby-państwa „ludu pracującego miast i wsi" w latach 1918–1920, takie jak Litewsko-Białoruska Socjalistyczna Republika Rad z 1919 r., konkurencyjna wobec niepodległej Litwy, oraz Ukraińska Ludowa Republika Rad z grudnia 1917 r. – wobec niezależnej od Rosji Ukrainy, która miesiąc później ogłosiła niepodległość.

Innym wzorem są wybory do „Zgromadzeń", oczywiście, „Ludowych" Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, przeprowadzone jesienią 1939 r. na okupowanych przez Armię Czerwoną ziemiach wschodnich województw Rzeczypospolitej Polskiej. Sowiecki aparat działał szybko i sprawnie, już w październiku zorganizując „kampanię wyborczą". Była ona – oczywiście – farsą. W atmosferze terroru NKWD można było głosować jedynie na wyznaczonych przez władze sowieckie „kandydatów", czyli nominatów władz komunistycznych. Ponieważ farsa wyborcza odbywała się na ziemiach, na których mieszkała „reakcja": księża katoliccy i grekokatoliccy, burżuazja, urzędnicy „faszystowskiej Polski" i inni „faszyści", frekwencja nie mogła wynieść 100 proc. Na zachodniej Ukrainie wynosiła 93 proc., a na Białorusi 97 proc.

„Wybrani" nominaci zebrali się w Białymstoku i we Lwowie. Celem „Zgromadzeń Ludowych" były wyłącznie „prośby" – wystosowane w końcu października do Rady Najwyższej Związku Sowieckiego – o przyłączenie zachodniej Ukrainy i Białorusi do odpowiednich republik sowieckich. Oczywiście na Kremlu przychylono się do tej „prośby". Obywatele Rzeczypospolitej stawali się odtąd obywatelami sowieckimi i odpowiadali przed sowieckimi sądami, nawet za działalność prowadzoną w Polsce, uznaną za „antysowiecką" i, a jakże, godzącą w „lud pracujący miast i wsi". Postępowanie Rosji sowieckiej było m.in. niezgodne z IV konwencją haską z 1907 r., która nakazywała okupantowi przestrzeganie praw obowiązujących na ziemi okupowanej i zabraniała przymuszania ludności do przysięgi na wierność państwu nieprzyjacielskiemu (musieli ją składać wcieleni do Armii Czerwonej), poszanowanie życia jednostek i własności prywatnej, jak również przekonań religijnych i wykonywania obrządków religijnych.

Inny sposób aneksji Moskwa zastosowała w przypadku niepodległych republik Litwy, Łotwy i Estonii. Gdy 15 czerwca 1939 r. wojska sowieckie rozpoczęły okupację Litwy, Moskwa zarządziła powołanie marionetkowego rządu na czele z komunistą Justasem Paseckim. Parlament został rozwiązany, a pod nadzorem NKWD i rosyjskich bagnetów odbyły się w lipcu „wybory" do „Sejmu Ludowego". Frekwencja była klasycznie sowiecka – 95,5 proc., a na nominatów Moskwy „głosowało" 99,1 proc. „Ludowy" parlament „poprosił" – oczywiście jednogłośnie – o przyjęcie Litwy do Związku Sowieckiego. W końcu sierpnia 1940 r. Rada Najwyższa „przychyliła się" się do „prośby" i tak powstała Litewska Socjalistyczna Republika Sowiecka. Identyczny scenariusz urzeczywistniono na Łotwie i w Estonii. Zgodnie z „wolą ludu"... ©℗

eprasa.pl 016ae519f9

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Taki mądry, a taki głupi

Mieczysław Grydzewski zapisał w sławnej rubryce „Silva rerum" w 1959 r.: „W najnowszym wydaniu Encyklopedii Larousse'a znajdujemy następującą notatkę: Beck Józef, polityk polski, urodzony w Warszawie (1894–1944). Były pułkownik, minister spraw zagr. Od roku 1932 do roku 1939. Za jego namową Polska podpisała z Niemcami dziesięcioletni układ (1934), ale wypowiedziawszy się przeciw przyłączeniu Gdańska do Niemiec, rozpętał drugą wojnę światową".

Grydzewski był przedwojennym inteligentem, więc jego komentarz do kretynizmów opublikowanych 15 lat po zakończeniu wojny w najbardziej renomowanej francuskiej encyklopedii jest znacznie bardziej powściągliwy, niż by się jej autorom należało. Redaktor wyraża swe oburzenie w słowach dość oględnych, pytając retorycznie, czy redagującym Larousse'a „półgłówkom" (to najmocniejsze słowo, jakie przechodzi mu przez usta) przyszłoby na myśl, że „odpowiedzialność za rozpętanie pierwszej wojny światowej ponoszą nie Wilhelm II i Bethmann-Holweg, ale Poincare i Viviani, którzy tak samo jak Beck Gdańska, nie chcieli oddać Niemcom fortec francuskich Toul i Verdun na swojej wschodniej granicy" (taki był jeden z warunków ultimatum postawionego Paryżowi przez Berlin w sierpniu 1914 r.).

Jeśli ktoś będzie miał możliwość zadania pytania prof. Mearsheimerowi, to bardzo proszę, niech go zapyta właśnie o to. Liczne wypowiedzi sławnego historyka i teoretyka geopolityki po rozpoczęciu przez Rosję „pełnoskalowej" agresji przeciwko Ukrainie prezentują bowiem tę samą logikę, której francuski wykwit odnotował Grydzewski. Winę za wojnę na Ukrainie ponoszą nie rosyjski imperializm, lecz zachodnie demokracje, które kolejnych uciekinierów z sowieckiego więzienia narodów, w tym Polskę, przyjęły do swoich struktur politycznych i wojskowych bądź, jak w wypadku Ukrainy, dały im taką nadzieję. Zagroziło to mocarstwowym interesom Moskwy i – jak twierdzi – wręcz zmusiło ją do kontrakcji.

> **Pomarańczowa rewolucja na Ukrainie wybuchła nie dlatego, że – jak chce prof. Mearsheimer – Amerykanie czy ktokolwiek inny zapłacili Ukraińcom za obalenie prorosyjskiego Janukowycza, ale dlatego, że to oni sami chcieli i chcą być częścią Zachodu, a nie prymitywnej Kacapii**

Profesor Mearsheimer jest Amerykaninem, nie Rosjaninem, trudno więc się nie dziwić, że do tego stopnia przejmuje sposób myślenia wyznawców kultu „Trzeciego Rzymu", Piotra I i Stalina. Sposób myślenia całkowicie odrzucający aspiracje narodów, a nawet w ogóle prawo narodów do posiadania takich aspiracji i do samostanowienia. Fałszywość powielanej przez niego putinowskiej narracji zasadza się na milczącym założeniu, że Zachód rozszerza swe struktury tak samo, jak czyniła to zawsze Rosja: przez podbój. Ludzie, których podbija, nie mają głosu, nie liczą się w najmniejszym stopniu. Liczą się linie rzek i brzegów, liczą się szlaki handlowe, strefy wpływu, kontrola nad strategicznymi cieśninami czy wąwozami – nic więcej.

Otóż NATO rozszerzyło się na wschód nie w ten sposób, że ktoś w Waszyngtonie postanowił przesunąć wojska na rubież Bugu i Narwi, więc, jak twierdzą ruscy propagandyści, sypnął dolarami i zorganizował rewolucję Solidarności. Pomarańczowa rewolucja na Ukrainie także wybuchła nie dlatego, że Amerykanie czy ktokolwiek inny zapłacili Ukraińcom za obalenie prorosyjskiego Janukowycza, ale dlatego, że to oni sami chcieli i chcą być częścią Zachodu, a nie prymitywnej Kacapii. Ofiarność, z jaką walczą dziś o to, powinna wykluczyć wszelkie wątpliwości.

Aż trudno mi pojąć, że autor tak skądinąd błyskotliwych książek potrafi pleść takie androny. Nie pierwszy to przykład, że wiedza nie chroni przed głupotą. ©℗

eprasa.pl 016ae519f9

Piotr Semka

/ Felieton

Rosyjski słoń i grecka porcelana

/ **Tempo, w jakim Putin zraża do siebie nawet narody tradycyjnie prorosyjskie, jest iście zawrotne**

Na portalu Deutsche Welle przeczytałem reportaż o tym, jak podzielone jest w kwestii wojny na Ukrainie społeczeństwo Grecji. W tekście występuje Marina – studentka z Rosji, która przeniosła się pod ateńskie niebo, chcąc wyrwać się z dusznej i coraz bardziej biedniejącej Rosji Putina. Opowiada, że gdy dzieli się z Grekami swoimi wątpliwościami co do sensu tej wojny, Grecy reagują zdumieniem. Pytają: „Jak możesz jako Rosjanka nie popierać operacji wojennej swojego narodu?!". Ta historia jest doskonałym przykładem tego, jak Rosja korzysta z historycznego kredytu. Już od XVIII w. Grecy, którzy uciekali z rządzonej przez Turków ojczyzny, przedzierali się przez Bałkany ku granicy Cesarstwa Rosyjskiego. Państwo carów chętnie przyjmowało prawosławnych współwyznawców z ziemi greckiej. Poszczególni greccy politycy robili kariery na dworze cesarskim, a jednocześnie po cichu wspomagali ruch niepodległościowy pod turecką okupacją. To wszystko pamiętane jest w Grecji do dziś i wywołuje silny nurt solidarności z Moskwą przeciwko Ukraińcom.

Grecja, choć formalnie jest członkiem NATO, ma starą tradycję nieufności wobec Amerykanów, których pod Akropolem oskarża się o faworyzowanie greckiego arcywroga – Turcji. Na tym tle wszyscy prawosławni bracia są w opinii wielu Greków ofiarami amerykańskiego imperializmu, którym należy się solidarność. Było to widoczne w 1999 r., kiedy ówczesny premier z partii socjalistycznej Kostas Simitis ledwo uspokoił nastroje społeczne – Grecy w większości byli przeciwko NATO jako agresorowi bombardującemu Serbię Slobodana Miloševicia. Teraz w roli pozytywnego bohatera występuje Rosja, której dyplomaci dwoją się i troją, uskarżając się na wredne plany Waszyngtonu wobec Grecji. Sondaże także pokazują, że spora część Greków kibicuje Rosji jako krajowi, który odważył się zablokować rzekome zamiary USA uczynienia z Ukrainy swojego wasala.

Tyle że cały ten rosyjski nurt w mediach i w opinii publicznej starannie ukrywa jeden kłopotliwy fakt. Otóż większość Greków na terenie Rosji mieszkała w Odessie i wokół niej oraz na wybrzeżu Morza Azowskiego z Azowem na czele. I teraz to potomkowie Greków drżą tygodniami w piwnicach, zastanawiając się, czy ich mieszkania są już spalone czy nie. Dlatego dyplomacja grecka rozpoczęła rozmowy z Moskwą i Paryżem, aby jak najszybciej doprowadzić do zawieszenia broni i pozwolić mieszkańcom Mariupola opuścić miasto. Liczbę ludzi mających greckie pochodzenie spisy ludności na Ukrainie oceniają na ponad 100 tys. Media greckie twierdzą, że jest ich nawet ok. 150 tys. W większości nie znają już greckiego i ich językiem jest rosyjski, rzadziej ukraiński, ale i greckie nazwiska rodowe wskazują na korzenie prowadzące do Hellady.

Premier Kyriakos Mitsotakis już zapowiedział, że Grecja odbuduje zniszczony szpital położniczy, i nazwał Mariupol symbolem barbarzyństwa tej wojny. Mitsotakis też uzasadnia dostawy greckiej broni na Ukrainę chęcią ratowania mieszkańców Mariupola, w tym oczywiście greckiej mniejszości. To nie koniec. Szef dyplomacji greckiej Nikos Dendias próbował nawet odwiedzić Mariupol, ale wycofał się z pomysłu wyjazdu do miasta, kiedy Rosjanie podkreślili, że nie są w stanie zapewnić bezpieczeństwa greckiemu politykowi w razie odwiedzin. Dendias w tej sytuacji przybył do Odessy na początku kwietnia, gdzie oddał hołd tajnemu stowarzyszeniu Filiki Etaireia, które na początku XIX w. odegrało ogromną rolę w przygotowaniu powstania niepodległościowego w Grecji w latach 20. XIX w.

Cała ta historia pokazuje, jak Rosjanie z jednej stroni skwapliwie korzystają z życzliwej pamięci mieszkańców Bałkanów o Rosji jako jedynej siły, która mogła osłabić rządy Turcji w tym regionie, a jednocześnie jak ciągłe mordy Rosjan na cywilach zniechęcają do Moskwy coraz to kolejne rządy. Rosjanie jak zwykle żonglują hasłami prawosławnej solidarności, ale pytanie, czy na wiele się to zda w czasie wojny na Ukrainie. Na razie Grecja nie może nawet sobie pozwolić na zbytnie drażnienie Rosji. Tutaj także wpływowa w polityce jest frakcja, która zadaje brutalne pytanie: Kto zapłaci Grekom za utratę wspaniałego gazu z Kaukazu? Jeśli jednak Rosjanie zakładali, że Grecy poprą ich jak kiedyś Serbów – to się pomylili. ©℗

eprasa.pl 016ae519f9

1853–1856 / Wojna krymska na lądzie i morzu

Imperium trafione zatopione

Maciej Rosalak

Krym niemal 170 lat temu stał się widownią krwawego konfliktu, z Rosją w roli głównej

Tatarską siedzibą Krym był od połowy XIII w. Najpierw należał do Złotej Ordy, a po 200 latach do Chanatu Krymskiego, który rychło wprawdzie uznał protektorat sułtana tureckiego, ale zachował sporą niezależność, objawiającą się m.in. w samodzielnym organizowaniu łupieżczych wypraw na chrześcijańskich sąsiadów. Po zwycięskich wojnach Imperium Rosyjskiego z imperium osmańskim został najpierw (1774) objęty przez carycę Katarzynę II protektoratem, a następnie (1783) zaanektowany przez nią. W tymże roku książę Grigorij Potiomkim, wsparty przez wybijającego się oficera marynarki Grigorija Uszakowa, założył główną bazę dla nowo tworzonej floty – potężną twierdzę Sewastopol.

Właśnie Uszakow otworzył poczet naprawdę znakomitych dowódców Floty Czarnomorskiej. W 1790 r. pokonał Turków pod Kerczem i koło wyspy Tendra. W następnym roku u bułgarskiego przylądka Kaliakra, dążąc do zajęcia pozycji od nawietrznej przez swą eskadrę z 16 liniowcami, nie zmienił trzykolumnowego szyku, lecz z marszu przeszedł między zacumowanymi okrętami tureckimi (w tym pomiędzy 18 liniowcami) a lądem. Zaskoczona flota turecka odcięła kotwice i usiłowała utworzyć linię bojową, co skończyło się chaosem i jej dotkliwą klęską. W 1798 r. admirał Horatio Nelson zastosował podobny manewr pod Abukirem. Do początku XIX w. Uszakow wspierał z morza antynapoleońskie działania we Włoszech i zdobywał wyspy (np. Korfu) śródziemnomorskie.

Podczas wojny krymskiej lat 1853–1856 niektóre wydarzenia miały miejsce po raz pierwszy w dziejach. Oto dzięki reporterom i fotoaparatom relacjonowano ją na bieżąco, ukazując, jak straszne sceny rozgrywają się na polu bitwy, i jak tragiczny bywa los rannych i chorych. To też wpłynęło na angielską damę Florence Nightingale oraz rosyjskiego chirurga wojskowego Mikołaja Pirogowa, którzy po raz pierwszy zorganizowali nowoczesne, kobiece służby pielęgniarskie.

eprasa.pl 016ae519f9

„Bitwa pod Synopą", 1853 r. – mal. Iwan Ajwazowski FOT. WIKIPEDIA

Nigdy wcześniej nie przeprowadzono też desantu morskiego na tak wielką skalę, a następnie nie uzupełniano i nie zaopatrywano drogą morską tak licznych wojsk przez rok z okładem. Wojnę rozgrywano głównie w okopach, nie zaś – jak dotąd – w zwartych szykach prących do rozstrzygającego zwarcia. Wspomnieć należy o gwintowanych karabinach i samouszczelniających się pociskach, które właśnie wtedy weszły do powszechnego użycia w armiach Francji i Wielkiej Brytanii. Znacznie lepsza celność i trzykrotnie większa donośność dawały ich żołnierzom ogromną przewagę nad żołnierzami rosyjskimi.

Admirał Fiodor Uszakow FOT. WIKIPEDIA

Admirał Paweł Nachimow FOT. WIKIPEDIA

Wtedy też pojawiły się parowe okręty wojenne poruszane śrubami, zamiast wcześniej wprowadzanych bocznych kół łopatkowych. W porównaniu z fregatami i wielkimi liniowcami korzystającymi wyłączne z żagli, śrubowce były szybsze, zwrotniejsze, a przede wszystkim uniezależnione od kierunku wiatru. Francuski „Napoleon" – pierwszy liniowy śrubowiec – został oddany Marine Nationale w 1852 r. Tuż przed konfliktem czarnomorskim. Miał prawie 78 m długości, wypierał ponad 5 tys. ton, załoga przekraczała liczbę 900 osób, strzelał z 90 dział. Rozwijał prędkość ponad 12 węzłów. Za Francuzami nadążali jedynie Brytyjczycy.

Każda z eskadr sojuszników (łącznie 34 liniowce i 55 fregat), które pojawiły się w 1854 r. na Morzu Czarnym, składała się już mniej więcej w połowie z parowych śrubowców.

Okręty Floty Czarnomorskiej (w tym 14 liniowców, wyłącznie żaglowych), które górowały nad jeszcze bardziej zapóźnioną technicznie flotą turecką, w starciu z okrętami zachodnioeuropejskimi stały na straconej pozycji. Toteż schroniły się w zatoce Sewastopola, a większość z nich zatopiono – jako blokadę – u wejścia. Setki dział wcześniej wymontowano, aby pełniły funkcję artylerii fortecznej. Z załóg tworzono bojowe oddziały szturmowe. Wkrótce obroną Sewastopola zaczęli znakomicie kierować – póki kolejno w 1855 r. nie polegli – mężni admirałowie Władimir Korniłow, Paweł Nachimow, kontradmirał Władimir Istomin…

Car osamotniony

Po zwycięstwie nad Napoleonem Bonaparte zarówno car Aleksander I, jak i jego następca Mikołaj I przeświadczeni byli o kolejnej, dziejowej misji imperium rosyjskiego. Po „zebraniu ziem ruskich" wraz z rozgrabieniem Rzeczypospolitej, do „wyzwolenia" pod swym przewodem Słowiańszczyzny i wszystkich ludów prawosławnych spod panowania Turcji – doszła teraz rola strażnika Świętego Przymierza, które raz na zawsze miało położyć kres wstrząsom rewolucyjnym i obalaniu monarchii w Europie. Możliwe, że Mikołaj I wierzył w ową misję, co mu w realnym świecie nie przeszkadzało stosować brutalnej przemocy, czym Rosja w pełni zasłużyła sobie na miano „żandarma Europy", a sam car na przydomek „Pałkin".

W pierwszej połowie XIX w., po miażdżących zwycięstwach sojuszu rosyjsko-brytyjsko-francuskiego w wywalaniu Grecji (m.in. pod Navarino w 1827 r., gdzie eskadra rosyjska z czterema liniowcami walnie przyczyniła się do tureckiej klęski), Mikołajowi I wydało się, że bliski jest odbicia z rąk muzułmanów Konstantynopola, którego spadkobiercami czuli się carowie już od Iwana III Srogiego (koniec XV w.). Choć zyskał autonomię księstw naddunajskich, pełne władztwo nad Morzem Czarnym i zamknięcie Dardaneli i Bosforu dla państw nieleżących nad tym morzem, parł do ostatecznej konfrontacji ze skrajnie osłabioną – zdawałoby się – Turcją. Już w 1844 r. starał się przekonać królową Wiktorię do rozwiązania: Egipt dla Anglii, Bosfor i Dardanele oraz Bałkany dla Rosji. Gdy Brytyjczycy odrzucili taki plan, szukał sprzymierzeńców w Wiedniu i Berlinie. W tej sytuacji Brytyjczycy postawili na Francję.

Wiara we własną potęgę i niezauważenie zmian, które zachodziły w Europie, wykrzywiły carowi obraz realnej sytuacji. Naruszył interesy zarówno Wielkiej Brytanii, jak i Francji, które wcale nie były zainteresowane jeszcze większym

eprasa.pl 016ae519f9

wzrostem potęgi Rosji kosztem Turcji na terenach i akwenach bliskowschodnich. Z kolei Austria, której Mikołaj parę lat wcześniej pomógł zgnieść powstanie węgierskie, bynajmniej nie chciała rosyjskiej konkurencji na Bałkanach. Gdy Mikołaj zamiast pomocy doczekał się od niej czarnej niewdzięczności, kazał odwrócić do ściany portret Franciszka Józefa, a austriackiemu posłowi rzekł: „Czy słyszał pan o dwóch najgłupszych królach polskich? Pierwszym z nich był Sobieski, drugim zaś jestem ja, bo obaj uratowaliśmy Austrię od zagłady".

W maju 1853 r. okręty brytyjskie i francuskie wpłynęły do cieśniny dardanelskiej. Rosja w odpowiedzi wysłała niemal 90-tysięczną armię księcia Michaiła Gorczakowa za Prut i zajęła Mołdawię i Wołoszczyznę. Turcja, czując poparcie mocarstw zachodnioeuropejskich, wypowiedziała jej wojnę. Z początku doznała dwóch klęsk: admirał Paweł Nachimow zniszczył 30 listopada 1853 r. turecką eskadrę w Zatoce Synopskiej na wybrzeżu Anatolii, a korpus kaukaski rozbił armię anatolijską. Ale odrzucenie przez cara ultimatum Francji i Wielkiej Brytanii, domagających się ustąpienia Rosjan z Bałkanów, spowodowało przystąpienie ich do wojny w marcu 1854 r.

Desant i oblężenie

22 kwietnia 1854 r. eskadra sprzymierzonych przez sześć godzin ostrzeliwała Odessę. To było pierwsze starcie w wojnie nazwanej krymską. W czerwcu wylądował w Warnie korpus ekspedycyjny składający się z 39 tys. Francuzów i 20 tys. Brytyjczyków. Rosjanie ewakuowali się z Wołoszczyzny i Mołdawii. Z Warny trapione cholerą wojska francusko-brytyjsko-tureckie ruszyły morzem w stronę Krymu, a 14 sierpnia zeszły na ląd w Eupatorii, 45 km na północny zachód od Sewastopola. W tej największej z dotychczasowych operacji desantowych użyto 300 statków transportowych i 34 wielkich okrętów liniowych.

Z początku siły sprzymierzonych liczyły 32 tys. żołnierzy francuskich, 26 tys. brytyjskich oraz 7 tys. tureckich. Mieli 96 armat. Dowodzili francuski marszałek Saint Arnaud (po jego śmierci na cholerę zastąpił go we wrześniu gen. Franćois Canrobert) oraz lord Fitzroy Somerset, baron Raglan, którzy

Zdobycie kurhanu Małachowa przez Francuzów w 1855 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

chcieli jak najszybciej zająć Sewastopol. Jak wspominał jeden z uczestników, „wojska zostały desantowane z prowiantem na trzy dni, bez namiotów i jakichkolwiek materiałów obozowych [...] bitna armia znalazła się na nieprzyjacielskim brzegu bez zapasów wody, z wyjątkiem tej, która spadła z nieba". 20 września nad rzeką Almą pokonała ona jednak i zmusiła do odwrotu 34-tysięczną rosyjską armię Aleksandra Mienszykowa.

Szczególnie zabójczy okazał się ogień francuskiej piechoty. Nie tylko z gwintowanych kapiszonówek dziesiątkowano sołdatów, zanim zbliżyli się na odległość pozwalającą im na skuteczny ostrzał ze swoich karabinów, lecz także przy mierzonym ogniu obezwładniano zdumione obsługi dział (Mienszykow miał ich 88), do tej pory pozostające poza zasięgiem ręcznej broni palnej. Angielscy piechurzy uzbrojeni byli w karabiny wz. 1851 strzelające samouszczelniającymi się pociskami typu Minié, Francuzi z kolei dysponowali karabinami wz. 1846 systemu Thouvenina. Karabiny wyposażono już w skalowane celowniki.

Przewaga w uzbrojeniu zaznaczała się następnie przez niemal cały rok oblężenia, które rozpoczęło się 17 października 1854 r. Sprzymierzeni stopniowo uzupełniali szeregi, dostarczali broń, amunicję, namioty, ciepłą odzież i prowiant, natomiast oblężeni skazani byli na to, co zgromadzono w twierdzy, zaopatrzenie od strony morza i od strony lądu zostało bowiem udaremnione. Mienszykow wycofał się z Sewastopola, zostawiając dowództwo admirałom Korniłowowi i Nachimowowi. Pierwszy zginął już jesienią 1854 r., a drugi podczas szturmu w czerwcu roku następnego. Wielką pomoc okazał im inżynier wojskowy gen. Edward Totleben, który wzmacniał istniejące bastiony i szańce oraz wznosił nowe. Najlepiej wyglądała sytuacja na południu: na Kurhanie Małachowskim i wzgórzu Memelon Vert powstało siedem nowych bastionów, na których ustawiono 341 dział.

Sprzymierzeni ostrzeliwali twierdzę, zabijali obrońców i burzyli umocnienia, a także drążyli tunele, próbując wysadzić skalne fundamenty rosyjskich bastionów. Rosjanie wykuwali tunele, aby zniszczyć korytarze przeciwników. Dochodziło do zabójczych eksplozji i do podziemnych walk wręcz na noże, bagnety, kilofy i łopaty.

Natomiast Mienszykow przybył 25 października z odsieczą pod Bałakławę. Tam doszło do słynnej szarży Lekkiej Brygady wprost pod lufy rosyjskich dział, które zdziesiątkowały brytyjskich jeźdźców. Trzeba jednak dodać, że ich ofiara nie poszła na marne, bo Bałakławę utrzymano, a natarcie Mienszykowa odparto. Listy ocalałych przynoszą świadectwa o wartości angielskich szabel: niektórzy z ich kolegów stracili ponoć życie, nie mogąc przebić sztychem grubych płaszczy Rosjan, ale inni rozcinali głowy od czubka aż do brody. 5 listopada Mienszykow poniósł kolejną porażkę pod Inkermanem, a rozdrażniony car przekazał dowództwo księciu Michaiłowi Gorczakowowi.

Cień kurhanu Małachowa

Rokowania wojujących stron w Wiedniu nie przyniosły rezultatów i Rosjanie wznowili w lutym 1855 r. działania wojenne. Przegrali jednak z Turkami pod Eupatorią, co życiem przypłacił... sam car Mikołaj I. Otóż przyjmował defiladę podczas siarczystego mrozu w samym mundurze, co skończyło się śmiertelnym zapaleniem płuc. Mówiono, że życie mu zbrzydło po krymskich klęskach.

Z kolei ogromne straty i długie bezskuteczne oblężenie spowodowały powołanie nowego dowódcy sojuszniczych wojsk lądowych (został nim gen. Aimable Péllisier), a także nowych dowódców floty. W dniach 25–26 maja podjęli oni natarcie na Sewastopol i za cenę 5554 poległych i rannych Francuzów oraz 693 Brytyjczyków opanowali trzy reduty na przedpolu kurhanu Małachowa. Równocześnie okręty zajęły Kercz, co umożliwiło penetrację Morza Azowskiego.

Pierwszy generalny szturm Sewastopola, bronionego przez 75 tys. żołnierzy z 549 armatami, nastąpił 17 czerwca. Atakowało ich 173 tys. żołnierzy (106

eprasa.pl 016ae519f9

tys. Francuzów, 45 tys. Brytyjczyków, 15 tys. Piemontczyków i 7 tys. Turków) wspieranych przez 587 dział. „Nie można sobie wyobrazić straszliwszego obrazu zniszczenia – wspominał gen. Ławrentij Duchonin. – Bezprzykładne w historii wojen piekło – obustronny ogień do późnej nocy nie milkł i nie osłabł ani na minutę. Miasto było dosłownie zasypane bombami i rakietami, ale ponieważ wszystkie domy były murowane i na poły zburzone, nie miało się co palić. Nadeszła złowroga noc, ogień nieprzyjacielski wzmagał się coraz bardziej, bomby i rakiety, zataczając ogniste łuki, przeorywały niebo, wszystkie baterie, nasze i nieprzyjacielskie miotały wokół siebie płomienie i śmierć".

W lipcu 1855 r. car Aleksander II polecił Gorczakowowi odblokowanie twierdzy za wszelką cenę, co ten spróbował uczynić 16 sierpnia nad rzeką Czorną. Nadaremnie. Rosjanie stracili 10 tys. zabitych i rannych oraz nadzieję na odwrócenie losów wojny. W drugiej połowie sierpnia ostrzał artyleryjski był tak silny, że straty Rosjan sięgały 600–1500 zabitych na dobę. 5 września na miasto spadło 70 tys. kartaczy. Obrońcom brakowało amunicji. 8 września Francuzi zajęli kluczowe pozycje na kurhanie Małachowa i Rosjanie rozpoczęli ewakuację Sewastopola. Po 349 dniach oblężenia do miasta wkroczyły wojska sprzymierzonych.

30 marca 1856 r. w Paryżu podpisano pokój. Rosja musiała zdemilitaryzować Morze Czarne i Wyspy Alandzkie na Bałtyku, a sojusznicy objęli protektoratem księstwa naddunajskie. Wojna pochłonęła życie 100 tys. Rosjan. Kryzys finansowy nękał imperium w ciągu następnego dziesięciolecia, a kryzys moralny pogłębiły w kolejnym pokoleniu wojna japońska, pierwsza wojna światowa i rewolucja bolszewicka. Ale to wojna krymska była pierwszym po pokonaniu Napoleona Bonaparte wielkim konfliktem chrześcijańskich mocarstw Europy. Obnażyła iluzoryczność Świętego Przymierza zawartego pod egidą Rosji na Kongresie Wiedeńskim (1815) i wykazała zacofanie oraz faktyczną słabość wielkiego imperium Romanowów.

Sowiecki Order Uszakowa (1944 r.) awers

FOT. WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sen na jawie

Maciej Rosalak

Podczas pamiętnego spotkania, gdy nasz prezydent Andrzej Duda przybył wraz z głowami państw Litwy, Łotwy i Estonii do zagrożonego przez armię moskiewską Kijowa, ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski na powitanie objął go w całkiem bezceremonialnym, ale niespotykanie serdecznym uścisku. Fotografia tej sceny obiegła świat i głęboko zapadła Polakom w serca. Ponad 360 lat upłynęło od umowy w Hadziaczu o wspólnym państwie – polsko-litewskiej Rzeczypospolitej z kozackim Księstwem Ruskim – i dożyliśmy nareszcie tej chwili, gdy na dobre dojrzało polsko-ukraińskie braterstwo. Potwierdziło je ostatnimi laty wiele istotnych wydarzeń, aż znalazły wyraz w niebywałym, symbolicznym geście nieugiętego, mądrego i prawego przywódcy Ukraińców. Oczywiście nie tylko gestów, lecz także przede wszystkim trwałego porozumienia i po Hadziaczu zabrakło, i jeszcze parę razy w historii, gdy zdarzała się po temu okazja. Pamięć błyskawicznie przeczesywała dzieje, aby znaleźć sygnały tego, co – jak we śnie – ujrzeliśmy w telewizorach A.D. 2022. I jedno piękne hasło, jedno marzenie pamięć odnalazła: Rzeczpospolitą Trojga Narodów na sztandarach powstańców z XIX stulecia…

Dramatyzm barbarzyńskiego najazdu rosyjskiego, heroizm nieustraszonych obrońców ukraińskich, tragedia Buczy i Mariupola, śmierć oraz męki kobiet i dzieci – to wszystko dzieje się w tle tego momentu. Tego filmowego kadru, który na naszych oczach uwiecznia też inflancko-litewsko-polsko-ukraińską rzeczywistość, a nie historical i nie political fiction. Bo oto ukraiński naród powstaje jak nigdy dotąd w historii i rzuca się nam w objęcia. My je, na szczęście, szeroko otwieramy. Wołodymyr Zełenski dziękował nam za wszelaką pomoc również podczas późniejszego spotkania z polskimi dziennikarzami, ale nie podziękowania, lecz marzenia o powojennej odbudowie, o której nagle zaczął mówić łagodnym głosem, z jakby dobrze przemyślanymi planami oraz z niemal chłopięcym zachwytem, wzruszyły mnie wcale nie mniej niż wcześniej prezydenckie spotkanie. Projektowane teatry, kina, szkoły, szpitale, parki, biblioteki, o których mówił, przypomniały mi bowiem innego prezydenta i jego ostatnie przemówienie radiowe, które wygłaszał, zanim 23 września 1939 r. niemieckie bomby zniszczyły elektrownię i zgasiły Polskie Radio. To oczywiście słowa komisarycznego prezydenta Warszawy – Stefana Starzyńskiego:

„Chciałem, by Warszawa była wielka. Wierzyłem, że wielka będzie. Ja i moi współpracownicy kreśliliśmy plany, robiliśmy szkice wielkiej Warszawy przyszłości. I Warszawa jest wielka. Prędzej to nastąpiło, niż przypuszczaliśmy. Nie za lat pięćdziesiąt, nie za lat sto, lecz dziś widzę wielką Warszawę. Gdy teraz do was mówię, widzę ją przez okna w całej wielkości i chwale, otoczoną kłębami dymu, rozczerwienioną płomieniami ognia, wspaniałą, niezniszczalną, wielką, walczącą Warszawę. I choć tam, gdzie miały być wspaniałe sierocińce, gruzy leżą, choć tam, gdzie miały być parki, dziś są barykady, gęsto trupami pokryte, choć płoną nasze biblioteki, choć palą się szpitale – nie za lat pięćdziesiąt, nie za sto, lecz dziś Warszawa broniąca honoru Polski jest u szczytu swej wielkości i sławy…". Chwała Bohaterom! Od powietrza, ognia, głodu i wojny zachowaj Kijów, całą Ukrainę, i Polskę, Panie! ©℗

eprasa.pl 016ae519f9

Niemieckie karabiny ppanc. wz. 38 i 39

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej na uzbrojeniu wielu armii znajdowały się karabiny przeciwpancerne. W Wehrmachcie używano dwóch różnych wzorów skonstruowanych w latach 30.

Prace nad nową bronią przeciwpancerną rozpoczęto, opierając się na doświadczeniach związanych z karabinem wz. 1918 (Tank Gewehr), który zadebiutował pod koniec pierwszej wojny światowej. Był on monstrualnym mauzerem bardziej przypominającym XVII-wieczne strzelby wałowe aniżeli późniejsze karabiny przeciwpancerne, ważył blisko 18 kg i strzelał nabojem 13,25 x 92 mm. Miał tak potężny odrzut, że strzelcy obawiali się o swoje obojczyki… Dla jego następcy opracowano nową amunicję. Nabój Patrone 318 (P318) oparto na amunicji do T-Gewehra, ale w 94-milimetrowej łusce zwężono średnicę szyjki i osadzono pocisk kalibru 7,92 mm. Amunicję produkowano w trzech rodzajach: z pociskiem z rdzeniem (po jakimś czasie rdzeń ze stali zastąpiono wolframowym), ze smugaczem i z kapsułką zawierającą gaz łzawiący. W tym ostatnim typie chodziło niewątpliwie o zwiększenie efektu w przypadku przebicia pancerza, trudno jednak powiedzieć, czy sprawdziło się to w praktyce.

Zadania stworzenia broni podjęły się zakłady Gustloff Werke. W 1938 r. powstała półautomatyczna broń ładowana z zasobnika bębnowego na 36 naboi lub pudełkowego, 10-nabojowego. Każdy nabój po ręcznym wprowadzeniu do komory nabojowej był automatycznie ryglowany przez zamek klinowy, który po strzale dokonywał także ekstrakcji łuski. Mechanizmy uruchamiane były poprzez długi odrzut lufy. Broń miała dwójnóg i oporę ramieniową zaopatrzoną w poduszkę gumową. Pomimo nowatorskich rozwiązań Panzerbüchse Modell 38 (PzB-38) nie zyskał entuzjazmu wojskowych i po wyprodukowaniu ok. 1,6 tys. sztuk w latach 1939–1940 produkcję wstrzymano.

Równolegle rozpoczęto wytwarzanie znacznie uproszczonej i „odchudzonej" wersji (PzB-39 – na zdjęciu), która znalazła szerokie zastosowanie bojowe. Przede wszystkim zrezygnowano z automatyki – broń zachowała zamek klinowy, ale zarówno wprowadzenie naboju do komory, jak i wyrzucenie pustej łuski odbywało się ręcznie (poprzez pchnięcie chwytu). Karabin był lżejszy od poprzednika blisko o 4 kg i bez zasobników z amunicją ważył ok. 12,7 kg. Dzięki składanej do dołu kolbie był znacznie wygodniejszy w transporcie – długość w położeniu marszowym nie przekraczała 1,3 m. Lufę zaopatrzono w hamulec wylotowy pochłaniający 60 proc. energii odrzutu.

Przyrządy celownicze składały się z muszki pryzmatycznej i celownika szczerbinkowego wyskalowanego na 400 m. W trakcie strzelania broń opierano na dwójnogu – identycznym jak w karabinie maszynowym MG 34. Po obu stronach komory zamkowej mocowano odejmowane zasobniki mieszczące po 10 naboi 7,92 x 94 mm. Lufa długości 110 cm w połączeniu z naważką 14,7 g prochu rozpędzały pocisk do 1210 m/s; pozwalało to przebić płytę pancerną o grubości 25 mm z odległości 300 m przy kącie uderzenia 90 stopni.

W porównaniu z polskim karabinem przeciwpancernym – słynnym „Urem" (kb ppanc. wz. 35) – jego niemiecki odpowiednik posiadał w zasadzie jedną istotną przewagę – składaną kolbę, która ułatwiała transport broni. Osiągi balistyczne były mniej więcej zbliżone, choć Niemcy dysponowali szerszą gamą amunicji. ©℗

eprasa.pl 016ae519f9

Jak-9

W krajowych muzeach znajduje się co najmniej kilkanaście unikatowych zabytkowych samolotów wojskowych. W kolekcji Muzeum Wojska Polskiego wyróżnia się m.in. sowiecki myśliwiec Jak-9. Maszyn takich zachowało się zaledwie kilka na świecie (w Polsce jest jeszcze jedna, w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni). Koncepcja samolotu narodziła się pod koniec lat 30. ubiegłego wieku i w chwili napaści Niemiec na ZSRS w czerwcu 1941 r. była to najlepsza sowiecka maszyna (Jak-1). Ten jednomiejscowy (istniała tez wersja dwumiejscowa) dolnopłat o konstrukcji mieszanej poddano w toku wojny licznym modernizacjom, których celem było usunięcie pojawiających się problemów, a także poprawienie charakterystyki bojowej.

Dopracowywano sylwetkę, instalowano mocniejsze jednostki napędowe, zwiększano zasięg poprzez montaż nowych zbiorników paliwa, wzmacniano uzbrojenie. Powstało w sumie kilka wersji podstawowych. Jak-9 zadebiutował na froncie w 1942 r. Okazał się godnym przeciwnikiem dla maszyn Luftwaffe, dobrze spisywał się także w zwalczaniu celów naziemnych. Eksponat z MWP to wersja P, produkowana już po wojnie, o konstrukcji całkowicie metalowej. Jaki-9 wzięły udział w wojnie koreańskiej. Warszawski jak trafił do muzeum w latach 50. jako dar Dowództwa Wojsk Lotniczych. ©℗

Oto 2.Korpus

Do najlepiej rozpoznawalnych należą godła 3. Dywizji Strzelców Karpackich i 5. Kresowej Dywizji Piechoty. Żołnierze tej pierwszej nosili zieloną choinkę (nazywaną jodełką lub świerkiem) na biało czerwonym tle, drudzy naszywali oznakę w postaci żubra na żółtej tarczy z brązową obwódką. Obie zatwierdzone zostały w marcu 1944 r. Godła sporządzano z różnych materiałów, m.in. bakelitu, chociaż najczęściej spotykane są tekstylne, np. haftowane ręcznie lub maszynowo, umieszczane na lewym rękawie, tuż pod naszywką „POLAND" wprowadzoną w 2. Korpusie w grudniu 1943 r. Już po wojnie, ale przed wyjazdem z Włoch do Wielkiej Brytanii, doszła trzecia oznaka – biała warszawska syrenka na czerwonej tarczy będąca godłem Korpusu i noszona przez wszystkich żołnierzy, a wcześniej jedynie przez dowództwo oraz oddziały pozadywizyjne. Odpowiedni rozkaz gen. Andersa ukazał się 22 czerwca 1946 r. Syrenka miała odróżniać weteranów 2. Korpusu od ich kolegów stacjonujących w Wielkiej Brytanii. Na zdjęciu: łapka na naramiennik żołnierza 5. KDP (stosowano je przy mundurach tropikalnych, na które nie naszywano oznak rozpoznawczych). ©℗

Szwedzki peem na egipskiej pustyni

Pistolet maszynowy wz. 45 zaprojektowano w latach 40. i w roku 1945 wprowadzono do uzbrojenia armii szwedzkiej. Broń okazała się nadzwyczaj solidna i ergonomiczna, stanowiła połączenie konstrukcji niemieckiej (MP 40) i angielskiej (Sten). Carl Gustaf (nazwa macierzystej wytwórni) działał na zasadzie odrzutu zamka swobodnego, strzelał amunicją 9 mm Parabellum i miał składaną do boku prętową kolbę. Zasilano go z magazynków pudełkowych dołączanych od dołu. Peem wzbudził zainteresowanie Egiptu, który w latach 60. zakupił partie peemów wycofywanych ze szwedzkiej armii, a potem wykupił licencję na ich produkcję. Egipski Port Said nie różnił od pierwowzoru. Opracowano także „odchudzoną" wersję nazwaną Akaba, z której usunięto osłonę lufy, a składaną na bok kolbę zastąpiono wysuwaną. Peemów w tej wersji wyprodukowano niedużo. Peemy Part Said znalazły szerokie zastosowanie podczas wojny Jom Kippur w 1973 r. Szwedzka broń spodobała się także Amerykanom; zakupionych przez CIA peemów użyto w Wietnamie w działaniach niekonwencjonalnych. ©℗

eprasa.pl 016ae519f9

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

SZACUJE SIĘ, ŻE PO WOJNIE POLSKO-BOLSZEWICKIEJ, KTÓRĄ ZAKOŃCZYŁ TRAKTAT RYSKI Z 18 MARCA 1921 ROKU, POZOSTAŁO NA TERYTORIUM ZSRS OKOŁO 1,2 MILJONA POLAKÓW. JUŻ W LATACH 20. WIELU Z NICH DOŚWIADCZYŁO PRZEŚLADOWAŃ Z POWODU KULTYWOWANIA POLSKICH TRADYCJI CZY RELIGII KATOLICKIEJ. NA TERENACH, GDZIE BYŁY NAJWIĘKSZE SKUPISKA POLAKÓW, CZYLI UKRAINIE I BIAŁORUSI, UTWORZONO AUTONOMICZNE REJONY NARODOWE: MARCHLEWSZCZYZNĘ (W 1925 R.) ORAZ DZIERŻYŃSZCZYZNĘ (W 1932 R.). JEDNAK POLACY NIE PODDAWALI SIĘ SYSTEMOWEJ INDOKTRYNACJI, DLATEGO W 1937 ROKU PRZYSTĄPIONO DO „OPERACJI POLSKIEJ".

ROZPOCZĄŁ JĄ ROZKAZ NR 00485 PODPISANY 11 SIERPNIA 1937 ROKU PRZEZ SZEFA NKWD – NIKOŁAJA JEŻOWA. JUŻ KILKA LAT WCZEŚNIEJ ROZPOWSZECHNIANO FAŁSZYWE OSKARŻENIA, ŻE ZA KLĘSKĘ GŁODU ODPOWIADAJĄ POLACY DZIAŁAJĄCY W POLSKIEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ, TERAZ ZAPLANOWANO ZŁAPANIE ICH WSZYSTKICH I SKAZANIE NA KARĘ ŚMIERCI LUB ZSYŁKĘ DO ŁAGRÓW.

PRZYZNANIE SIĘ DO DZIAŁALNOŚCI W POW WYMUSZANO TORTURAMI, PREPAROWANO OSKARŻENIA, A TAKŻE DAWANO DO PODPISANIA PUSTE PROTOKOŁY, KTÓRE PÓŹNIEJ UZUPEŁNIANO. CZĘSTO ZA DOWÓD UZNAWANO POLSKIE KSIĄŻKI ZNALEZIONE W CZASIE ARESZTOWANIA, KORESPONDENCJĘ Z MIESZKAJĄCĄ W POLSCE RODZINĄ CZY SAM FAKT WYZNAWANIA RELIGII KATOLICKIEJ. SKAZANYM NIE PRZYSŁUGIWAŁA APELACJA.

PO SKAZANIU „ZDRAJCÓW OJCZYZNY", ZABIERANO SIĘ ZA ICH RODZINY. SZCZEGÓŁOWE ZASADY OKREŚLAŁ ROZKAZ NR 00486 WYDANY PRZEZ JEŻOWA 15 SIERPNIA 1937 ROKU. MOŻNA W NIM PRZECZYTAĆ: „W STOSUNKU DO KAŻDEJ ARESZTOWANEJ I KAŻDEGO NIEBEZPIECZNEGO SPOŁECZNIE DZIECKA OD 15 ROKU ŻYCIA WSZCZYNA SIĘ POSTĘPOWANIE ŚLEDCZE. ŻONY ZDRAJCÓW OJCZYZNY ZOSTAJĄ SKAZANE W ZALEŻNOŚCI OD TEGO, JAK BARDZO SĄ SPOŁECZNIE NIEBEZPIECZNE, NA MINIMUM 5-8 LAT OBOZU. NIEBEZPIECZNE SPOŁECZNIE DZIECI SKAZANYCH, W ZALEŻNOŚCI OD WIEKU, STOPNIA NIEBEZPIECZEŃSTWA I MOŻLIWOŚCI POPRAWY, ZOSTAJĄ UWIĘZIONE W OBOZACH, KOLONIACH PRACY NKWD LUB W DOMACH DZIECKA O SPECJALNYM REŻIMIE."

SZACUJE SIĘ, ŻE W WYNIKU „OPERACJI POLSKIEJ" CO NAJMNIEJ 111 TYSIĘCY OSÓB SKAZANO NA KARĘ ŚMIERCI, CO STANOWI PONAD 80% WSZYSTKICH SKAZANYCH.

OKOŁO 30 TYSIĘCY OSÓB TRAFIŁO DO ŁAGRÓW. TYSIĄCE POLSKICH DZIECI UMIESZCZONO W DOMACH DZIECKA I ŻŁOBKACH LUDOWYCH KOMISARIATÓW ZDROWIA.

PRZEZ CAŁE DEKADY MILCZANO O LOSIE OFIAR ROZKAZU JEŻOWA. DOPIERO W LATACH 90. UJAWNIONO PRAWDĘ NA TEMAT TEGO POTWORNEGO LUDOBÓJSTWA.

eprasa.pl 016ae519f9

/ Felieton

Sławomir Cenckiewicz

„Agentura”

Od wydania ostatniego zbioru moich tekstów, czyli książki „Śladami bezpieki i partii. Rozprawy – Źródła – Publicystyka” (Łomianki 2009), minęło już 13 lat. W tym czasie wydałem kilkanaście książek, a na łamach czasopism, na portalach internetowych i własnym Facebooku opublikowałem ponad 500 większych tekstów historycznych, politologicznych, recenzyjnych, okolicznościowych i literackich. Zakres tematyczny moich artykułów obejmował biografistykę, dzieje PRL, służby specjalne, dezinformację rosyjską, historię Kościoła, teologię, dzieje Ludowego Wojska Polskiego, muzykę, literaturę piękną… Większość z nich – poza kilkoma wyjątkami – przepadła w niepamięci, choć wiele wątków przeze mnie podjętych wraca w debacie publicznej jak bumerang. Chcąc uratować od zapomnienia najważniejsze z moich tekstów, zdecydowałem się przejrzeć, uzupełnić nieco i wydać je w formie książki.

Ani decyzja o zebraniu i publikacji tego dorobku nie była łatwa, ani też nigdy nie aspirowałem do wydania wszystkiego. Z ponad 500 tekstów postanowiłem wybrać jedynie te publicystyczne – w moim przekonaniu najciekawsze, bo napisane w zwięzłej i przystępnej dla czytelnika formie, choć w większości oparte na solidnych podstawach źródłowych i naukowych. W ten sposób wybrałem ponad 100 tekstów obejmujących tematykę związaną z agenturą postkomunistyczną, transformacją ustrojową i historią jako polem bitwy w debacie krajowej i międzynarodowej. Powstała w ten sposób moja trylogia: „Agentura – Transformacja – Historia”, zamykająca w każdym z trzech tomów poszczególne obszary moich zainteresowań. Nie jest to jednak zwykła reedycja dawnych artykułów. Prezentowane teksty zostały nie tylko przejrzane i nieco poprawione, przez co stały się bardziej dojrzałe i aktualne, lecz także uzupełnione bogatym materiałem źródłowo-ilustracyjnym, stanowiącym niejako obrazowe uzupełnienie opowieści historycznej.

Pierwsza część trylogii to „Agentura”. Nie da się bez niej zrozumieć ani opresji komunizmu, ani naszego postkomunizmu, który mimo prób przełamania trwa od 1989 r. w najlepsze. Można powiedzieć, że agenci są immanentną częścią komunizmu. Jednak to, co się stało po 1989 r., a w zasadzie po 1992 r. (pierwsza lustracja) i kilka lat później – po uchwaleniu ustawy lustracyjnej i powstaniu IPN – ujawniło cechę donosicieli, o której tak plastycznie pisała Nadieżda Mandelsztam w fantastycznej „Nadziei w beznadziei”:

„Mordercy, prowokatorzy, donosiciele mieli wspólną cechę, nie wyobrażali sobie, że ich ofiary kiedyś zmartwychwstaną i odzyskają dar mowy. Im również zdawało się, że czas stanął i zastygł w miejscu; to właśnie symptom opisywanej choroby. Przecież przekonano nas, że w naszym kraju nic się już nigdy więcej nie zmieni, a reszta świata powinna tylko osiągnąć nasz stan, a wówczas wszelkie zmiany ustaną na zawsze. Ludzie, którzy tę doktrynę zaakceptowali, popracowali uczciwie na chwałę nowej moralności, wywodzącej się w ostatecznej instancji z historycznego determinizmu doprowadzonego do skrajnej postaci. Tych wszystkich, których wyprawiali na tamten świat albo do obozów, uważali za wykreślonych z życia na wieki wieków. Nie przychodziło im do głowy, że te cienie mogą wstać z grobu i pociągnąć swych grabarzy do odpowiedzialności. Toteż w czasach rehabilitacji wpadli w prawdziwą panikę; wydało im się, że czas ruszył wstecz, i ci, których nazwali »obozowym prochem«, odzyskali nazwiska i postacie. Wśród grabarzy zapanował popłoch. Miałam w tych dniach okazję obserwować skromną donosicielkę, sąsiadkę Wasylisy Szkłowskiej. Ciągle wzywano ją do prokuratury, gdzie odwoływała swoje dawne zeznania, wybielając żywych i martwych. Wróciwszy do domu, przybiegała do Wasylisy, której mieszkanie polecono jej kiedyś szpiegować, i – jąkając się – opowiadała, że Bóg jej świadkiem, nigdy nie mówiła niczego złego ani o Małkinie, ani o innych, a teraz w prokuraturze zajęta jest wyłącznie wystawianiem wszystkim najlepszych świadectw, żeby nieboszczyków jak najszybciej rehabilitowano… Ta kobieta nigdy nie miała niczego podobnego do sumienia, ale tym razem dlaczegoś nie wytrzymała i sparaliżowało ją. Może w pewnej chwili przestraszyła się i uwierzyła w poważny charakter rewizji różnych spraw i w możliwość pociągnięcia oszczerców do odpowiedzialności karnej. To się nie stało, ale dla niej, sparaliżowanej, czas znowu stanął, więc jej z tym lepiej”.

Chciałbym właśnie, aby „Agentura” była takim zmartwychwstaniem ofiar donosicieli – książką, przez którą odzyskają oni dar mowy. Dlatego zadedykowałem ją Józefowi Szylerowi (1944–2021) – ofierze agenta „Bolka”. Niech więc zmartwychwstanie i przemówi z kart tej książki! ©℗

SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
„AGENTURA”
WYDAWNICTWO LTW

eprasa.pl 016ae519f9

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

WOLNOŚCIOWY ZRYW W POLSCE I NA WĘGRZECH W 1956 r.

Jakie były podobieństwa, a jakie różnice pomiędzy Poznańskim Czerwcem 1956 a Rewolucją Węgierską?

Pełna oferta na ipn.poczytaj.pl

eprasa.pl 016ae519f9